

Macierz



MARIA RODZIEWICZÓWNA

Macierz

I

W głuchą noc ktoś dobijał się gwałtownie do mieszkania stanowego¹ — w miasteczku Oranach².

Długą chwilę urzędnik się nie odzywał, myśląc, że to wichur listopadowy szamoce okiennicami, wreszcie zerwał się z posłania.

— Kto tam? Czego? — krzyknął, zapalając światło.

— Wasza wielmożność — proszę co rychlej³ do dworu. Tam ubili⁴ człowieka — odparł głos za oknem.

Stanowy rozbudził się w okamgnieniu. Mord nie trafia się co dzień, a w Oranach nie trafiał się nawet od lat paru. Po chwili człowiek zza okna został wpuszczony do pokoju i, podczas gdy się urzędnik ubierał, odpowiadał na żwawe zapytania.

— Kto zabity?... Gdzie?... Kto zabił?...

— Kontrolera ubił łowczy przy kartach u komisarza.

— Całkiem, na śmierć zabił?

— Juści⁵, bo komisarz wyleciał na ganek i na nas wszystkich nocnych stróżów „zagwizdał”. Romana posłał po doktora, mnie do waszej wielmożności, a Markizowi kazał w progu stać.

— Idźże po uradnika⁶ — niech weźmie ze sobą setnika⁷ i jeszcze dwóch chłopów i niech tam duchem⁸ będą.

Chłop wyszedł, a stanowy rozbudził swego pisarza i obydwaj ruszyli szybko w stronę dworu. Rozmawiali naturalnie o wypadku.

— Nasz książę nazwała tu śmiecia z całego świata, co dziwnego, że się zarzynają⁹! — mówił niechętnie pisarz. — Ten łowczy jak zbój wygląda, nigdy w oczy nie patrzy, pije, do człowieka nigdy po ludzku nie zagada, z nikim nie żyje. Ja zawsze myślałem, że on się kiedy obwiesi¹⁰, a ot, inną sztukę uciął¹¹, ale nam zawsze kłopot i pisanina.

— Komisarz gładki¹² człowiek. Ten z ludźmi umie żyć. Niemiała mu historia! Szkoda!

Miasteczko od dworu oddziela rzeka. Za nią stały się ogrody, sady, parki, osłaniające pałac, a trochę na uboczu stały folwarczne zabudowania, a na ich wstępie dom rządcy — zwanego tu komisarzem. Był nim od trzech lat pan Józef Bielak.

Dom był oświetlony, wkoło już sporo gapiów. W progu spotkał już stanowy uradnika i chłopską policję w medalach.

— Zabójca nie uszedł? — spytał.

— Nie, wasza wielmożność!

¹stanowy — urzędnik policji ziemskiej. [przypis redakcyjny]

²Horany (ukr. Orany) — mała wieś na Ukrainie w gminie Brodywskiej, rejonu złoczowskiego, obwodu lwowskiego. [przypis edytorski]

³co rychlej (pot.) — im szybciej. [przypis edytorski]

⁴ubić (pot.) — zabić. [przypis edytorski]

⁵juści a. jużci (daw., gw.) — owszem; przysłówek potwierdzający coś pewnego, zgadzającego się z rzeczywistością. [przypis edytorski]

⁶uradnik — urzędnik miejscowej władzy administracyjnej w Rosji carskiej. [przypis edytorski]

⁷setnik — tu: przedstawiciel miejscowej policji a. żandarmerii. [przypis edytorski]

⁸duchem (gw.) — szybko. [przypis edytorski]

⁹zarzynać się (pot.) — zabijać siebie (nawzajem). [przypis edytorski]

¹⁰obwiesić się (przestarz.) — powiesić się na sznurze. [przypis edytorski]

¹¹inną sztukę uciąć — zrobić inną nieoczekiwaną rzecz; wywinąć numer. [przypis edytorski]

¹²gładki — tu: osoba nieskłonna do konfliktów, potrafiąca negocjować z innymi, ukladna. [przypis edytorski]

— Nie puszczać bez rozkazu. Doktor jest?

— Jest!

W pokoju, gdzie mord się odbył, paliło się świec parę i lampa na karcianym stole. Zabity leżał na ziemi — jak się zwałił z krzesła — klęczał nad nim doktor i młoda dziewczyna.

Na stole leżały rozrzucone karty, potłuczony kieliszek, parę filiżanek z herbatą i na rogu fiaszeczki i narzędzia lekarskie.

Gospodarz domu, pan Bielak, podawał doktorowi wodę, którą zlewano głowę trupioblada, z nieznaczną sinością na lewej skroni.

— Jakże? Żyje? Zemdlął? — spytał stanowy.

Doktor powstał i skrzywił się.

— Trup! — mruknął, ścierając ręce serwetą.

— A gdzie zabójca?

Zwrócili się wszyscy. Bielak usunął stół i wtedy ujrano, że na kanapie za nim leżał też człowiek, jakby martwy. Leżał na wznak, z odrzuconymi ramionami¹³, zęby miał kurczowo zaciśnięte, oczy zamknięte.

Doktor dotknął twarzy, poruszył go, wtedy osunęła się prawa ręka i upadło z niej coś na ziemię.

— Pijany! Śpi! — rzekł doktor, a stanowy podniósł z ziemi żelazny kastet¹⁴.

— Tym go machnął! — rzekł.

— A tym! — odparł lekarz. — Trafił w samą skroń. Jak na pijanego, świetna precyzja!

— No, niech śpi. Nic z niego dziś nie dobędziemy.

— Panie, czy mogę zwłoki stąd zabrać? — spytała młoda dziewczyna dziwnym jakimś, twardym głosem.

— Jeszcze nie! Po spisaniu protokołu.

Oprzątnięto stół i pisarz zabrał się do swej czynności. Bielak opowiedział całe zajście.

Wieczorem, o godzinie ósmej przyszedł do niego kontroler Henryk Jasiński na karty, czekali na partnera Sopóckę do dziesiątej, zamiast tegoż zjawił się nadlesny Wiktor Szczepański w interesie służbowym, meldując o schwytaniu kłusownika Seredy, którego strzelbę, po uporczywym boju, chciał właśnie odesłać do policji. Szczepański, jak zwykle ponury i rozdrażniony walką z chłopem, przy tym zdał się Bielakowi niezupełnie trzeźwym, więc załatwiwszy interes, rad był go co rychlej pożegnać, gdy Jasiński wszczął z nim rozmowę przyjacielską i namówił do winta.

Zdziwił się Bielak, gdy Szczepański przystał, bo wiedział, że ci dwaj przed tygodniem mieli zajście o Pokotynkę, dziewczynę włóczęgę, służącą u Szczepańskiego. Zasedli do kart i czas jakiś grali spokojnie, ale Jasiński począł przegrywać i dogadywać łowczemu, który istotnie popełniał ciągle omyłki. Od słowa do słowa, Szczepański karty cisnął i wstał.

— Przegrał pan z mojej racji, to ja zapłacę za pana i żegnam — zawołał.

Począł szukać pieniędzy w kieszeni, dobył kastet, potem dopiero portmonetkę.

Jasiński obraził się, zerwał się także i powiada:

— Myślałem, że pan tylko źle gra, ale pan w dodatku cham i gbur, z takim się nie tylko do kart nie siada, ale go się za drzwi wyrzuca.

Wtedy Szczepański z błyskawiczną szybkością chwycił kastet i zanim Bielak zdołał przyskoczyć, krzyknąć — uderzył Jasińskiego w głowę. Jasiński się zachwiał ogłuszony, szalencie rzucił się na niego i drugim razem obalił, wtedy go Bielak za ramiona chwycił, odepchnął i już nie zważając, co się z nim dzieje, skoczył po wodę, i widząc, że leży bez ruchu, począł sygnalować nocnych stróżów.

— Pili dużo obydwa? — spytał stanowy.

— Pili arak¹⁵ z herbatą, a potem go zapalili i tak gorący pili.

— A w domu oprócz pana kto był więcej?

Trup

Morderstwo, Zbrodnia

¹³ramiony (daw. forma) — dziś N. lm: ramionami. [przypis edytorski]

¹⁴kastet — broń obuchowa miazdząca, odlewana zazwyczaj z metalu, używana w walce wręcz. Ma formę zespojonych ze sobą pierścieni zakładanych na palce. [przypis edytorski]

¹⁵arak (z arab. *araq*: wódka) — tradycyjny dla Bliskiego Wschodu (Liban, Syria, Izrael), wysokoprocentowy napój alkoholowy o smaku anyzowym. Wytwarza się go przez destylację sfermentowanego zacieru ryżowego lub daktylowego, z dodatkiem melasy z trzciny cukrowej. [przypis edytorski]

— Tylko służąca. Zastałem ją drzemiącą w kuchni i posłałem co rychlej po pannę Jasińską. Byłem pewien, że to chwilowe ogłuszenie i omdlenie.

— A żony pańskiej nie ma?

— Wyjechała przed tygodniem do rodziny.

Z kolei zawołano do zeznań służącą.

Ta niewiele umiała powiedzieć. Pan jej kazał nastawić samowar¹⁶, podała herbatę, panowie byli wtedy dwaj tylko, potem przyszedł z miasteczka Szczepański, spytał, czy komisarz w domu, kazał się zameldować i poszedł do kancelarii.

Potem ją sen zmorzył, bo pranie miała tego dnia i wstała o świcie, więc zasnęła i dopiero pan ją zbudził, wołając: „Leć po pannę Jasińską, powiedz, że brat zachorował”.

Teraz stanowy zwrócił się do teje.

— O której godzinie pani się dowiedziała o wypadku?

Dziewczyna podniosła się była¹⁷ z kolan i stała nad zabitym — wpatrzona weń — bez łez, szlochań, w jakimś kamiennym osłupieniu.

Urzędnik parę razy zapytanie powtórzył, dopiero zrozumiała, że to do niej mówią.

— Nie patrzałam na godzinę — odpowiedziała, oczu nie podnosząc. — Dano mi znać, pobiegłam i tak go znalazłam. Czy mogę go zabrać?

— Jeszcze nie, pani. Muszą być oględziny lekarskie. Potem zanosą go do mieszkania.

— Niech pani się usunie! — prosił doktor, a Bielak zbliżył się do niej i dodał:

— Proszę wrócić do domu. To nie dla pani widok, ja wszystko załatwię i będę na usługi pani, gdy się te formalności załatwią. Konie gotowe, niech pani wróci do domu!...

Dziewczyna jak automat skierowała się do drzwi, Bielak poszedł za nią i wrócił po chwili.

— Dała się namówić — rzekł do doktora. — Co prawda, słodkiego życia z nim nie miała, ale zawsze cios straszny. Oprócz niego nie ma nikogo na świecie i żadnego majątku, biedactwo.

Doktor ramionami ruszył.

— Ten by jej też w złoto nie oparł — mruknął.

— Panie doktorze — ozwał¹⁸ się urzędnik — umarłego nie wskrzesimy, ale może moglibyście wytrzeźwić tego pijaka!

Doktor przystąpił do Szczepańskiego. Ten wciąż spał jak drewno. Na potrząsanie i ruszanie jęczał głucho, nie było sposobu zmusić go do przełknięcia czegokolwiek.

— Co za lichy — mruknął doktor. — Delirium¹⁹, nie delirium, ale ten jest kompletnie niepojęty. Zostawić go w spokoju. W tym stanie nie dowiedzie się nic od niego, a i jak wytrzeźwieje, niewiele co będzie wiedział.

— Każę go zawieźć do aresztu, i basta! — mruknął znudzony urzędnik.

Po chwili uradnik i setnicy dźwignęli na rękach nieprzytomnego, złożono go na wóz i wśród gawiedzi wywieziono do miasteczka. Gawieź pozostała przed domem, bo trup jest ciekawszym widowiskiem, i tylko za wozem pobiegł pies czarny, pokurcz szpetny, nieodłączny towarzysz łowczego, który nań czekał, skulony pod progiem mieszkania komisarza, przez cały ten tragiczny wieczór.

W areszcie policyjnym przeleżał Szczepański aż do następnego południa. Wtedy dopiero zdołano go się dobudzić. Usiadł na pryczy, szklanymi oczami rozejrzał się wokoło i nagle oprzytomniał. Nad nim stał znajomy uradnik.

— Co ja zrobiłem? Pobilem kogoś?

— Oj, gorzej. Jasiński nie żyje. Zdurzeł wy, tak się napijać do bezpamięci. Jego i was zakopią.

— Jasińskiego zabiłem?

— Nie pamiętacie?

Lekarz

¹⁶*samowar* — urządzenie do przygotowywania herbaty, charakterystyczne szczególnie dla Rosji i Iranu. W Polsce samowary pojawiły się od około 2 ćwierci XIX wieku. Szczególnie używane były na terenach należących do zaboru rosyjskiego, aż do czasów I wojny światowej. [przypis edytorski]

¹⁷*podniosła się była* (przestarz.) — czas zaprzeszy, wyrażający czynność wcześniejszą od tej wyrażonej czasownikiem w formie cz. przeszłego prostego; znaczenie: podniosła się już wcześniej. [przypis edytorski]

¹⁸*ozwał się* (daw.) — odezwał się. [przypis edytorski]

¹⁹*delirium* — zespół zaburzeń świadomości, któremu towarzyszą iluzje, omamy wzrokowe, słuchowe, dotykowe i inne oraz lęk i pobudzenie psychomotoryczne, zaburzenia snu. [przypis edytorski]

Zapytany powoli głową potrząsnął. Nie zapierał się, nie bronił, patrzył w jeden punkt, na kraty okna i trząsł się jak w febrze²⁰. Zęby mu szczękały, na czoło wystąpił pot.

Był to człowiek trzydziestoletni, suchy, szczupły, średniego wzrostu. Rysy miał ostre, oczy głęboko osadzone, ciemne włosy na skroniach już siwe. Wyraz twarzy miał coś w sobie z wilczej dzikości i ponurości i nie uprzedzał dodatnio.

— No, kiedyście wytrzeźwiali, to ruszajmy! — rzekł uradnik.

— Dokąd?

— Sędzia śledczy rano przyjechał! Nagrzeliście dobrze ludzi! No, marsz!

— Po co śledztwo? Zabiłem, no to zabiłem! — zamruczał, powstając. — Mnie coś tak źle, jakbym skonać miał.

— Na dworze mróz ocuci do reszty.

Wyszli na podwórze. Szczepański zataczał się i potykał, blady był i dyszał ciężko. Uradnik go trochę prowadził, trochę popychał i tak go zawiódł do dużej izby, gdzie przy stole siedział sędzia śledczy nad stosiem papierów i zmierzył wchodzącego badawczym spojrzeniem.

Ten się o ścianę oparł i czekał, wciąż ciężko dysząc.

Pisarz przygotował papiery i zaczęły się stereotypowe pytania:

— Imię i nazwisko? Wiek? Wyznanie?

— Wiktor Szczepański. Trzydzieści lat. Katolik.

— Imię ojca — szepnął pisarz.

— Imię ojca? — powtórzył sędzia.

Sekunda jakby namysłu.

— Michał!

— Żyją rodzice?

— Nie!

— Skąd rodem? Jakiego stanu?

— Szlachcic, witebskiej guberni²¹.

— Żonaty?

— Nie.

Był to zwykły wstęp. Pytania i odpowiedzi następowały szybko i lakonicznie, a w miarę tego na twarz winowajcy powracał spokój i panowanie nad sobą.

Przestał drżeć, wyprostował się i patrzył ponad głowy ludzkie w okno.

— Jesteście oskarżeni o zabicie Henryka Jasińskiego uderzeniem tego oto kastetu w skroń.

Spojrzał na stół, chwilę milczał.

— Może być! Pijany byłem! Nie pamiętam! — rzekł wreszcie.

— Czy Jasiński was obraził?

— Nie pamiętam!

— Jakież były między wami stosunki?

— Żadne prawie.

— Był waszym przełożonym?

— Nie! Zależałem od rządcy, Bielaka. Jasiński przybył zaledwie zeszłej wiosny.

— Nie mieliście ze sobą przedtem żadnego zajścia?

— Nie!

Sędzia przerzucił papiery.

— A tydzień temu na rynku, w sklepie Jojny Mejlacha, nie mieliście zajścia? Nie pamiętacie?

— Nie było to zajście. Byłem w sklepie z kobietą, która u mnie mieszka. Jasiński powiedział mi: „Dam panu trzy ruble, ustąp mi tę dziewczkę!”; ja odpowiedziałem: „Dam panu pięć rubli, ustąp mi siostrę swoją”. Podniósł na mnie łaskę, wyrwałem mu ją z rąk, połamałem i rzuciłem precz, a sam wyszedłem z kobietą.

— Kto jest ta kobieta?

— Jest pod moją opieką, póki zechce.

²⁰febra (daw.) — malaria, gorączka typu malarycznego. [przypis edytorski]

²¹gubernia witebska — dawny powiat główny województwa witebskiego Rzeczypospolitej, później guberni witebskiej Rosji. Dzisiaj główna jej część jest obwodem witebskim na Białorusi, ale obejmuje też wschodnią część Łotwy oraz regiony Rosji. [przypis edytorski]

— Dawno tu już służycie?

— Cztery lata.

— A poprzednio gdzieście mieszkali?

— Byłem w wojsku, w dragonach²².

— W którym pułku? Gdzie wasz bilet²³ i inne papiery?

— Służyłem w Jelcu²⁴, niżeński pułk. Papiery są na leśniczówce.

Sędzia zwrócił się do stanowego — zamienili parę słów półgłosem. Po twarzy Szczepańskiego mignął niepokój, strach, gdy stanowy wyszedł.

— Jakim sposobem dostaliście tu posadę?

— Młody kniaź służył w tymże pułku, byłem u niego służącym. Przysłał mnie tu z listem do rzadcy.

— Do Bielaka?

— Nie! Bielak w rok po mnie tu przybył.

— A jakież z tym były wasze stosunki?

— Spełniałem jako podwładny rozkazy.

— Bywaliście u niego często w domu? Byliście w zażyłości widocznie?

— Nie! — żywo zaprzeczył. — Bywałem na sesji co tydzień, za interesem, o ile było potrzeba.

— Dlaczego zostaliście wczoraj na kartach?

— Nie wiem. Zapewne, żeby zginać! — odparł głucho.

— Więc nie zaprzeczacie czynu zabójstwa?

— Nie! Kastet mój, miałem go w kieszeni. Cały dzień wczorajszy byłem na czczo, w lesie tropiąc kłusownika. Wstąpiłem do Mejlacha o zmroku — i piłem! Przy kartach piłem znowu — i nic nie pamiętam. Bielak przy tym był, on wie, co było, ja nic nie pamiętam! — Przesunął ręką po oczach i twarzy i dodał: — Mogłem zabić. Stało się. Przepadłem.

Opuścił ramiona, oczy wbił w ziemię i czekał z biernością zwierzęcą, gdzie go pchną, czym go uderzą.

— Na ten raz dosyć! — rzekł sędzia. — Odczytać protokół! — rozkazał pisarzowi.

Rozpoczęło się monotonne, szybkie czytanie. Winowajca nie zdawał się słyszeć. Byli w połowie, gdy turkot się rozległ pod gankiem i po chwili wszedł stanowy zaspany i gniewny.

— Nie znalazłem żadnych papierów. Zapewne ta wykradła lub schowała, ta suka, ta ścierka, to bydlę!

W ślad za nim uradnik wepchnął do izby kobietę. Jednym panterzym skokiem rzuciła się do Szczepańskiego, do nóg mu przypadła z jakimś niedającym się opisać jękiem.

I umilkła, tylko patrzyła nań przepaścistymi czarnymi jak noc oczami, które gorzały jak gwiazdy wśród twarzy smagłej, mizernej, strawionej, zda się, żarem wewnętrznym.

On milczał. Po twarzy mu kurcz przebiegł i ręka spoczęła na jej głowie. Stanowy opowiadał:

— Musiałem odrywać zamki, nie dała kluczków²⁵. Znalazłem tylko paszport i bilet wojskowy, resztę gdzieś schowała.

— Jaką resztę? — ozwał się Szczepański.

— Listy, rachunki, jakże, będziecie dowodzić, że oprócz tych dwóch świstków nic u was nie było!

— Nic. Ani ja, ani do mnie nikt nie pisuje. Zresztą, gdzieżby i po co chowała! Ja nie zaprzeczam, że Jasńskiego zabił.

— Przez zazdrość o to śmiecie uliczne! — wybuchnął stanowy. — Będziecie gnić razem w katordze.

Kobieta na tę groźbę objęła ramionami nogi Szczepańskiego, twarz przytuliła do jego stóp i roześmiała się.

— Bodaj wasza prawda była! — rzekła.

²²*dragoni* — formacja piechoty, przemieszczająca się konno, ale walcząca pieszo. Uzbrojeni byli bronią strzelecką oraz białą. [przypis edytorski]

²³*bilet* — tu: karta wojskowa; świadectwo zwolnienia, potwierdzające odbycie służby. [przypis edytorski]

²⁴*Jelec* — miasto położone w środkowej części Rosji, w obwodzie lipieckim. [przypis edytorski]

²⁵*kluczów* — dziś D. Im: kluczy. [przypis edytorski]

Sędzia śledczy, niewzruszony, przejrzał paszport i bilet wojskowy — odsunął pisarzowi i rzekł:

— Wyprowadzić ją, przesłucham za chwilę. Kończyć protokół!

— Idź won! — mruknął uradnik do kobiety.

— Idź! — powtórzył lakonicznie Szczepański.

Spojrzała nań, powstała — i poszła.

Wepchnięto ją do sieni, uradnik pozostał na straży.

— Cóż, Pokotyńka!... Dobrze było panować na leśniczówce. Myślałaś ty, że tak zawsze będzie, no, nie pójdziesz znowu Żydom wodę nosić. Objadłaś się, poprawiła, może znowu żołdacy²⁶ przyjdą. Nie trap się²⁷, jeszcze ty bez niego nie zginiesz. Jeszcze ty niczego dziewczka²⁸, zarobisz kopiejkę²⁹.

Kobieta przykucnęła u drzwi, na skrzyni i nie słyszała jego słów. Cała jej uwaga była zwrócona na głos pisarza za ścianą, czytającego zeznanie Szczepańskiego, nie straciła ani jednego wyrazu. Skończono protokół, obwiniony podpisał i rzekł głośno:

— Byłem pijany, zabiłem Jasińskiego, Bielak świadkiem był, ja nic nie wiem, nic nie pamiętam. Winienem, pokutować będę.

Wyprowadzono go i po chwili zawołano kobietę.

Weszła już spokojnie i stanęła u progu.

— Imię wasze i nazwisko?

— Wołają mnie Pokotyńka — odparła ponuro.

— A jakże się nazywacie ze chrztu i z rodu?

— Nie pamiętam. Deszcz i śnieg mnie chrzcili, a ród — droga.

— Macie paszport, metrykę, papiery?

— Po co? Pokotyńkę policja zna. Z żołdatami przyszła i tu ją rzucili, bo zdychać miała. Ano³⁰, nie zdechła i została na rynku w Oranach. Trzy lata się wałała, co psy jadły, to jadła, gdzie noc zaszła, tam się przespała, jaki łachman kto na śmiecie rzucił, w to się ustroiła. Hulala³¹ Pokotyńka, oj hulala, a co ludzie z niej uciechy mieli, a jak ją znali. Od pana stanowego i sędziego — do żydowskiego bachora, wszyscy ją znają. Na co Pokotyńce papiery. Do poboru nie pójdziesz, w kościele niepotrzebna, do ostrogu³² nie wezmą, bo nie kradnie, podatku z czego płacić nie ma — mówiła, śmiejąc się.

Zza purpurowych warg błysnęły zęby śnieżnej białości, na śniadą twarz wystąpił rumieniec, tylko oczy były dzikie, ponure i błyskały złowieszczco.

— Od jak dawna mieszkasz ze Szczepańskim?

— Od roku.

— Czy Jasiński ciebie od dawna zna?

— Pokotyńkę każdy zna.

— Byłaś jego kochanką?

Roześmiała się.

— Przeszłego lata spotkał mnie na drodze z lasu, grzybów koszyk niosłam. Dogonił koniem, pletnią³³ po plecach ściągnął³⁴, grzyby odebrał i wyrzucił w błoto, a koszyk cisnął het³⁵ — w rzekę, a mnie przed sobą gnał aż do miasteczka. Myślał, że ukradła grzyby, nie wiedział, że mnie posłała sama pani Bielakowa. Potem w same Zaduszki³⁶ z psami jechał do lasu, a ja w rowie leżałam, w liściach. Psy mnie ostąpiły³⁷, on je żartami podjudzał³⁸,

²⁶soldat (z ros.) — żołnierz. [przypis edytorski]

²⁷trapić się — martwić się. [przypis edytorski]

²⁸jeszcze ty niczego dziewczka — tzn. jeszcze dobrze wyglądasz. [przypis edytorski]

²⁹kopiejka — drobna moneta rosyjska. [przypis edytorski]

³⁰ano (pot.) — partykuła wzmacniająca, potwierdzająca. [przypis edytorski]

³¹hulać (ukr.) — tu: bawić się, spędzać czas na hucznych zabawach, swawolić. [przypis edytorski]

³²ostroć (daw.) — miejsce obwarowane, baszta, warownia; tu: więzienie. [przypis edytorski]

³³pletnia — pleciony z rzemieni narzędzie do bicia; dyscyplina, kańczug, knut. [przypis edytorski]

³⁴ściągnąć — tu: uderzyć. [przypis edytorski]

³⁵het — tu: daleko. [przypis edytorski]

³⁶Zaduszki a. *Dzień Zaduszny* — kościelne święto obchodzone 2 listopada, poświęcone modlitwom za dusze martwych. W tym dniu odwiedzano groby, zapalano znicze i przynoszono kwiaty, oddając cześć zmarłym. [przypis edytorski]

³⁷ostąpić — dziś: obstać. [przypis edytorski]

³⁸podjudzać — prowokować, namawiać kogoś do zrobienia czegoś złego. [przypis edytorski]

tom się zwlekła i poszłam w krzaki, a psy, że mnie znały, nie zechciały szarpać. Pokotynkę by taki panicz brał za kochankę!

— Przecie zaczępił ciebie przed tygodniem w sklepie Mejlacha.

— Ale! — znowu się zaśmiała. — Nawet memu panu trzy ruble za mnie dawał. Tak ci Pokotynka podróżowała przez ten rok.

— I z twojej racji się pokłócili.

— Ale, chciał mego pana kijem ściągnąć. Łaska boska, że pijany nie był mocno wtedy mój pan. Tak się rozeszli, ale ja kijem dostałam potem.

— Jak to? Od kogo?

— Ano, od mego pana.

— Bił ciebie?

— Któż miał bić?

— Jeśli się źle z tobą obchodził, dlaczegoś nie odeszła?

Kobieta popatrzyła chwilę na niego, oczy jej się zmieniły, poruszyła ustami, ale nic nie rzekła, tylko wzruszyła ramionami.

— Opowiedz wczorajszy dzień. Czy Szczepański odgrażał się tymi czasami³⁹ na Jasińskiego?

— Za co miał się odgrażać? Raniutko poszedł w las tropić Serecę i tylem go widziała.

— Mówił co z tobą, wychodząc?

— Kazał dREW przywieźć i zemleć żyta na chleb. Zaraz też klacz zaprzęgåł i pojechał w las. Wróciłam nad wieczorem, bo trzeba było susz ściągać i ładować na furę. Wieczorem w żarnach mełłam, jak przykazał, i z wieczorzą czekałam. Tak ci noc zesła. Świtaniem pan Bielał konno przyjechał.

— Pan Bielał? — zdziwił się sędzia.

— On sam, i powiada: „Szczepański dziś w nocy po pijanemu zabił Jasińskiego, już tu nie wróci. Zabieraj, co twoje, i idź precz, bo tu zjedzie zaraz Nowicki, żeby ciebie tu nie było do wieczora”. Powiadam: „Mojego tu nic nie ma, ale jest mego pana, a ja mu służę i pilnować będę. Czy on zabił, czy nie, ja jego sługa, a to jego dobro”. Wyłajał mnie i pojechał.

— I nie dowiadywałaś się, co się dzieje z tym twoim panem?

— Co się miała dowiadywać. Zabił, pójdzie w katorgę.

— Ona wołała okraść go tymczasem! — dorzucił stanowy. — Opustoszyła kwaterę — ni odzieży, ni bielizny już nie było w kufrze, jakem go odbił⁴⁰.

Kobieta milczała chwilę, wreszcie podniosła oczy.

— Czyjaż to odzież? Wasza? Niech on powie, co z jego dobrem zrobić. Pokotynce nic nie trzeba, nie ukradła nigdy nic. Wy sami wiecie. Zajawił⁴¹ kto na mnie do policji choć raz kradzież?

— Nu, będziesz się ty jeszcze o swój honor ujmować, ty ścierko!

Krew buchnęła do twarzy kobiety, zadrżała całym ciałem, otuliła się szcZelniej chustą, nasunęła ją na twarz.

— Umiesz pisać?

— Nie! — odparła głucho.

— No, to idź!

— Dokąd?

— Gdzie chcesz.

— To mnie nie zamkną z nim?

— Nie! Wyñoś się!

— Toć⁴² go wam nie wykradnę. Muszę go spytać, co każe robić ze swym dobrem. Jaż sługa.

— Nie twoja rzecz! Marsz!

³⁹tymi czasami (daw. forma) — tu: w ostatnim czasie. [przypis edytorski]

⁴⁰jakem go odbił — kiedy go otworzyłem (siłą, zrywając zamek). [przypis edytorski]

⁴¹zajawić (z ros. заявить: ogłosić) — tu: zgłosić, zameldować, złożyć doniesienie. [przypis edytorski]

⁴²toć (arch., gw.) — przecież, no, toż; partykuła potwierdzająca lub podważająca słuszność, prawdziwość czegoś. [przypis edytorski]

Uradnik ją wypchnął. Znalazła się na uliczce. Ludzi się snuło dosyć, gapiło się lub czekało na ganku, wezwanych jako świadków. Obstąpili wnet kobietę, znali ją wszyscy, i zaczęli rozpytywać.

— Nie zamknęli ciebie? No, co teraz ze sobą zrobisz? Gdzie się podziejesz? Już Nowicki do leśniczówki pojechał! Siedem fur rzeczy powiózł. No, gdzie ty pójdziesz?

Pokotynka słuchała tego obojętnie, zapatrzona w wysoki parkan, zamykający szczelnie podwórze, na którym znajdował się areszt tymczasowy. Potem zwróciła się do uradnika, który rozparty na ławce ćmił papierosa i patrzył z góry na tłum. Usiadła obok niego.

— Czy jego tu długo będą trzymać? — spytała.

— Jutro poprowadzą do powiatu.

— To mi dziś trzeba się do niego dostać!

— Spróbuj! — roześmiał się.

— Ot, ktoś się zlituje i puści. Zapłacę! — mruknęła niewyraźnie. — Na moment wpadnę, muszę!

— Zapłacisz! — szydził. — No, drogo będzie kosztować.

— Dam trzy ruble.

— Czy od Jasińskiego dostałaś?

— Juści nie od was. Puściecie? — szepnęła.

— Idź do diabła!

— Pójdę! Byłam tam nieraz!

Zmieszała się z tłumem. Zaczepił ją Żyd o krowy Szczepańskiego — potem chłop o klacz. Poszli we troje na rynek, po chwili zebralo się jeszcze paru Żydów i chłopów i weszli do jednej z karczem. W alkierzu⁴³ za szynkową izbą Pokotynka zasiadła z chłopami. Żyd dał parę flaszek wódki i piwa, rozpoczął się traktament⁴⁴.

Na dworze szarzało — nadchodziła na świat bezmiernie długa i bezmiernie ciemna noc listopadowa...

Szczepański w areszcie godzin nie liczył. Leżał na pryczy, zimno było i ciemno. Stróż wieczorem zajrzał, rzucił mu kożuch, który ze dworu przyniesiono, spytał, czy głodny. Na odmowną odpowiedź oznajmił, że rano go poprowadzą do powiatowego więzienia — i wyszedł. Więźniowi wszystko było obojętne wobec szalonego bólu głowy i nudności. Chwilami jęczał głucho, to zapadał w omdlenie, czuł, że umiera — i odzyskiwał przytomność, z rozpaczą, że jeszcze cierpi. Nareszcie porwały go straszne wymioty i po nich tak osłabł, że leżał jak martwy. Ocuciło go wrażenie ciepła i lęk zimnej wody. Poczul, że już nie deskę ma pod głową, ale futro kożucha, i że z tą wodą połknietą życie mu wraca. Otworzył oczy.

W latarce na ziemi, tłała łojówka — nad nim klęczała Pokotynka.

— Daj jeszcze wody! — szepnął.

— Może wódki? — spytała.

Wzdrygnął się.

— Otruli mnie wódką. Do ust nie wezmę więcej.

— Herbatę mam ciepłą w butelce.

— To daj.

— Podnieście się trochę.

Dźwignął się. Otuliła go swą chustką, podparła ramieniem i poila, zapatrzona w niego.

— Jak cię puścili? — spytał.

— Zapłaciłam.

— Skąd miałaś pieniądze? — rzucił ostro.

— Wasze wzięłam ze skrzyni.

— A papiery?

— Schowałam.

— Dobrze?

— Niech znajdą. Czy wam przynieść?

— Po co? Ja już człowiek umarły.

Kobieta zapłakała.

Więzienie, Więzień

⁴³alkierz (daw.) — mały pokój w wysuniętej bocznej części budynku, często służący za sypialnię. [przypis edytorski]

⁴⁴traktament (daw.) — poczęstunek, uczta, biesiada. [przypis edytorski]

— Czego płaczesz — mruknął. — Sprzedaj, co jest, i weź pieniądze sobie. Mnie nie nie trzeba.

— Pójdę za wami!

— Ani się waż! Po coś tam potrzebna. Psa mi dopilnuj, pamiętaj. Zbierzesz może dwieście rubli, starczy ci na kilka lat.

Patrzyła nań uparcie z jakąś tępą rozpaczą.

— I grosza nie wezmę! — rzekła wreszcie. — Sprzedam i pieniądze wam do ostrogu przyniosę. Mnie one niepotrzebne.

— Milcz, kiedy ci mówię, to słuchaj. Niepotrzebne ci pieniądze, co będziesz robić? Znowu się poniewierać! Ubiję i ciebie!

Potrząsnął ją brutalnie za ramię, nie broniła się, schyliła głowę.

— Ubijcie, macie prawo! — szepnęła przez łzy.

Spojrzał na nią, zmieniła mu się twarz.

— Nie płacz⁴⁵ — mruknął.

Potem się zaniepokoił znowu i spytał:

— Dobrześ schowała papiery?

— Bądźcie spokojni. A wiecie, że Bielak był dziś o świcie i chciał je dostać. Mówił, że wyście go po nie przystali, obces⁴⁶ do kufra laźl.

— Powiedziałaś to na śledztwie?

— Nie.

— Czemu?

— Albo ja wiem. Jak Bielak ich chciał, to może by i sędzia chciał zobaczyć. Wasze dobro chowałam i zataiłam. A słyszałam, jakieście rzekli, że do winy się przyznajecie, więc po co płać Bielaka i papiery, żeby was więcej dręczyli. Powiedziałam, że Bielak był i kazał mi ze straży się wynosić, bo⁴⁷ to się nie utai.

Szczepański się zamyślił.

— On cię jeszcze napastować będzie o te papiery, powiesz, żeś mnie oddała, i zejdź mu z oczu.

— On mnie nie ubije, jak Jasińskiego ubił! — wybuchnęła dzikim szeptem.

Zerwał się wściekły.

— Ty głupia, co prawisz⁴⁸! Ja ci zapowiadam, że jeśli słowo piśniesz żywej duszy o tym, co ci po durnym łbie się płacze, to ja ci zaprzysięgam, że żywa z moich rąk nie wyjdiesz.

Ale Pokotyńka nie zlekkała się. Patrzała w jego dziko błyskające oczy i jej źrenice poczęły się złowieszczo palić.

— Ja wasz pies i własność. Chcecie w katorgę iść, to widać tak trzeba. Nie rzekłam nic i nie rzeknę, pójdziecie, i ja precz pójdę — w świat. Dajecie mi psa i papiery, to wam dochowam. Ale co wiem, to wiem, wiele wiem!

— Co wiesz? Gadaj! — warknął.

— To, co i wy.

Rzucił się ku niej i zdławił za gardło.

— Czytałaś, bestio, papiery. Ostatnia twoja godzina!

Potrząsnął głowę, upadła na wznak. Poczęła się bronić rozpacznie. Dławił ją, oszalały.

Może by zabił, ale wpadł do aresztu chłop-wartownik i porwał Szczepańskiego za ramiona, odciągnął, szamotał się z nim, rzuciwszy kobiecie:

— Idź won! Zarobiłaś. Bodaj cię choroba!

Towarzysz jego ukazał się z kijem i wypędził ją, potem zabrali wódkę, którą przyniosła, zagasili łojówkę, wyszli i zaryglowali drzwi.

Pokotyńka wyrzucona za furtkę na uliczkę usiadła przy parkanie, skuliła się z niefrasobliwością włóczęgi — czekała świtu. Noc była tak czarna, że nie było sposobu odnaleźć drogi. Po chwili coś się zbliżyło do niej — wyciągnęła rękę, namacała łeb psa i przygarnęła

Gniew, Tajemnica

Bezdomność, Pies, Sługa

⁴⁵nie płacz — daw. konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że (prośba wypowiedziana z naciskiem). [przypis edytorski]

⁴⁶obces a. obcesem — zuchwale, bezczelnie, na siłę. [przypis edytorski]

⁴⁷boć (starop., gw.) — bo przecież (konstrukcja z partykułą wzmacniającą ci, skróconą do -ć). [przypis edytorski]

⁴⁸prawić (daw.) — mówić. [przypis edytorski]

go do siebie, i tak we dwoje pozostali. Pies zasnął — ona rozmyślała, co ze sobą zrobi, gdy ten jej „pan” nie pozwolił iść za sobą.

Poszaby za nim razem z tym psem, ale gdy zabronił, to już wiedziała, że słowa nie zmieni, odpędzi ją. A jak by chętnie szła aż do powiatowego więzienia, a potem — po wyroku — na kraj świata — byle z nim! Taka zapamiętała była całe życie. Miała szesnaście lat, gdy się rozmiłowała w Hipku Łabędzkim z Bud Mazurskich⁴⁹, w ich okolicy. Jedynaczką była u ojców — mieli własny folwarczek; ojciec jej, honorny szlachcic, był pan Feliks Kałaur i chował Magdusię dla lepszego niż Hipek Łabędzki, który pracować nie lubił, z fuzyjką⁵⁰ po cudzych borach kłusował, upijał się, burdy wszczynał o byle co i tylko z rozpusty sławny był.

Ale Magda innymi oczami patrzyła na chłopaka. Ładny był, wesół, zuchwały, cudnie śpiewał, a jak tańczył, a jak wśród młodzieży rej wodził⁵¹, a jak za nim latały dziewczęta!

A on ino za Magdusią oczami wodził i za nią chodził, i słodkie słowa gadał, i smętne pieśni śpiewał, aż się rozkochała w nim na umór. Gdy stary Kałaur to spostrzegł, począł strofować⁵², wreszcie bić. Nie było rady.

Dziewczyna oszalała ze szczętem. Stała się pośmiewiskiem okolicy, w domu miała piekło, Hipek nawet wreszcie z niej żartował — nie dbała o nic, miłowała go tak okrutnie. Aż gdy plotek i gawęd, i wstydu przebrała się miara, stary Kałaur skatował ją i precz z domu wygonił. Dziewczyna nawet nie zapłakała, poszła do Bud Mazurskich, do Hipka. Łabędzcy biedni byli i obarczeni dziećmi, radzi by byli posażnej synowej, ale Kałaur zapowiedział, że folwarczek sprzeda i grosza łajdaczce nie da. Groził procesem, bo i małoletnią jeszcze była.

Więc przyjęli ją niechętnie i złajali Hipka. Dziewczyna zniosła i to. Żniwa właśnie były, poszła do roboty z sierpem — pracowała im jak wyrobnica, byle być bliżej ukochanego.

Nie czuła, że i jemu poczyna się przykrzyć⁵³, ciężyć, zawadzać. Drwili z niego kole-dzy, drwiły dziewczęta, napastliwe, gwałtowne kochanie już mu też się sprzykrzyło i spo-wszechniało.

Do jesieni tak trwało, do rekruckiego poboru, Hipek zły numer wyciągnął, wzięto go. Gdy się stary Kałaur o tym dowiedział, spodziewał się, że Magda wróci — naszykował rzemień, ale gotów był przecież darować i przyjąć na powrót szaloną.

Tymczasem Magda poszła za Hipkiem.

Wtedy stary ją przeklął i zaprzysiął, że gdyby konała mu pod progiem, zmiłowania już i litości nie dostanie. Ale o Magdzie wieść przepadła. Wtedy to wojsko stało w Oranach i za partią rekrutów ona przyszła.

Jak szła, czym żyła, ile nędzy zniosła, tego nie pamiętała. Dobrze jej było, bo za Hipkiem szła. Była wtedy nadzwyczaj urodziwa, każdy się za nią obejrzał, każdy zaczepił. Oficerowie ofiarowali pieniądze, rzucała je im w oczy, żołnierze napastowali zuchwale, odrzącała ich — miłowała bo⁵⁴ swego chłopaka jako duszę, poza nim świat i życie nie istniało.

A Hipek już wcale o nią nie dbał, poniewierał i lajał, chciał pieniędzy na hulankę⁵⁵, pędził ją do roboty, zabierał każdy zarobiony grosz, namawiał ją do kradzieży i rozpusty.

Kraść — może by i namówił wreszcie, ale w owe czasy przyczepił się do niej feldfebel⁵⁶, łąził za nią, wabił i nęcił:

— Ty, głupia — mówił. — Żydom bieliznę pierzesz, głodem umrzesz, Łabędzkiemu wszystko, co zarobisz, oddajesz, a on przepija z Mereczanką.

— Łżesz!

— Idź do Mejlacha wieczorem, to zobaczysz.

Mereczanka była bogata mieszcanka, wdowa, u Mejlacha za sklepem w alkierzu poila

Ojciec

Miłość, Kobieta

Zdrada, Krzywdą,
Przemiana

⁴⁹Budy — osada w Polsce, położona w województwie warmińsko-mazurskim, w powiecie szczycieńskim, gminie Dźwierzuty. [przypis edytorski]

⁵⁰fuzyjka — mała strzelba myśliwska. [przypis edytorski]

⁵¹rej wodzić — przodować, przewodzić towarzystwu. [przypis edytorski]

⁵²strofować — pouczać, napominać, karcić, ganić. [przypis edytorski]

⁵³przykrzyć się — stać się dokuczliwym, męczącym. [przypis edytorski]

⁵⁴miłowała bo — ponieważ miłowała; bo też miłowała (szyk przestawny dla wyrażenia nacisku). [przypis edytorski]

⁵⁵hulanka (z ukr.) — impreza. [przypis edytorski]

⁵⁶feldfebel (z niem.) — stopień podoficerski odpowiadający stopniowi starszego sierżanta. [przypis edytorski]

i ugaszczala ładnych chłopców. Nie wpuszczono tam Magdy, ale zajrzała oknem, ujrzała Hipka, całował i obejmował tamtą, więc oszalała zazdrością, wybiła szybę i ugodziła Mereczankę kamieniem. Powstał popłoch. Żydzi zdarli z niej chustkę i kaftan za rozbicią szybę, a pijany Hipek skatował ją, w błoto butami wdeptał, zbił, zabiłby może, gdyby go gawiedź⁵⁷ nie oderwała od ofiary. Ale razy te, obelgi, błoto — zabiły w Magdzie duszę i czucie. Wpółmartwą zabrał feldfebel, a po tygodniu już przyrosło do niej urągliwe przezwisko — rzucone przez ulicznego dowcipnisia — stała się Pokotynką.

Z wiosną żołnierze opuścili Orany i nie wrócili na zimowe leże, bo miejscowość i koszary były niezdrowe, i została po nich tylko ta kobieta włóczęga i rozpustnica — wszystkich własność i niczyja.

Ulica, rynek, szynk, to był dom Pokotynki, cała jej majątność — jaskrawe łachmany i uroda. Żyła tak parę lat, aż ją na samo dno nędzy i niedoli straciła choroba. Było to owej późnej jesieni, gdy ją w borze Jasiński spotkał i poszczuł psami. Chorą odstąpili wszyscy, nikt jej nie chciał, nie miała siły się śmiać i bawić gości Zelmana, szynkarza, u którego mieszkała. Wyrzucili ją wtedy do chlewu. Leżała w kącie za drzewem, na kupie śmieci, ale widząc, że już ledwie dysze, zlekli się Żydzi, że tam u nich zamrze, napadli z wymysłami i łajaniem, kazali iść precz. Zwlekła się nie wiadomo jaką siłą i poszła szukać schronienia po innych znajomych. Wypędzano ją zewsząd. Jesień była późna, deszcz mżył, ruszyła przed siebie, na oślep, bezmyślnie jak zwierzę, które szuka ustronnego kąta, by zwinąć się i zdechnąć.

Taką poszczuł psami Jasiński na skraju lasu, ale dalej nie prześladował, przekonawszy się, że wygląda szpetnie i jest brudna jak ścierka. Zresztą i psy jej szarpać nie chciały i zostawiły skuloną pod świerkowym wywrotem⁵⁸. Dalej iść już nie mogła. Czekala apatycznie nocy — i śmierci.

Tam ją zwęszył pies Szczepańskiego i szczekaniem sprowadził swego pana. Wczesny ranek był, noc minęła — śmierć nie przyszła, ale i życia już mało było w nędzarce. Znał ją Szczepański, chociaż nigdy nie zaczepiał i nawet nie zagadał. Myślał zrazu, że zabłądziła po pijanemu, wracając z jakiejś hulanki, trącił, chcąc zbudzić. Ale gdy spojrzał na jej twarz szerniałą od gorączki, na oczy nieprzytomne, spytał, co jej jest. Nie mogła odpowiedzieć, nie mogła się poruszyć, nie pojmowała nic.

Pomyślał chwilę, a potem wziął ją na ręce i zaniósł do swej leśniczówki. Ciężała mu jak ołów, musiał często odpoczywać, i wątpił, czy żywą doniesie. Deszcz padał zimny, przenikliwy, wicher przejmował chłodem do kości, a on potem był zlany i dyszał — tak było ciężko dźwigać to martwiejące ciało. Dobrnął przecie. Położył ją na swym posłaniu, rozebrał ze szmat przemokłych, okrył ciepło, napoił gorącą herbatą i zostawiwszy pod opieką psa, pojechał do miasteczka po doktora.

Ale lekarz był na imieninach u Bielaka, więc się Szczepański nie ośmielił go wzywać do Pokotynki i przywiózł ze sobą Icka, felczera. Żyd obejrzał chorą, otrząpał ręce, zbladł ze strachu i uciekł do sieni, wymyślając bez ceremonii.

— Co waćpan sobie myślisz? To jest rozbójstwo wieść mnie do takiej choroby. Co to? Czy ja doktor? To jest tyfus, taki czarny, śmiertelny! Ona sobie umrze za mały czas! Tu nie ma żaden ratunek, a ja mam żonę i dziecki! Waćpan chcesz zarazy naprowadzić na całe miasto przez tę parszywą babę! Ja pana zaskarżę do policji. Co to! Jak to! Czemu waćpan nie gadał, po co mnie wiezie! To jest gwałt, ja by i za pięć rubli nie pojechał. Ja potrzebuję zaraz wracać, ja tu i moment nie zostanę.

Pomimo słoty uciekł piechotą. Dogonił go Szczepański, odwiózł, opłacił i uprosił przynajmniej o radę. Żyd go do domu nie wpuścił, ale dał jakieś proszki i zapewnienie, że nic nie pomogą. Z tym wrócił do leśniczówki. Mieszkał zupełnie sam, nie miał nawet sługi, wychodził co rana na służbę, zostawiał chorą bez żadnej opieki w zamkniętym na klucz domu i co dzień wracając o zmroku pewny był, że trupa zastanie.

Ale żyła uparcie. Bezprzytomna, spalona gorączką, bez pokarmu i napoju, żyła dnie, przeżyła tydzień. Całe długie wieczory i noce spędzał nad nią, dziwiąc się niesłychanej tej mocy. Miała żywotność polnego chwastu. Dawał jej proszki Icka, herbatę, mleko, kładł na

Miłosierdzie

Choroba, Strach

⁵⁷gawiedź — tłum. [przypis edytorski]

⁵⁸wywrot — wyrwane z korzeniami i wywrócone przez wichurę drzewo. [przypis edytorski]

głowę chusty zmoczone w wodzie, zresztą nic nie wiedział, co czynić, i nie śmiał wezwać doktora po panice i pogroźkach felczera o policji i zarazie.

Po tygodniu, wróciwszy wieczorem do domu, myślał, że umarła, chłodna była, nieruchoma, bez tchnienia. Usiadł tedy u komina i rozmyślał, że przecie musi dać wiedzieć⁵⁹ do władzy i zająć się pogrzebem. Wyrzekał w duchu, że ją znalazł i zabrał, że na próżno mordował się tyle nocy, że się przez to narazi na zetknięcie z ludźmi i policją.

„Żeby ją tak cichaczem, po nocy, w lesie zakopać — pomyślał. — O Pokotyńkę nikt się nie upomni, nikt się nie zatroszczy, gdzie przepadła!”

Gdy tak rozmyślał, pies zgłodniały węszył po izbie, szukał pożywienia. Potrącił miskę na ławie, spadła na ziemię i rozbiła się z hałasem. Szczepański fuknął na psa, ale gdy zwierzę przypadło mu do nóg, dobył chleb z szafy i począł go karmić.

— Głodnyś⁶⁰, prawda! Zapomniałem! — zamruczał łagodnie.

Na Pokotyńkę nie spojrzał, a ona na ten hałas tłuczonej gliny ocknęła się, wzdrygnęła i otworzyła oczy. Obejrzała się, nie wiedziała, gdzie jest, wpatrzyła się w człowieka — nie знаła go.

Plomień ogniska był całym oświetleniem izby, a w głowie jej było jeszcze wiele śmiertelnych mroków i chorobliwych poczwarał⁶¹.

Człowiek karmił psa — i ona poczuła głód.

— Oj, jeść trochę! — szepnęła.

Człowiek obejrzał się i zerwał. Nie rzekł nic, tylko się uśmiechnął, zbliżył się do niej i rękę położył na głowie.

— Może to być! Żyje! — szepnął z radosnym zdumieniem.

— Gdzie ja? Kto wy? — spytała, budząc się coraz bardziej.

Zakrzętała się, przygrzała mleka i napoiła ją.

Zaraz potem zasnęła znowu i obudziła się nazajutrz zdrowa, głodna, słaba, ale przytomna.

Przez tydzień tylko jadła, piła i spała, zupełnie niedołężna. Szczepański karmił ją i poił jak dziecko, przynosił jej z miasteczka bułki, kupował mięso i wino, spełniał wszelkie posługi. Gdy się zwlekła z posłania, znalazła świeżą bieliznę i odzież — popalił jej łachmany i pościel, wychodząc na służbę zostawiał jej ugotowaną strawę⁶² w garnkach, a wracając uśmiechał się, że wszystko spożyła.

Mało co mówił zresztą. Poznała go, gdy zupełnie oprzytomniała, a na zapytanie, jak się tu znalazła, odpowiedział krótko:

— Pies cię zwęszył w borze. Zabrałem. Tyfus miałaś.

— I pan mnie zabrał! — szepnęła, głową trzęsąc.

— Ładne dziwo! — zamruczał.

— Jasiński psami szczuł. Już teraz wszystko pamiętam! Ja Pokotyńka, pan wie?

— Wiem.

— Ja zaraz sobie pójdę, jak tylko siły zbiorę. Oj, Boże, Boże. Pan się mnie ulitował⁶³!

— Chcesz, idź — chcesz, zostań! Pókiś chora i słaba, to nie puszczę. Potem rób swoją wolę. Zima idzie — siedź, dopóki zechcesz!

Kobieta nie umiała nic rzec, tylko zapłakała. Wracała do sił i zdrowia nadzwyczaj prędko. Syta była, spokojna, w cieple i wypoczynku. Po dwóch tygodniach już warzyła⁶⁴ i krzątała się po domu, już doila krowę i nosiła wodę i drzewo.

Nie mówili do siebie prawie. Pokotyńka, tak ze wszystkimi beczelna, zuchwała, cyniczna, wobec niego czuła lęk i wstyd, on z natury był małowówny, zdziczony samotnością. Przez cały dzień w borze o tyle się odzywał, o ile miał rozkazy do dawania lub kwestie z chłopami do załatwienia. Wieczorem mówił do psa, czytał lub rozmyślał wpatrzony w żar ogniska. Leśniczówka składała się z dwóch izb i kuchni, w całym obejściu

⁵⁹dać wiedzieć — dać znać; zawiadomić. [przypis edytorski]

⁶⁰głodnyś — skrócone od: głodny jesteś. [przypis edytorski]

⁶¹maligna (daw.) — wysoka gorączka, powodująca zaburzenia świadomości, wypowiedanie słów pozbawionych sensu, przywidzenia. [przypis edytorski]

⁶²strawa — pożywienie, jedzenie. [przypis edytorski]

⁶³pan się mnie ulitował — dziś: pan się nade mną ulitował. [przypis edytorski]

⁶⁴warzyć — gotować. [przypis edytorski]

oprócz ich dwojga nie było nikogo — pusto było i cicho, wieczory rozciągały się w nieskończoność, wokoło wicher szumiał po odwiecznych sosnach i sowy piszczały. Teraz co wieczór, wracając ze służby, Szczepański spoglądał, czy dymi się z komina; był pewny, że przyjdzie dzień, że zastanie dom pusty. Pokotynkę natura pociągnie do ludzi.

Ale czas płynął — kobieta nie odchodziła. Zastawał w domu porządek i ład, tylko co dzień uważał⁶⁵, że na wstępie przełknięta była, niespokojna, wyczekująca pierwszego słowa.

— Był kto? — pytał, rozbierając się z kożucha.

Tedy⁶⁶ z odetchnieniem ulgi opowiadała sprawyienne i zaczynała się krzątać, usługiwać mu.

Już się rozgospodarzyła w osadzie. Karmiła krowy i konia, przywoziła siano ze stogu, drwa z lasu, pracowała za parobka i służącą.

Trwało tak przeszło miesiąc. Pewnego dnia Bielak po rewizji sągów⁶⁷ wstąpił do leśniczówki. Zmarznięci obaj byli i przemokli. Bielak poprosił wódki i coś do przegryzienia i rozsiadł się w przedniej izbie.

— Ciepło i schludnie u pana, jakbyś się ożenił — zaśmiał się. — Prawda to, co ludzie gadają, że Pokotynkę trzymasz! Toś niewybredny.

— Chwali pan przecie porządek! — odparł Szczepański i wyszedł do kuchni.

— Daj wódki, kiełbasy i chleba — rozkazał.

— Może pan sam wyniesie, ja się nie pokażę — odpowiedziała. — Wstyd panu uczynię.

— Jaki? U mnie żyjesz i pracujesz, u siebie jesteś. Ale jeszcze nie spytał, jak ci na imię, żebym zawołać mógł.

— Już⁶⁸ Pokotynka.

— U mnie Pokotynką się zwać nie będziesz. Jakże ci? Prędeż.

— Magda! — szepnęła, drżąc cała.

Nic więcej nie wyrzekł i wyszedł. A ona, krzątając się, dygotała z jakiegoś lęku czy szczęśliwości i leciały jej gradem łzy z oczu.

Ledwie się opamiętała i pohamowała, ale bez tchu, tak jej waliło serce, weszła do izby i poczęła usługiwać.

— Jak się masz, Pokotynka! — ozwał się do niej Bielak. — Niezłą dostałaś zimowłę⁶⁹.

Myślał, że go w rękę pocałuje, ale kobieta nagle zhardziała, czuła się u siebie.

— Dobrze mi, byleby zdrowie! — odparła poważnie i zwróciła się do Szczepańskiego:

— Obiadu pan jeszcze nie jadł. Można podać?

— Potem! Psa nakarm przede wszystkim.

— Już śpi, syty.

Wyszła i czekała w kuchni owego zawołania po imieniu, a serce jej się tłukło, aż bolało.

— Magda!

Poskoczyła⁷⁰. Do nóg by mu runęła, ale nie śmiała, tylko patrzyła nań przez łzy, jakby tym nazwaniem odkupił ją z niewoli, wrócił człowieczeństwo.

— Herbaty nam podaj! — rozkazał.

Późno w noc Bielak odjechał. Słychać było w kuchni, że się sprzeczali na rozstaniu, i siadając na koń, rzadca rzekł:

— Pana obowiązek był sągi zrabować i mnie zdać. Dalej ja nimi dysponuję, a źle z tym panu, wolna droga do Mohilewa⁷¹. Tam pana znajdą!

Roześmiał się szyderczo, a Szczepański zmilkł, zawrócił do izby i resztę nocy chodził z kąta w kąt, jak zwierz w klatce, a następnych dni parę nie tknął jada i nawet do psa nie zagadał.

Kobieta śledziła go, ale nie śmiała zagadnąć.

⁶⁵uważać — tu: zauważać, spostrzegać. [przypis edytorski]

⁶⁶tedy (daw.) — zatem, wobec tego. [przypis edytorski]

⁶⁷sąg — miara objętości drewna, stosowana w leśnictwie. Jeden sąg zawiera stos drewna o objętości 4 metrów sześciennych. [przypis edytorski]

⁶⁸już — skrót od: ja jestem przecież. [przypis edytorski]

⁶⁹zimowla — okres zimowania, od późnej jesieni do wiosny, szczególnie w odniesieniu do pszczół; tu: schronienie na tenże okres. [przypis edytorski]

⁷⁰poskoczyć (daw.) — podbiec szybko, z podskokiem. [przypis edytorski]

⁷¹Mohilew — miasto we wschodniej części Białorusi, kiedyś województwo witebskie. [przypis edytorski]

Wielkie śniegi spadły na ziemię, leśniczówka zasypana była, jeszcze bardziej od świata odcięta; obchód lasu mozolny był, ale Szczepański wychodził o świcie, wracał o zmroku.

Trzeciego dnia odważyła się odezwać:

— Bez strawy pan od środy!

— Co tobie do tego. Psia nakarm! — mruknął.

— Ryby nawarzyłam⁷²! Chleb świeży — rzekła.

— Sprzątaj i wynos się do licha! — krzyknął.

Zgarbiła się, zadygotała, ale nie spełniła rozkazu i po chwili poczęła znowu nieśmiało:

— Pozwoli pan buty ściągnąć. Trzeci dzień ozuty⁷³!

Spojrzał na nią ponuro.

— Czegoś się do mnie dziś uczepiła!

— Toć pan zachoruje z głodu i męki. Choć kubek mleka ciepłego proszę wypić! — błagała i lzy jej leciały z oczu.

Patrzył na nią, patrzył, wreszcie rzekł:

— Ano, daj mleka!

Wypił pierwszy kubek niechętnie, drugi już przegryzł chlebem, nie bronił jej ściągnąć przemokłe buty i zagadał do niej:

— Pojedziesz jutro do dworu z workami po ordynarię⁷⁴ do prowentu⁷⁵. Nie zapomnij wziąć książki służbowej. Sanie ci rankiem narządę.

— Jużem narządziła. Może pan pozwoli wstąpić do miasteczka po naftę i sól?

Wstał, otworzył kuferek, wydobyl skórzany woreczek i dał jej rubla.

— Dosyć ci będzie?

— Wcale mi nie trzeba. Ryby dziś nałapałam cały kosz w przerębli. Kupię, co potrzeba, i jeszcze parę złotych zostanie.

— Ryba twoja, a rubla węz. Wódki mi też przywieź!

Ucieszyła się widocznie.

— To mi wolno rybę sprzedać dla siebie?

— Głupiaś. Jeśli ci co trzeba, toć służysz tutaj. Możesz wziąć pensję. Ile chcesz?

— Oj, panie, długo mi jeszcze odslugiwać za pana dobro. Co mi trzeba? O Jezus! Żeby mnie pan nie wygonił.

— Głupiaś. Prędzej ty uciekniesz z nudy, jak ja ciebie wygonię. I tak mnie dziwno, że tyle czasu siedzisz.

— Tyle czasu! Żeby tak do śmierci tu być.

— Dur⁷⁶ na ciebie napadł! — ruszył ramionami.

— Oj, panie, a toć tu jak w raju.

Popatrzył na nią skuloną u komina. Wycierała tłuszczem buty.

— Dobrze ci?

— Tak dobrze, że i nie wypowiedzieć. Żeby ino pan nie wypędził.

— Póki zechcesz, będziesz. Daj no jeszcze jeść!

I zjadł za trzy dni, a potem spał jak kamień.

Pokotynka zostawiła go śpiącego nazajutrz rano i ruszyła raz pierwszy od jesieni między ludzi. Jechała saniami, jakby jaka pani, miała rybę na sprzedaż, pieniądze w węzku, książkę służbową swego pana w zanadrzu, czuła się tak dumna, jak nigdy w życiu.

Zajechała do Mejlacha, dała po gospodarsku torbę z obrokiem⁷⁷ klaczy, nakryła ją derką⁷⁸ i rozpoczęła handel i targ. Zbiegło się kilka tuzinów⁷⁹ Żydyaków i gapiów na takie widowisko, ten i ów zaczął po dawnemu kobietę i przekonał się, że pięść miała

⁷²nawarzyć — ugotować. [przypis edytorski]

⁷³ozuty (daw.) — obuty; mający założone buty. [przypis edytorski]

⁷⁴ordynaria (z łac. *ordinarius*: zwyczajny) — wypłacana w naturze (w postaci zboża, ziemniaków, drzewa na opał) część zarobków oficjalistów dworskich, służby i stałych robotników rolnych w daw. folwarku. [przypis edytorski]

⁷⁵prowent (z łac. *proventus*: dochód) — dochód, zysk; tu: miejsce, w którym rozdzielano dochód z folwarku (i wydawano pracownikom ordynarię). [przypis edytorski]

⁷⁶dur — głupota, szaleństwo. [przypis edytorski]

⁷⁷obrok — pasza dla koni. [przypis edytorski]

⁷⁸derka — okrycie koni chroniące przed deszczem, śniegiem, zimnem. [przypis edytorski]

⁷⁹tuzin (z łac. *duodecim*) — dawna jednostka miary: 12 sztuk. [przypis edytorski]

twardą, odmówiła nawet pogardliwie zaprosinom na poczęstunek do Zelmana i propozycjom znanej faktorki⁸⁰ Lejbowej, żeby przyjęła służbę u bogatego mieszczanina Szachny, który przed miesiącem owdowiał. Nie, nie chciała ni wódki, ni zabawy, ni perspektywy zamęścia lub panowania u Szachny, chciała jak najprędzej wrócić „do siebie”.

We dworze pisarz prowentowy⁸¹, młody Szymański, począł z nią żarty stroić; zwlekał z wydaniem zboża, ciągnął ją do swej stancji.

— Jak będzie zboże na furze, to wstąpię! — obiecała.

Ale gdy worki były pełne, zacięła⁸² klacz i uciekła, i gnała z powrotem, śpiewając i śmiejąc się z uciechy.

— Wróciłaś? — rzekł do niej Szczepański, gdy przyszedł o zmroku i wstąpił wprost do kuchni.

— Zaraz po południu. Byłabym wcześniej, ale we dworze Szymański mitrężył⁸³!

— Myślałem, że do jutra nie wrócisz albo i wcale nie. Co to? Lnu⁸⁴ dostałaś? Po co?

— Kupiłam za rybę. Prząść będę! — zaśmiała się raz pierwszy. — Na drugą jesień swój będzie. Zagonów⁸⁵ dziesięć posieję w ogrodzie. Na okolicę nie bywało lnu i płótna takiego, jak u nas.

— Gdzie to? U was?

— Oj, daleko, u ojców. My, szlachta, w samodziłach⁸⁶ tam chodzimy. Umiem i welnianki tkąć wzorzyste, i kilimki⁸⁷. Zobacz pan.

— Toś ze szlachty? Rodzinę masz?

— Jedną⁸⁸ była u ojców. Jużci tam nie wrócę! — Sposepniała i dodała ciszej: — Jak tak daleko się odbijesz, to już nazad⁸⁹ nie trafisz. Jużci i nie chcę wracać!

Potrząsnęła głową, jakby odganiała myśli, i poczęła się krzątać u komina, a on się zadumał posępnie.

Miała tedy Pokotynka len i przędła go w nici jak pajęczyny cienkie i długie, i zrazu cicho i nieśmiało nuciła przy robocie tęskne pieśni stare, przechowane od wieków po zaściankach.

Śpiewała w kuchni wieczorem, urywając, ilekroć jej gospodarz poruszył się w swym mieszkaniu.

Ale on sobie tego nie przykrył⁹⁰, owszem, rad słuchał i do tego doszło, że zachodził do kuchni i kazał jej śpiewać, i siadywał na ławie, paląc papierosy, ukołysany smętną melodią.

Tak przeżyli zimę. Byłoby szczęście, ino jak zmora⁹¹ przychodziły złe dni na Szczepańskiego. Ilekroć jechał do dworu lub Bielak był w lesie, nastawały paroksyzmy⁹² choroby.

Poznała to rychło Pokotynka. Ze dworu wracał Szczepański zwykle pijany, po bytności Bielaka jak zwierz dziki się miotał, nie jadł, nie spał, pił wódkę do utraty pamięci. Jednakże nigdy jej nie ukrzywdził ani złego słowa nie rzekł.

Bardzo ją też zdziwiło, gdy pewnego dnia przyjechała do leśniczówki Bielakowa. Szczepański przyjął ją w swej stancji — zabawiła godzinę, mówili bardzo cicho, była bez furmana⁹³ i pojechała dalej w las na spacer. Powtórzyły się te odwiedziny i Szczepański rzekł pewnego dnia, gdy ją odprowadził, do Pokotynki:

Pijaństwo

⁸⁰faktoria — placówka handlowa zakładana dawniej w miejscu odległym od stolicy lub głównego ośrodka handlowego w celu skupowania miejscowych surowców i produktów; faktorka: właścicielka takiej placówki. [przypis edytorski]

⁸¹pisarz prowentowy — urzędnik w dawnej Polsce, który zajmował się kontrolą i obliczaniem dochodów z majątku ziemskiego, folwarku lub zakładu przemysłowego, czerpiąc z tego zyski. [przypis edytorski]

⁸²zacięć klacz — poganiając, uderzyć batem. [przypis edytorski]

⁸³mitrężyć — zwlekać, marnować czas. [przypis edytorski]

⁸⁴len — roślina włóknista uprawiana i wykorzystywana do produkcji tkanin. [przypis edytorski]

⁸⁵zagon — wąski, długi pas zaoranej ziemi uprawnej. [przypis edytorski]

⁸⁶samodziół — tkana na ręcznym krośnie tkanina. [przypis edytorski]

⁸⁷kilimek — tkanina dekoracyjna, dwustronna, wykonywana wełnianym wątkiem na osnowie wełnianej lub lnianej. [przypis edytorski]

⁸⁸jedną była — inaczej: jedna byłam (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

⁸⁹nazad (daw., gw.) — z powrotem. [przypis edytorski]

⁹⁰przykryć sobie coś (przestarz.) — znosić coś niechętnie, być czymś znudzonym. [przypis edytorski]

⁹¹zmora — mara; w słowiańskich i nordyckich wierzeniach pół demoniczna istota, która męczy śpiącego w nocy, wysysając z niego krew. [przypis edytorski]

⁹²paroksyzm — nagły i gwałtowny wybuch lub nasilenie się objawów chorobowych. [przypis edytorski]

⁹³furman — osoba kierująca wozem konnym, tj. furmanką. [przypis edytorski]

— Wiesz ty, kto to był?
— Nie wiem, panie, czy kto był! — odparła.
— To dobrze. Jak słowo piśniesz, to będzie źle z tobą. Pamiętaj!
Dziwny uśmiech przeleciał po jej twarzy.
— Czego się śmiesz! — zawołał ostro.
— Śmieję się, że mi pan grozi. Nie może mi pan nic złego zrobić.
— Myślisz? Nie próbuj!

Zapałały jej oczy i policzki nabiegły krwią. Odwróciła się i wyszła prędko. Gdy mu podała wieczkę, jeszcze raz rzecz zagaił:

— Słuchaj, ze mną nie żartuj! Nie chcę tobie nic złego zrobić, ale raczej idź stąd precz, jakbyś miała moją złość poznać.

— Alboż⁹⁴ pan zły, dola pańska zła! — odparła. — O mnie niech się pan nie boi, nie zdradzi pana Łyska ani ja. Jednakże⁹⁵ my dwoje!

Nadeszła wiosna. Pokotynka rzuciła się zajądło do roboty. Ogród był duży przy leśniczówce, ale go Szczepański nie uprawiał, bodiakami⁹⁶ porósł. Kobieta wydarła go i wykarczowała, skopała i zasiała. Pracowała za dziesięciu, nie ludzkie, a olbrzymie miała siły. Zrywała się do roboty o szarym świcie, nie próżnowała nawet w święto. Szczepański patrzył na nią z podziwem.

— I po co ty się tak zamęczasz? — spytał raz.

— Oj, panie, mnie tak dobrze! — odparła, ocierając pot z czoła. — Nie milej wam teraz spojrzeć po zagrodzie?

Obejrzała się wokoło. Szeroką obręczą osadę las czarny otaczał, droga szła pod chatą w głąb puszczy, a opodal struga⁹⁷ się sączyła z gęstwiny w ługi⁹⁸ Horyniowe⁹⁹, obrosła gęsto olszyną.

— Cudnie tu, cicho! Jużem obsiała wszystkie zagony, boć i wiosnę dał Bóg słodką i wesołą, śpiewająco robota szła.

— Jutro niedziela. Pójdź do miasteczka, kup sobie przyodziewek¹⁰⁰, buty, zabaw się! Toć jak koń harujesz. Zmordowana być musisz do cna¹⁰¹.

— Mocy mi przybyło tylko! — zaśmiała się.

Zabrała swe narzędzia i poszła do chaty. Wieczór zachodził cichy i wonny, czeremszy-ny kwitły, słowiki zawodziły po krzakach, z łąk grały żabie kapele i chóry ptaków błotnych. Szczepański pozostał na ławie przed chatą. Kobieta krzątała się po domu i słychać było jej śpiew tęskny:

Czy ja w ługu¹⁰² nie kalina była,
Czy ja krasnych koralu nie nosiła,
Wzięli mnie — porąbali,
Po gościńcu rozsypali,
Czarna dola moja, ciężka dola moja.

Podawała mu przed chatą wieczkę i stanęła we drzwiach, czekając na rozkazy. Tędy rzekł:

— Siądź i ty, jedz!

— Z panem! Bodajże! Mnie z Łyską dobrze!

— Siadaj! Mam cię prosić może? Królowna!

Krzyknął tak głośno, że usłuchała. Przyniosła sobie zydelek¹⁰³ i łyżkę, i jadła pospo-łu¹⁰⁴.

⁹⁴alboż (daw.) — dziś: czyż. [przypis edytorski]

⁹⁵jednakie (daw. forma) — dziś: jednakowe a. jednakowi. [przypis edytorski]

⁹⁶bodiak (ukr.) — roślina stepowa o kolczastych liściach i łodygach; oset, łopian itp. [przypis edytorski]

⁹⁷struga — mała rzeczka, strumyk wody. [przypis edytorski]

⁹⁸ług a. łęg (reg.) — podmokła łąka, rozlewisko, bagno. [przypis edytorski]

⁹⁹Horyn — rzeka na Ukrainie i Białorusi, prawy dopływ rzeki Prypeć. [przypis edytorski]

¹⁰⁰przyodziewek (daw.) — ubranie. [przypis edytorski]

¹⁰¹do cna (gw.) — całkowicie, doszczętnie. [przypis edytorski]

¹⁰²ług — podmokła łąka; moczar. [przypis edytorski]

¹⁰³zydelek — niski, prosty, solidny drewniany mebel służący do siedzenia, z oparciem lub bez oparcia, używany na wsiach i w tradycyjnych domostwach. [przypis edytorski]

¹⁰⁴pospołu (daw.) — wspólnie, razem. [przypis edytorski]

Wtem zaturkotało coś na drodze — porwała się.
— Nie waż się ruszyć — rzekł, oglądając się. — Czego się boisz? U siebie jesteś! Siedź i jedz!

Pod furtkę zajechał dworski dozorca z kartką od Bielaka. Popatrzał na Pokotyńkę, ale słowa nie rzekł, bo ze Szczepańskim nikt nie śmiał żartować. Oddał kartkę, nadleśniczy przeczytał.

— Toki¹⁰⁵ się już kończą. O głuszcach ani mowy, cietrzewi może jeszcze co ubiję! A raki? Skąd? Czy ja rybak pana Bielaka?

— Mejlach zawsze dostaje tu raków setki.

— To ty, Magda, nimi handlujesz?

— A ja. Tam za naszym *batem*¹⁰⁶ pełno jest.

— Masz co złapanych?

— Skąd? Chyba teraz pójde!

— To na jutrzejsze imieniny panny Jasińskiej taki gwałt — rzekł dozorca ze zjadliwym uśmiechem. — Smaruje ich Bielak miodem, a utopiłby w łyżce wody.

Usiadł na ławce, obejrzał się.

— Aleś pan sobie wypucował¹⁰⁷ obejście! Aż pachnie, tak czysto i *aligancko*¹⁰⁸. A jużci warzywa to będą na pokaz, tak się biorą. Zundel, rzeźnik, gada, że ma pan jałówkę dwumiesięczną, za którą dawał piętnaście rubli. Chyba łże.

— Dawał ci? — spytał Szczepański Pokotyńki.

— A jużci. Jeszcze na Zwiastowanie¹⁰⁹. Teraz nieboga schudła, bo odsadzona.

— Pokaż ją! Ja od zimy nawet do obory nie zaglądałem.

Pokotyńka skoczyła na podwórze i przyprowadziła cielaka, pasąc go po drodze chlebem i głaszcząc. Szło zwierzę za nią jak pies, a było istotnie na pokaz utrzymane.

— *Prosto lanszaft*¹¹⁰! — zdecydował zachwycony dozorca, a gdy kobieta zabrała je z powrotem do obórki, rzekł:

— Jednakowoż osobliwość. Toć na żadnej służbie Pokotyńka i miesiąca nie wytrzymała. Albo ją wygonili, albo sama uciekła. Była ci u nas dwa tygodnie, ale nie wytrzymała. A, ot, u pana się trzyma! Co ją pan płaci?

— Nic. Siedzi z ochoty.

Dozorca się roześmiał. Szczepański spojrzał mu w oczy.

— Nikt jej tu w borze nie sponiewierał ani się z nią bawił, ani słowem do roboty naganiał. U was hulala — u mnie pracuje.

— Cudotwórca z pana! — niedowierzająco mruknął dozorca i jął oglądać kobietę, sprząającą statki¹¹¹ po wieczery.

— Bestia przystojna jak łania. Oj, nie utrzyma jej pan długo, chyba do pierwszego jarmarku. Przechimowała, odpasła się¹¹², drapnie¹¹³ w świat. Zobaczysz pan.

Szczepański ramionami ruszył.

— Nie niewolę jej. Niech idzie!

Nazajutrz wyprawił ją do miasteczka, kazał odnieść do dworu raki i parę cietrzewi, dał dziesięć rubli na przyodziewek i buty — sam pozostał w domu i po całonocnym polowaniu zasnął jak kamień. Obudził się po południu, ubrał się i poszedł powoli drogą ku miasteczku. Nie spodziewał się jej przed wieczorem, a może wcale. Wiosna bo była¹¹⁴.

W powietrzu, w wodzie, na ziemi wszystko kipiało, dyszało szaleńcem odrodzenia, żą-

Natura, Wiosna, Muzyka,
Śpiew

¹⁰⁵*toki* — zachowanie się zwierząt w okresie godowym, wyrażane ruchem, charakterystycznym dźwiękiem czy wydzielaniem substancji zapachowych w celu zwabienia samicy. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*bat* (ros. *тамъ*) — tu: tama, grobla. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*wypucować* (pot.) — wymyć, wyczyścić coś bardzo dokładnie. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*aligancko* (gw.) — elegancko. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*Zwiastowanie* a. *Zwiastowanie Pańskie* — uroczystość liturgiczna w kościele katolickim, obchodzona 25 marca. W tym dniu czci się tajemnicę wcielenia Jezusa Chrystusa. [przypis edytorski]

¹¹⁰*landszaft* — obraz o małej wartości artystycznej, często przedstawiający krajobraz obiegowo uchodzący za piękny; tu: piękny widok. [przypis edytorski]

¹¹¹*statki* (daw.) — naczynia. [przypis edytorski]

¹¹²*odpasć się* (pot.) — jedząc dużo przez jakiś czas, zwiększyć swoją masę ciała, która wcześniej była zbyt niska. [przypis edytorski]

¹¹³*drapnąć* (pot.) — uciec. [przypis edytorski]

¹¹⁴*wiosna bo była* — przecież była wiosna (szyk przestawny użyty w celu podkreślenia treści). [przypis edytorski]

dzy życia i użycia. Wściekła siła przyrody pulsowała w drzewie i w trawie — w każdym stworzeniu. Po łąkach wabiły się czajki i kaczki, w powietrzu wabiły się skowronki, żdźbło każde goniło ku słońcu, by zakwitnąć, a każdy śpiew, szmer, brzęk owadu¹¹⁵, plusk w wodzie był akordem, nutą jednej pieśni: „pożadam, pragnę, kocham”. Szczepański szedł ku miasteczku. Widział je w dole nad rzeką i myślał, że po szynkach teraz pełno i pełno po wszystkich krzakach, opłotkach, ogródkach. Piją, śpiewają, grają — i szaleją.

Wtem, daleko na drodze ktoś śpiewać począł. Przystanął i słuchał zdumiony — to Pokotyńka już wracała. Poznała go z daleka, przyspieszyła kroku i powitała radosnym uśmiechem.

— Pan pewnie głodny. Zabawiłam bardzo duży czas.

— Chciałem cię rzemieniem wygnać z szynku do domu.

— Doprawdy! Oj, czemuż ja nie czekałam, głupia.

— Czego?

— Batoga pańskiego. Byłabym bezpieczna, że pan mnie do siebie goni, a nierad się pozbyć.

— Tak ci myślisz. Za coś bym cię precz gonił? Gdzieżeś się włóczyła tyli¹¹⁶ czas?

— Byłam we dworze. Skręt tam, muzyka, goście, pani Bielakowa swarzyła¹¹⁷ się z mężem o tę zwierzynę, gadali po francusku; ona potem krzyczała, że mnie psami poszczuje, on mi dał rubla i kazał nieść raki i cietrzewie do panny Jasińskiej.

— Po coś brała rubla? — krzyknął.

— Od Bielaka ja bym wzięła? — zachnęła się. — I do Jasińskich nie poszłam, oddałam Stefanowi, furmanowi, on poniósł.

— To dobrze!

— W miasteczku, zda się, tylko moment bawiłam, a z dziesięciu rubli, to, ot, tylko jedenaście złotych zostało.

— Lejbowia cię nie zaczepiała?

— Kogo by ona nie zaczepiała.

— Do Jasińskiego?

— Skąd pan wie? Ona nie mówiła wyraźnie, tylko chwaliła, że ma służbę lekką i wesołą i pięćdziesiąt rubli dostać mogę.

— Cóżżeś rzekła?

— Ano, że jak pan mnie wygoni, to do niej się zgłoszę.

— To idź choć zaraz. Czy ja cię gwałtem trzymam? Przechimowałaś — idź do ludzi na lato.

Spojrzała nań przerażona, tchu jej zabrakło z lęku i zgrozy.

— Panie, sokole, nie wyganajcie mnie od siebie — wyjąkała rozpacznie.

— Ja ci nie dam ani pięćdziesiąt rubli, ani lekkiej służby, ani wesołości. Kiedy ci się lepiej trafia, to idź! Będziesz mi potem wymawiać, że ci dołę popsul! Po co mi to!

— Ja od pana pójdę chyba na strzynek albo w Horyń pod most.

— Zdurzałaś!

— Nie, panie. Dur mnie odstąpił w borze, wtedy jak mnie pan podjął z ziemi. Pięć lat ja nie człowiek byłam — onucza na żydowskim śmietniku. Pięć lat głodna byłam, bita i pędzona — wtedy tylko szczęśliwa, jak pijana bez pamięci. Nie było na mnie czystej ni całej szmaty, nie było na jedną noc własnego barłogu, nie mogłam ja rzec nikomu: „Nie chcę”, nie miałam ludzkiego imienia ni woli, ni słowa, ni obrony. Pięć lat, panie, takiego duru i zapamiętania, takem siebie karała, tak ci mnie żal i szaleństwo wciągnęło, jak na złych błotach topiel chwytą, ciągnie, pęta, aż połknie, aż usta *brej* czarny zaleje. A pan mnie z tej topieli, z tego gnoju, śmiecia do chaty swej przyniósł — mnie, Pokotyńkę, zarazę, zdychające zwierzę plugawe. Oj, panie, ja nawet tej szmaty czystej, co mi ją pan dał, nie dam nikomu tknąć, ja bym za tego psa pańskiego oczy by sobie dała wydrzeć, żeby głodny był, serce bym mu swoje wypruła, a ja mam iść do ludzi. Mnie się zda teraz moja ślina nazbyt czysta, by na nich plwać.

— Czyś się upiła, Magda, że tyle gadasz? — rzekł zyczliwie i położył dłoń na jej głowie.

¹¹⁵owadu (daw. forma) — dziś D. lp: owada. [przypis edytorski]

¹¹⁶tyli (daw., gw.) — tak duży, tak długi. [przypis edytorski]

¹¹⁷swarzyć się (daw.) — klócić się. [przypis edytorski]

Spojrzała ku niemu, a miała twarz jak w łunie słonecznej jasności.

— Nie ja gadam — dusza mi gada. Takem leciała do dom radośnie, tak mi słodko i wesoło. Niech pan daruje śmiałość. Nie piłam nawet kropli piwa, ot, głupiam i prosta baba!

— Dobraś mi taka. Wracajże do dom, twój jest.

Szli tak chwilę w milczeniu.

— Cóżes tak ścichła? — spytał z uśmiechem.

— Ot, myślę, żeby pan na swoje poszedł.

— Jak to? Na swoje?

— Żeby pan nie służył. Nie na pańską naturę takie życie, a jeszcze tutaj, pod Bielakiem. Żeby pan bodaj tysiąc rubli miał, na dzierżawę poszedł — inna by dumka była, inna ochota. A tu co? Nie oduczy pan Bielaka kraść ani go powstrzyma, ino się pan gryzie, robaka nosi pod sercem! Żeby ino tysiąc rubli!

— Ani ich chcę zbierać. Po co mi!

Machnął ręką i szedł, patrząc w ziemię.

— A ja zbiorę tysiąc rubli. Żeby ino pan pozwolił.

— Zbieraj, kiedy cię to bawi — mruknął, już myślą gdzie indziej, obojętny na wszystko.

Pokotyńka zaczęła zbierać grosze, miedziaki — za jaja, masło, kury, raki, rybę. Żydówki poznały drogę do leśniczówki i odwiedzały ją często. Szczepański ruszał ramionami, gdy kobieta opowiadała mu o swych bajecznych dochodach.

— Utopisz się kiedy, łażąc po raki, i tak się to skończy.

Aż raz, około św. Jana, wracając wieczorem, zobaczył Pokotyńkę rozmawiającą z Lejbowa.

Na jego widok ucichły i Żydówka podreptała na drogę ku miasteczku. Dogonił ją łatwo i chwycił za kark.

— Czego ty tutaj, gadzino? Do mojej chaty śmiesz łazić? Poczekaj, ja cię drogi nauczę, że ją dziesiątemu zakażesz!

Żydówka podniosła wrzask przeraźliwy. Pies się rzucił w pomoc panu i podskoczyła Pokotyńka, przerażona, że mord będzie.

— Panie, nie ubijcie! — krzyknęła.

Ale on ją odrzucił brutalnie i powłókł Żydówkę do błotnistej doły przy drodze.

Skrzeczła już tylko na wpół zduszona.

Cisnął ją w to rzadkie błoto, nogami zdeptałby, ale Pokotyńka porwała go za rękę, oderwała od ofiary, zatrzymała.

Lejbowa przebrnęła bagno i uciekła, a Szczepański po chwili szamotania porwał kobietę za włosy i bić począł.

Nie wydała jęku ani słowa, na kolanach przed nim zniosła razy cierpliwie, jakby ich nie czuła. On się zaciekł strasznie i bił bez litości. Wreszcie osunęła się na ziemię omdlała z bólu. Wtedy się opamiętał, oprzytomniał, stał chwilę jak skamieniały i przypadł nad nią. Była jak martwa.

— Magda!

Drgnęła i otworzyła oczy — odetchnęła.

Dźwignęła się z trudem, lecz zamiast narzekać, płakać, skarżyć się lub tłumaczyć, objęła jego nogi ramionami i przygarnęła doń twarz.

— Oj, Bóg łaskaw, żeście jej nie ubili! — szepnęła.

— Magda, wybacz. Po coś mi na drodze stanęła?

— Mielście dla tej Żydowicy w katorgę iść. Toć widziałam, że śmierć uczynicie.

— Po co ona tu była? Coś z nią gadała? Namawiała cię na łajdactwo?

— Nie, panie, targowałam pierze.

— Kłamiesz!

— Wam, panie!

— To czemuś słowa nie rzekła, dała się bić?

— Wasza jestem, panie! Jeśli byście mnie ubili, nikt by was o mnie nie trwożył. Nikt by i nie troszczył, gdzieś się podziała! Żyję z waszej łaski, możecie ubić!

— Co ci, kobieto! Za kogo mnie masz! Daruj!

— Co, panie! Albo mnie bolało! Nie mówcie tak, bo mi wstyd!

Przemoc, Męczyzna

Wstała i dysząc ciężko, zgarnęła włosy stargane.
 — Zaraz panu wieczerek podam! — rzekła.
 Położył dłoń na jej ramieniu.
 — Magda, nie masz żalu do mnie? To nie może być. Toć musisz czuć, że cię ukrzywdził.
 — Oj, panie, skroś moje miłowanie, dla was nijaki żal nie dojdzie. Wszystko od was dobre. Warta ja co lepszego od was jak razów?
 Ogarnął ją ramieniem ku sobie i spotkali się oczami.
 — Miłujesz mnie? — spytał głucho.
 Na twarz jej rzuciła się cała krew serdeczna.
 — Nie wiecie, panie! — wyjąkała, czując, że traci i strach, i wstyd, i pamięć, kim jest, wobec jego dotknięcia i spojrzenia, i zmienionego głosu.
 — Waszam, panie, wasza!
 Zarzuciła mu ręce na szyję i poczęła namiętnie całować, a potem wyrwała się i uciekla przed siebie w las, bez pamięci, oszalała.
 Gdy teraz przypominała tę chwilę, zakryła twarz rękami i płakała ze szczęścia.
 Taką duszę miała miłosną i wdzięczną, takie w kochaniu zapamiętanie i taką niedolę.
 Ale ten umiłowany nie ukrzywdził jej i nie sponiewierał, dobry był — tylko posepny, małomówny, myślą zawsze daleki i obcy.
 No, bo czyż mógł — on — Pokotynce się zwierzyć, łaskę czynił, że się miłować pozwalał i służyć...
 Oj, latoż to było, lato! Nadto dobre i słodkie, i jasne! Teraz ci mu koniec. Teraz ci wraca czarna niedola i troska — inna dumka!

Miłość, Pocałunek, Pan

Kobieta powstała, ogarnęła się chustą, zawołała psa. Ranek daleki był jeszcze, ale poszła odważnie w tę ciemność; wróciła jej moc na myśl, że temu skazanemu ona jedna została teraz opieką i przyjacielem.

Jeszcze nie świtało, gdy doszła do leśniczówki.

W domu spał jeszcze Nowicki z rodziną. Pokotynka dostała się do obórki, wdrapała się na strych, do siana — znalazła tam schowany tłumoczek szmat, blaszane pudełko z zebranymi przez siebie pieniędzmi i wyniosła to na podwórze. Chwilę myślała, gdzie by ukryć, i wreszcie ruszyła w las, bez drogi, w gąszcze świerkowe i tam przepadła.

Około południa była z powrotem w leśniczówce. Nowicki już się rozlokował, ustawił swe graty. Przed domem, w błocie, na deszczu wałyły się ich sprzęty, zrzucone bezładnie.

Poczęła swój ukochany len przede wszystkim zbierać, gdy Nowicki ją spostrzegł i wyszedł.

— A ty tu czego, złodziejko! — krzyknął.

— Swoje zabieram! — burknęła.

— Twoje to! Czyś ty tego zbója żona, czy siostra! Won! Rzeczy dwór zatrzyma! Nie śmiej ruszyć!

— A dworowi co do jego rzeczy? Zadłużył się wam czy okradł? Jakim prawem grabicie?

— Ty milcz, suko, bo cię nauczę! I won idź! Masz od niego kartkę albo od pana Bielaka?

— Nie mam i nie potrzebuję. A dobra naszego w błocie nie zostawię i wam nie podaruję.

Na krzyk wyszli dwaj synowie Nowickiego i żona — wszyscy z kijami.

— Won idź, słyszysz. Idź do dworu z jego kartką, a nam przyniesiesz rozkaz na piśmie od pana Bielaka. Inaczej nie damy ci nic tknąć.

— To pan Bielak kazał wam sprzęty tłuc i na kupę w błoto walić? Złodzieje wy sami i zbóje!

— Wal ją! — krzyknęli synowie, podskakując. Wyrwała kół z płotu, oparła się plecami o furtkę — czekała napaści odważnie.

Może by i ubili ją, ale nadjechał chłop furą, ten sam, który ją poprzedniego dnia pytał o klacz Szczepańskiego, i wmieszał się do sprawy.

Złodziej

— Za co wy ją bijecie?

Nowicki, sapiąc ze złości, wyjaśnił.

— Do ukończenia sprawy pan Bielak rzeczy i dobytek Szczepańskiego zatrzyma; tak przykazała policja i tak chce prawo, jako on nie ma nikogo z rodziny ni z krewnych.

— To i klaczy kupić nie można? — spytał obojętnie chłop. — A ta mi ją wczoraj sprzedała. A ja durny uwierzył!

— Nic nie wolno ruszyć. Ze dworu fury przyjdą po te graty i tam je przechowają! A ta jakie prawo ma! Chce ukraść i przepić z żołdatami, a policja będzie się do nas czepiać! Won, wywłoko!

— Bo i prawda! — mruknął chłop zawracając klacz.

Pokotyńka popatrzyła po gratach, po całym obejściu i pobiegła na drogę ku miasteczku.

Musiała dostać się do Szczepańskiego, by jej dał upoważnienie do zabrania gratów.

Ptakiem leciała, ale gdy stanęła przed domem stanowego, było już południe i stróż ją objaśnił, że więźnia już dawno poprowadzono na stację kolei. Chciała za nim lecieć, ale stróż ją zatrzymał.

— Durna ty, toć maszyna już poszła. Piechotą parowóz zgonisz! Idź, proś pana Bielaka, może ci poradzi. Skończyło się, Pokotyńka, twoje panowanie!

Zawahała się chwilę i pobiegła do dworu.

Zmęczona była, głodna, przemoknięta do nitki, ale nic nie czuła. Równie jak ona głodny i mokry pies dreptał za nią. We dworze nie zastała Bielaka. Towarzyszył pannie Jasińskiej na pogrzebie.

Pokotyńka usiadła na progu i czekała.

Zmierzch zapadał, gdy wreszcie Bielak się zjawił.

Spojrzał na nią i stanął.

— Czego chcesz?

— Niech pan będzie łaskaw, pozwoli mi zabrać rzeczy mego pana. Na deszczu leżą, zmarnują się, kazał mi je sprzedać i pieniądze sobie przynieść. On bez grosza tam.

Mówiła pokornie, prosząco. Popatrzał na nią z dziwnym uśmiechem.

— No, wejdź, pogadamy! — rzekł.

Byli sami w pokoju. Zajął przez drzwi, czy kto nie słucha.

— No, bez grosza nie poszedł. Musiały być pieniądze w kuferku, któregoś tak broniła.

— Skąd, panie! Toć pensji kwartalnej nawet jeszcze nie wziął.

— Nie pamiętam! Pokaż służbową książeczkę.

— Nie mam jej.

— No to przynieś, zobaczę. Przecie nie mogłaś mu oddać tych papierów, coś schowała przed policją. Dobrześ zrobiła!

— Nijakich papierów nie schowałam.

— Nie udawaj. Toć Szczepański mi mówił, że u ciebie są. Widziałem go dziś rano. Prosił, żeby ci oddać rzeczy i pozwolić zabrać krowy i klacz, jak mi wręczysz te papiery. Odwiozę mu je, jutro będę u niego w turmie¹¹⁸. Znasz jego pismo?

— Nie, panie.

— Bo mi kartkę do ciebie zostawił!

Wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł jej kawałek papieru.

Wzięła go do rąk, popatrzyła.

— Kiedy ja, panie, czytać nie umiem.

— To ci przeczytam:

„Przykazuję Pokotyńce wręczyć panu Bielakowi moje papiery, które są u niej schowane, a pan Bielak wynagrodzi ją za to. Papierów tych nie powinna nikomu innemu pokazywać.

Wiktor Szczepański”.

— No widzisz!

— Widzę, panie, ale nic nie rozumiem. Po pijanemu on chyba tę kartkę pisał, bo u mnie nijakich papierów nie ma.

¹¹⁸turma — więzienie. [przypis edytorski]

— Po co łiesz. Ja wiem, że są. Zresztą, jak chcesz. Nie dasz papierów, nie dostaniesz nic. Idź precz!

Zawróciła do drzwi. Odwołał ją.

— Słuchaj, zastanów się. Możesz mieć dużo, ja ci dam za te graty i dobytek trzysta rubli, gotówką dostaniesz, rozumiesz. I wszystko ci to Szczepański darowuje. Domek i ogród za to kupisz w miasteczku — albo za mąż cię wezmą. A tak, co z tobą będzie? Teraz po tej sprawie policja ci nie da spokojnie tu siedzieć bez paszportu. Włóczęgi do turmy idą, wiesz?

Kobieta patrzyła bezmyślnie na niego, zdawała się nie słyszeć.

— To mi, panie, nie oddacie tych rzeczy jego?

— Oddam za papiery.

— To wam nie dosyć jego zguby i zatruty, jego żywota nieszczęsnego i męki. Jeszcze chcecie jego krwawy grosz zabrać, jeszcze wam łakome te nędzne graty nieszczęśnika, co za wasz grzech pokutuje i milczy. To je weźcie sobie, panie, i trzymajcie.

— Milcz, ty bydle! — krzyknął.

— Będę milczeć, bo on mi kazał. Wszystko wasze — i sława, i pieniądze. Syci bądźcie! I te trzysta rubli sobie weźcie, coście mi dać chcieli, ino papierów tych mieć nie będziecie, żebyście spokojnie nigdy nie zasnęli i nie poweselili się w duszy aż po kres żywota waszego!

Rzucił się ku drzwiom, chciał ją zatrzymać — odepchnęła go, wyskoczyła na ganek i znikła.

„Teraz mi drogami nie chodzić, dnia nie znać, ludzi nie spotykać! — myślała, przemyskając się jak cień wśród drzew parku. — Będą gonić, będą tropić, ubije on, gdy dostanie, policja nie puści na wolę¹¹⁹, jak złapie. Teraz mnie ludzkie oko nie powinno widzieć. On katorżnik, ja zbieg, dobrze i tak! Uchowam mu te papiery! A teraz nie oglądać się za siebie, ino żyć jakoś trzeba i skryć się trzeba, a tu zima idzie”.

Zadumała się. Była w tej chwili tylko zwierzem ściganym, głodnym, rządził nią tylko instynkt zachowawczy, czujność, przebiegłość.

Zaszyła się w łożu¹²⁰ nad rzeką i dumiała.

Pies się do niej przytulił i zapiszczał, liżąc po rękach; od dwóch dni nikt go nie karmił.

— Do chaty wołasz — miska ci się roi¹²¹ pełna — rzekła, głaszcząc. — Nie ma chaty ni miski, naści¹²²!

Miała w zanadrzu kawał chleba, dała mu, sama nie jadła, nie czuła nawet głodu ni zmęczenia, bo wiedziała, że czeka ją jeszcze przed spoczynkiem daleka droga.

Wydobyła z zanadru szmatkę i przeliczyła, ile jej zostało pieniędzy z owych pięciu rubli. Miała jeszcze około dwóch rubli. Odetchnęła z ulgą, spojrzała ku miasteczku.

Zapały się w nim światełka po oknach. Pokotynka zeszła ku rzece i szła jej brzegiem. Wiedziała, że pierwsza chata będzie Marka rybaka, jedynej istoty ludzkiej, u której spodziewała się dobrego przyjęcia.

Płot zagroził jej drogę, przeskoczyła, potknęła się o wysunięte na łód czółno, zajrzała przez malutkie okno do chaty i weszła.

Rybak rąbał drwa przed piecem — wysoki, suchy, średnich lat drab, patrzący zuchwale spod konopiastej, rozczochranej czupryny. Roześmiał się krótko na jej widok.

— O czorcie myśli, czort jest! Gadali ludzie, żeście we dwoje utłukli tego juchę¹²³, a ty wolna chodzisz.

— Jak mnie złowią, to nie puszczą. Tymczasem wolna jestem.

— A Szczepańskiego wzięli. Szkoda człowieka. Zapłacił Jasińskiemu za moją Krystę. Daj mu Boże niebo za to. Doigrał się, bestia! Szczepański zuch, za nas wszystkich się porachował. Nie będzie panicz już młodyc¹²⁴ ni dziewczek uwodził, skończyło się panowanie.

Szantaż, Pan

¹¹⁹wola (daw., gw.) — tu: wolność. [przypis edytorski]

¹²⁰łoża — zarośla, krzewy zwł. wierzbowe. [przypis edytorski]

¹²¹roić się komuś — marzyć się komuś. [przypis edytorski]

¹²²naści (daw., gw.) — masz. [przypis edytorski]

¹²³jucha (pogard.) — drań, szelma. [przypis edytorski]

¹²⁴młodyca (przestarz., reg.) — młoda mężatka. [przypis edytorski]

Pokotyńka usiadła na ławce i milczała. Patrzała po chacie. Ciasna była, okopcona, stara, w ziemię wrosła i zapchana nędznymi gratami. Wydała jej się pałacem, twierdzą bezpieczną.

— Pozwolicie spocząć? — spytała.

— Spocznij. Głodnaś?

— Sama nie wiem. Z lęku i męki odurzałam. Jego wzięli, mnie wygnali, ot, jak stoję.

— Cóż będziesz robić?

— Schowam się.

Popatrzał na nią. Rozebrała się z chusty i kożucha, grzała się i suszyła u ognia.

— Ty nie przepadniesz. Nawet i w turmie źle ci nie będzie — roześmiał się. — Możesz i u mnie zabawić, nie wygonię cię.

— Wygonisz, bo nie do zabawy mi. A i zostać nie mogę, bo mnie tu policja znajdzie i ciebie zapłaczę. Odetchnę chwilę i pójdę!

— Dokąd? Toć zima, ni zboża, ni liści nie ma. Zaraz cię złapią, a nie, to z głodu i chłodu zdechniesz!

— No, to co! Zawszeć nie ludzie zamęczą. Jak przyjdzie na lichy koniec, to zdechnę, ale się nie dam ni policji, ni Bielakowi.

— A cóż Bielak ma do ciebie? — zagadnął ciekawie rybak.

— A cóż! Sukcesję¹²⁵ bierze po nim! Zagrał dobytek i sprzęty, upomniałam się — zagroził policją, a wiadomo, co ja przeciw niego — robak. A was w turmę nie zapakował już dwa razy?

Drab roześmiał się dziko.

— Myślisz, że ja mu to daruję. Będzie kiedyś i na mojej ulicy kiermasz. Hycel ten! No, ale kiedy ten ciebie zakarbował¹²⁶, to pilnuj się. Gdzież się schowasz?

— Gdzie? Na błotach.

— Głupiaś! W stogu myślisz? Łada dzień błota zamarzną i wszędzie chłopcy się rozpętną. Nie, na zimę nijakiego schowania nie ma, wszędzie mróz pomuruje drogi, wszędzie ludzie cię znajdą. Na¹²⁷, zjedz tymczasem!

Postawił przed nią miskę krupniku, dał chleb, łyżkę i wziął się znowu do rąbania drewna.

Przełknęła nieco strawy i oddała psu, chleb schowała w zanadrze.

— A gdzie zimował Łomaka, zbiegły? Pamiętasz?

— Oho, Łomaka praktyk był, cztery razy z katorgi zbiegał. Każdy go się bał, taił, i karmił, byle nie podpalił przez zemstę. Po chatach zimował, wielka sztuka, a jak policja coś zwęszyła i tropiła, siedział w młynie po Wieszańcu! Ty tam nawet nie trafisz.

— Czemu nie. Można popłynąć do Chlewców Brażeckich, a potem po kładkach dojść!

— Głupiaś, połowy kładek już nie ma. Łoza się tam wzięła jak kołtun, ani szczeliny!

— To co! Ale do Wieszańca nikt nie zagląda. Nie wiecie, stoi co jeszcze z młyna?

— Pale jeszcze są. Okrutne tam się biorą okonie, ale rzadko kiedy dopłynąć można. Młyn zatonał, dach ino sterczy, a może i nie, nie byłem tam od wiosny. Chałupa stoi, kto ją ruszy, toć tego wisielca tamże i zakopali pod progiem.

Pokotyńka zadumała się. Rybak drwa rąbał, pies syty ułożył się do snu.

— Pożyczcie mi waszej pławicy¹²⁸ — ozwała się kobieta.

— Weź. Mam trzy!

— To mi ją sprzedajcie. Ile chcecie?

— Za tę starą trzy ruble. Po co ci? Zaraz zamarzną rzeki.

— Kupię u was siekierę, sagan, nożyk, worek kartofli — i popłynę do Chlewców. Tam zimą nikt nie zagląda.

— Śmierć do ciebie zajrzy, nie chybi! — zaśmiał się.

— Ino mi ludzi nie naślijcie. Śmierć — bajki.

— Głupiaś. Mnie co do ludzi! A trafisz do Chlewców po nocy?

— Trzeba trafić!

— Nu, to ja cię przeprowadzę do pół drogi. Zaraz chcesz?

¹²⁵sukcesja — spadek. [przypis edytorski]

¹²⁶zakarbować (daw.) — zapamiętać. [przypis edytorski]

¹²⁷na (daw.) — masz. [przypis edytorski]

¹²⁸pławica — długa, płaskodenna łódź wykonana z jednego kawałka drzewa, na której płynie się stojąc, z użyciem wiosła pychowego. [przypis edytorski]

— A cóż. Na co czekać.
 Spojrzał na nią.
 — Taki, biednaś ty! — mruknął.
 Ruszyła ramionami.
 — Czego. Jak żyć człowiek chce, to widać nie biedny. Mam ci kilka rubli, schowane w lesie. Dziś po nie pójde. Zawierzycie mi na mały czas, dam, ile mam teraz.
 — Żeby syna miał, tobym ci go nie zawierzył, ale na pieniądze ty nie złodziej. Odniesiesz, wiem.
 — Odniosę, jak trochę ucichnie. Teraz byle się przyczaić!
 — No, to się zbierajmy! Na rzece teraz ino topielce hulają. Nikogo nie spotkamy. Bierz z chaty, co ci potrzeba.
 Poweselała Pokotyńska. W dwa stare worki załadowała, co jej się zdało niezbędnym do zimowania i co rybak ocenił na sześć rubli. Oddała mu całą kasę, dodał jej jeszcze ogromny bochen chleba i duży pęk włókna konopnego.
 — Nici nakręcisz na siatkę, zda ci się wiosną, jeśli nie zdechniesz. Naści też krzesiwo i hubkę, bo zapalki ci zawilgną, no i jazda!
 Była nieprzebyta ciemność listopadowej nocy. Trzeba było nie oczu, ale specjalnego instynktu chłopskiego, żeby puszczać się na rzekę.
 Marek spuścił na wodę dwie pławice, w jedną złożyli worki i weszła Pokotyńska z wiosłem.
 — Nie straszno ci? — spytał.
 — Czego? Nawet i nie dumam o tym.
 — No, to ja przodem ruszę. A widzisz co nieco?
 — Lulkę kurzycie, za dymem popłynę. Fala niewielka, a i oczy nawykłą do *mraki*¹²⁹. Byleście mnie przez hat przeprowadzili!
 Odbili od brzegu i prąd ich unióś. Nie mówili nic więcej, zajęci kwestią życia. Niosła ich pamięć i instynkt, bo ani wody, ani nieba, ani brzegu widać nie było, a stali na łupinie hibkiej¹³⁰, drobnej, którą łada przechylenie, łada trącenie przewrócić mogło.
 Pod nogami bulgotała toń bezdenna.
 Pies, jakby czuł niebezpieczeństwo, leżał u nóg kobiety nieruchomy, drżąc z chłodu i wilgoci, z czarnych chmur mżył drobny, bezustanny deszczyk.
 W dzień znała Pokotyńska drogę do tych Chlewców. Były to wśród rzek i moczarów niwy chłopskie, gdzie latem w byle jako skleconych szałasach trzymali chłopci bydło na paszy. Zimą stały pustką i nikt ich nie pilnował, bo nikt by się nie łakomił tam co ukrąść ani tam zaglądać.
 Płynęli długo już. Pokotyńska, żałując kożucha i by mieć wolniejsze ramiona do wiosła, była w kaftanie tylko; przemokła już do nitki, ale ciepło jej było; myślała tylko z troską, by jej chleb nie zamókł, ten bochen, może jedyny na całą zimę.
 Słyszała niekiedy przed sobą plusk wiosła rybaka i załatywał ją dym fajki — tym się kierowała, wreszcie nic już nie słyszała, nie czuła; odezwała się:
 — Hop! Żyjecie?
 — Hop! — ozwało się głucho w tumanie.
 — Nie bładzimy?
 — Chyba nie. Gdzieście¹³¹, tu hat niedaleko, aby jak w gardło trafić, a nie na płot. Ot, sztuka.
 — Pilnujcie dębu z ulem! Od niego prość¹³², w lewo.
 — Ale, dębu pilnuj! A wiatrak żurański widziałaś?
 — Nie!
 — No, to zobaczysz! Jak dziś się nie potopimy, to widać i czort nas nie chce. Ot, smoła — nie noc!
 — A ot i dąb. Minęliście — zawołała. — Powracajcie.
 Skręciła w lewo, w wąskie przejście wodne, szparę wśród łóz olszyny. Tam prąd był mniejszy, więc odetchnęła, przestała wiosłować, otarła pot.

¹²⁹*mraka* (daw.) — mgła, szaruga. [przypis edytorski]

¹³⁰*hibki* — gibki. [przypis edytorski]

¹³¹*gdzieście* — skrócone od: gdzie jesteście. [przypis edytorski]

¹³²*prość* — tu: przesmyk wodny, wąska odnoga (por. daw. pęd, latorośl, gałązka, odnóżka). [przypis edytorski]

Marek klnąc zawrócił, i on przystanął.

— Oczy ty masz kocie. Licho cię nie weźmie! Uf, a tom się zmachał!

— Wracajcie. Jakoś dobiję się i sama. Nadto waszej dobroci — poprosiła.

— Nie, już na miejsce dopłynę. Najgorsze przebyte, nurty i wiry, po prościach bezpieczniejszej. Za nic bym nocą nie wracał pod wodę. Odprowadzę cię, w Chlewcach ranka doczekam. Teraz byle się na płot nie nadziać, to żywi ostaniem.

Ruszyli dalej; lżej było dla ramion i bezpieczniejszej na płytkich zalewach, tuż przy brzegu łoży i olchy muskały po twarzy, ale i zabłądzić łatwo było w tej siatce prości i rowców.

Z daleka Marek krzyknął:

— Pilnuj się, hat.

Przestała zupełnie wiosłować, skuliła się na dnie pławicy, zdając się na prąd. Łódka uderzyła o płot, zachybotała się, ale została na wodzie. Tedy Pokotyńska się przeżegnała i trzymając się ręką płotu, popychała pławicę, szukając wrót. Łódka wpadła w tę gardziel wolnego prądu, wytrzymała falę.

— Hop! Żyjesz!? — huknął kędyś Marek.

— Jak szczupak wasza pławica!

— To dziwo! Ale i ty do wody chytra! Nu, teraz pchaj śmiało. Już my jak w domu!

Pokotyńkę ogarnęła wielka radość. Poczęła śpiewać.

— Durna ty! Pacierz byś zmówiła! — zgromił Marek.

— Albo to nie pacierz — odparła wesoło. — Pośmiej się Pan Bóg z uciechy, jak człowiek śpiewa. Mało On się jęków nasłucha, już Mu zbrzydły.

— I czego ty się cieszysz, głupia?

— A cóż! Fala mnie nie pożarła, od ludzi schowanam¹³³, wyście mnie poratowali, moc i zdrowie w sobie czuję. Mocniejszam nad Bielaka!

— Przechimuj no, przechimuj, wtedy będziesz śpiewać, zobaczysz.

— Dalibóg, przechimuję. Nijak mi nie straszno!

— No, dobili! Cud boski!... Uf. Popamiętam ja długo tę jazdę!

Wparli czółna na piasek. Chlewce były na wydmie, naniesionej przed wiekami przez wody.

Wyszli na brzeg i ruszyli ku czerniejącym szałasom. Drzwi były wywalone, strzechy obdarte, wewnątrz pustka i zapach pleśni, ale po tej podróży rozkoszowali się, że ich deszcz nie smagał, chłód nie przejmował. Pokotyńska zniosła zapasy swe, namacali w kącie jakąś gromadę stęchłego szuwaru i zmęczeni bezmiernie, zmokli, zziębnięci, zakopali się weń¹³⁴, nakryli kożuchem i zasnęli po chwili jak zegnane śmiertelnie zwierzęta.

II

Chlewce składały się z kilku szałasów i ziemlanki¹³⁵. Była to wykopana w piasku jama, nakryta strzechą, bez okien i komina, mieszkanie pastuchów.

Wewnątrz były zbutwiałe posłania po kątach, a pośrodku z błota i gliny ulepiony piec do warzenia strawy. Dym wychodził przez otwór w strzesze, gdy się już wewnątrz nie mieścił. Ziemia usłana była śmieciem i skorupami z raków i jaj, wały się też wszędy¹³⁶ stare, zdarte łapcie, szmaty, skorupy garnków.

Obejrzała to wszystko Pokotyńska i nie tracąc czasu, wzięła się do gospodarstwa.

Marek jeszcze spał, gdy ona sprzątnęła już ziemlankę, zapaliła w piecu i warzyła kartofle. Dym mieścił się jako tako u góry, zresztą było to zawsze schronienie przed deszczem i chłodem. Pokotyńska była rada.

Na śniadanie zjawił się Marek. Nie był to wybredny biesiadnik — jedli kartofle z solą i gwarzyli.

— Latem rzeka żywi, ale teraz ryby ni raka nie złowisz, na głębinach wszystko; ptactwa też nie ma. Ciekawość, co zjesz, jak się kartofle skończą.

— Dopiero się zaczęły. Co mam przed czasem głowę łamać. Mnie bardziej troska, co będę robić. Len mi te hycle zagrabiły, bodaj ich Pan Bóg pokarał.

¹³³schowanam — skrócone od: schowana jestem. [przypis edytorski]

¹³⁴weń — skrócone od: w niego. [przypis edytorski]

¹³⁵ziemlanki a. ziemianka — schronienie w całości lub w większej części umiejscowione pod ziemią, z wierzchu nakryte darnią, gałęziami itp. [przypis edytorski]

¹³⁶wszędzy (daw., gw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

— Dość ci będzie roboty łożyć narąbać na opał. Toć dzień i noc trza palić, żeby nie skostnieć, a i światła tyle, co z ognia.

Pokotyńka spojrzała wokoło, dym wisiał u strzechy jak chmury błękitne.

— Żeby kądziel, lubo¹³⁷ byłoby siedzieć u ognia i dumać! — rzekła z westchnieniem.

— O chłopcach i muzyce u Zelmana! — zaśmiał się.

— Bodajby! Inna już dumka u mnie. Nić bym snuła i dnie rachowała, aż mój wróci albo mi wieść da, kiedy go znajdę.

— Ale, myśli o tobie Szczepański! Ślubował ci czy co? Ześlą go pewnie i przepadnie jak kamień w wodzie. Bardzoś mu potrzebna. Co ci się roi w owczej, babskiej głowie.

Pokotyńka nic nie rzekła. Nakarmiła psa, usłała mu przy ogniu posłanie i poczęła się ubierać w kozuch i trzewiki. Marek zapalił fajkę i nasłuchiwał na deszcz.

— Gdzie się wybierasz? — spytał zdziwiony.

— A toć po moje pieniądze, schowane w puszczy. Może lada dzień zamarznąć, to się nie dobiorę.

— Jakże dojedziesz teraz na miasteczko?

— Oho, nie głupiam. Popłynę do Brażek, stamtąd lasem pójdę, pławicę schowawszy w czeroty¹³⁸!

— To trzy mile będzie chodu!

— Będzie! Na noc nie wrócę.

— Kamienna ty baba. Dalibóg, żeby ciebie policja nie tropiła, tobym ciebie brał.

— Ot, tobyście się dopiero oszukali. Może bym u was była hultajka i latawica.

— Oho, a bicz od czego! Nauczyłby robić! — zaśmiał się, wstając i zbierając się do drogi.

— Pies ci będzie zawadzał w drodze! — rzekł.

— Ostawię go. Nie ruszy się z domu, jak mu kazać!

Wyszli i po chwili ruszyli każde w swoją stronę.

Marek, mijając niebezpieczne miejsca, które przebyli w nocy, głową kręcił z podziwu. Cud był, że nie utonęli. Niedaleko miasteczka obejrzał swe kosze na ryby i zabrał jeden na czołno. Mógł teraz spotkać ludzi, miał tłumaczenie, skąd wracał. Ale na rzece było o tej porze roku pusto i głucho — mało kto trzymał jeszcze czołno na wodzie, lada dzień spodziewano się lodów.

Rybak wrócił spokojnie do domu i przespał do wieczora. Zbudził go Żyd o rybę na szabas.

Marek miał ją w skrzyni na rzece, rozpoczął się targ i gawęda i Żyd rzekł wśród innych nowin:

— Nie widzieliście Pokotyńki?

— Skąd? Utopiła się?

— Można za nią zarobić dwadzieścia pięć rubli.

— Oho! Od kogo?

— A ot, komisarz daje temu, co ją złapie i do policji przyprowadzi. Ukradła mu jakieś papiery i pieniądze, wczoraj, kiedy był na pogrzebie. Policja już przetrząsała całe miasteczko, zginęła bez śladu, szelma.

Marek ramionami ruszył.

— Nie widziałem jej i szukać nie będę. Ja nie ogar Bielaka.

— Złapią ją i bez was. Tyle pieniędzy!

Żyd rybę zabrał. Marek ciekawy, co słyhać, poszedł do Zelmana na piwo. Szynek był pełny i opowiadano coraz to nowe historie o morderstwie Jasińskiego i o kradzieży Pokotyńki.

Kilku pijaków odgrażało się, że ją odszukają, inni ręczyli, że uciekła za Szczepańskim i tam ją policja weźmie, ogół był życzliwie dla kobiety usposobiony i drwił z Bielaka i pogoni za jedną marną babą.

Ze ukradła, nikt się nie dziwił ani jej miał za złe, bo mówili:

¹³⁷lubo — miło, przyjemnie. [przypis edytorski]

¹³⁸czerot (z ukr.) — trzcina. [przypis edytorski]

— Jakimże prawem Bielak rzeczy Szczepańskiego i jej szmaty zagrabił. Toć trzy furgony pełne zabrali z leśniczówki i chudobę¹³⁹ do dworu zapędzili. Do serca jej doszło! Ona tam pracowała i harowała, a na zimę nagą i głodną wygonili.

— Bo i prawda! — potwierdził Marek.

— Chce się Bielakowi, by baba zdechła z głodu, a przecie najmarniejszemu stworzeniu miło żyć. Albo to jeszcze prawda, że ona pieniędzy wzięła, widział to kto! Bielakowi człowieka żywcem zakopać — to zabawka. A taki, pies będzie, kto tę babę wyda, połakomi się na te pieniądze, bo ona nikomu krzywdy nie zrobiła.

Ktoś wszedł do szynku i zawołał:

— Gadają, że już ją pojмали. U Lejbowej uradnik znalazł w alkierzu pod ławką. O, ma szczęście, dostanie dwadzieścia pięć rubli.

Marek wstał i splunął.

— Bydło wy! Smoły piekielnej wam!

Poszedł do Lejbowej — i odetchnął, bo wieść okazała się fałszywa. Tedy zawrócił uspokojony do domu.

Cieszył się, nie przez życzliwość dla Pokotynki, ale przez nienawiść do Bielaka, który go za kradzieże i rozbój już dwa razy zapakował do więzienia. Marek zaś kradł siano, drzewo i wypasał swe krowy na dworskich łąkach, a w razie zajęcia w szkodzie bił dozorców i krowy wykradał z aresztu dworskiego. Nie miał tego za przestępstwo, odsiedział karę jako bezprawie i krzywdę i zaprzysiągł Bielakowi zemstę.

Wiedział, że gdy raz jeszcze zaśluzi na sąd, kara będzie bardzo ciężka, więc nie kradł już i krowy sprzedawał, ale o odwecie nie zapomniiał. Czekał tylko stosownej chwili.

Pokotynka bardzo sprytnie wyszukała sobie powiernika i opiekuna.

Była już noc głucha, gdy wrócił do chaty.

Zapałił kaganek i wtedy z podziwem zobaczył na stole gromadę srebra, obliczył, było właśnie tyle, ile Pokotynka została dłużna; pokręcił głową.

— Kamienna baba. Ile ona drogi dziś obleciała. I w miasteczku snadź¹⁴⁰ była i pewnie już podsłuchiwała, co się dzieje! Teraz się przyczai. Zuch baba!

Pokotynka istotnie była w miasteczku.

Gdy z Brażek dostała się do swej kryjówki w lesie, pokusa ją zdjęła zobaczyć raz jeszcze leśniczówkę. Podkraśla się tam o zmroku, doczekała zupełnej ciemności, schowana w łożach, a gdy Nowiccy zebrali się w chacie i zapalono światło, wślizgnęła się do szopki z sianem, zabrała wiszący tam u pułapu worek suszonej ryby i małą siatkę, potem znalazła schowane w starym ulu kielbasy i ukryła tę zdobycz w puszczy. Jeszcze wróciła po len, ale na podwórzu nie było już gratów, odwieziono je do dworu, więc się kobieta rozejrzała po ukochanej osadzie, pożegnała ją westchnieniem i korzystając z ciemności, postanowiła odnieść Markowi dług.

Opłotkami obeszła miasteczko, spotkała tylko parę bab, ukryła się nasłuchując — mówiły naturalnie o niej — dowiedziała się wszystkiego. Tedy gnana trwogą, wpadła do chaty rybaka, zostawiła pieniądze i uciekła z powrotem do puszczy. Nie myślała o szynku.

Obładowana była ciężko. W kryjówce oprócz owych papierów owiniętych w ceratę i chustę, jak je trzymał Szczepański, było jeszcze trochę bielizny i odzieży ich obojga, ciężki tłumok. Wraz z tym, co odkradła w leśniczówce, dźwigała na sobie parę pudów¹⁴¹. Puściła się z tym odważnie w noc, w deszcz, w ciemność, trzy mile od Brażek.

Deszcz był coraz zimniejszy, mieszały się z nim ostre igły lodu, wicher zwrócił się ku północy; zima szła wielkimi krokami i wicher wył, urągając kobiecie, która zdyszana, potem złana, kostniejąca, parła naprzód — precz od ludzi, od ciepła, od osad, w chaszcze i pustkowia, skąd nawet na zimę zwierz uchodzi, nie znajdując pożywienia i schroniska.

Pokotynkę trapił w tej chwili tylko strach pościgu i myśl ukrycia. Teraz nie wystarczały jej Chlewce. Bała się, że ją Marek zdradzi, chcąc dostać dwadzieścia pięć rubli, że chłopci, jeżdżąc zimą po siano, dym zobaczą i odkryją jej schronienie. Nie lękała się więzienia,

Złodziej

Natura, Jesień, Deszcz

¹³⁹chudoba (daw.) — skromny dobytek. [przypis edytorski]

¹⁴⁰snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

¹⁴¹pud — jednostka wagi używana daw. w Rosji, odpowiadająca 16,38 kg i dzieląca się na 40 funtów. [przypis edytorski]

tylko gdy ją uwiężą, wywiozą, jakże ją odszuka Szczepański, jakże dostanie papiery i co on o niej pomyśli!

Szła, szła, borykając się z wichurą, smagana kolącymi igłami lodu, zgięta pod ciężarem tłumoków, czasami błdziła, zapadała w trzęsawiska, i nie czuła swej nędzy, tylko uparte postanowienie: żyć, nie dać się w niewolę i czekać na niego, i ustrzec psa i papiery, jak jej przykazał.

Dobrnęła do Brażek, dopłynęła do Chlewców, ale tam nie miała już sił ognia rozpaścić ani przełknąć kawałka chleba; nakarmiła tylko psa i legła jak drzewo na stęchłym szuwarze, w czarnej tej, wilgotnej norze. We śnie jęczała z bólu członków, a rozbudziło ją uczucie dojmującego chłodu. To deszcz przez zmurszałą strzechę zalał ziemiankę — leżała w wodzie.

Zerwała się dzwoniąc zębami. Chciała uciekać, szukać zaraz lepszego przytułku, ale gdy wyrzała na świat, cofnęła się. Deszcz zmienił się w śnieżną zamieć, wicher tłukł się po łozach, wył i szalał.

— Nie sposób w taką porę iść, ale i ludzie tu nie przyjdą. Mogę spokojnie czas mały przeżyć, odpocząć. Strach, jakim¹⁴² się zmachała. Żeby choć febry nie dostać! Oj, jak zimno!

Wyskoczyła do szałasów, przydzwigała jakieś polano drew, zawarła¹⁴³, o ile mogła najszczelniej, koślawe drzwi ziemianki i zajęła się rozpalaniem ognia. Ciężkie to było zadanie, ale po godzinie już rozdmuchała parę szczypek i rozgrzała się rąbaniem. Uczuła też głód, więc poweselała, że przecież nie zachorzeje. Przy świetle obejrzała swą norę i zdecydowała, że zimować tu nie sposób, wiązanie dachu ledwie wisiało, dziur było pełno, piec podmyty runie lada dzień, na ziemi stały kałuże wody i błota bez ujścia.

— Muszę przenieść się do Wieszańca. Tam mnie nikt szukać nie będzie i zawsze chałupa. Żeby ino zjeść ciepłej strawy i przespać się do woli na suchej pościeli, to moc zbiorę i pójdę. Ludzie nie chodzą, bo wisielec tam zakopany, głupie ludzie, kiedy umarli kogo ukrzywdził, a kładki, gadają, popsute! Pewnie, komu wolna droga gościńcem, to temu kładki złe, a mnie muszą być dobre, bo trzeba dojść, to i dojdę!

Suszyła swą odzież przy ogniu i grzała się. Pies siedział przy niej, patrząc pożądlwym wzrokiem na garnek. Gotowały się kartofle z suszoną rybą, prawdziwa uczta. Gdy ją spożyli, pies się zwinął u ognia i zasnął, kobieta uporządkowała swe szmaty, obrachowała zapasy, złożyła wszystko w najsuchszym kącie i poczęła pleść łapcie z лыка, którego pęk spory dostała u Marka. Przy tej robocie układała plan dobrnięcia do Wieszańca.

Gdy się nieco na świecie uspokoi, pójdzie z psem na kładki. Weźmie ze sobą tylko siekierę i drąg, będzie szukać owego przejścia, powoli, krok za krokiem, jeśli gdzie zagrzeźnie, to się przecie uratuje i będzie te przerwy łożą wyścielać. Znała mniej więcej kierunek kładek, zresztą, jakoś trafi, bo musi. Może tydzień błdzić i brnąć będzie, może dwa, ale przecie dobrnie i drogę sobie upewni, żeby potem z ciężarem mogła dojść. Gdy wszystko zniesie do tej chałupy, to potem ślad swój zatrze, łożę znad topieli pościąga i już wtedy bezpiecznie będzie zimować.

Skąpo miała zapasów, ale rachowała, że przecie zimą ryby pod lodem upatrzy, a zresztą trzeba tyle ino jeść, żeby nie zamrzeć.

Najciężej będzie pławicę przeciągnąć przez trzęsawiska, a jużci jej tu nie zostawi, bo koło Wieszańca są wśród łoż tonie i zalewy ciche, kędy wiosną ryby z wielką wodą przychodzą ikrę kłaść.

Rybacy opowiadają, że tam rybi raj, tylko dobrać się tak ciężko, że ino bajki o tych wertepach plotą, a łowić wolą po dostępnych wodach.

Kiedyś przed laty rzeka tamtędy szła i młyn dworski stał, aż jednej wiosny nurt się odwrócił, poprął sobie nowe łożysko aż tu około Chlewców, i cały ten szmat łąk zbagniał, łożą porośł, poszedł w dzicz i pustkowie.

Młynarz biadał, biegł do dworu po pomoc i ratunek, wreszcie z rozpaczyny powiesił się w chałupie na belce, od tej pory nikt nie myślał wojować z rzeką, i tak te setki morgów ziemi były wyrajem dla ptactwa i ryby tylko!

¹⁴²jakem się zmachała — inaczej: jak się zmachałam (daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

¹⁴³zawrzeć (daw.) — zamknąć. [przypis edytorski]

Kładki niegdyś młynarz rzucił przez topiele, od jego śmierci nikt tam nie chodził ani poprawiał, co woda psuła każdej wiosny. Pokotynce opowiadał o nich Szczepański. Latem zapłynął tam z Brażek do Szyjacza, stamtąd szedł, zapadał często, ale że było to w lipcu i sucho, więc dobrnął do młyna. Mówił, że ptactwo się tam lęło, nietrwożne, i że w chałupie tylko szyb brakło. Jakby przeczuwał, że jego dobro ona tam ukryje.

Gdzie on teraz nieborak! Łacniej¹⁴⁴ jej swobody bronić i nawet przez topiele brnąć, jak jemu gnąć w niewoli. Niewinny był, przysięgłaby na to, żeby jej mówić dał, w sądzie świadczyć, ale nie dał, taka wola jego była, tak chciał, nie jej myśleć, dlaczego; było snadź tak sprawiedliwie i prawdziwie, kiedy on chciał!

Skończyła robotę i zapatrzona w ogień, dumiała dalej. Na dworze szalał huragan wichru i śniegu, który się wciskał do nory przez szpary drzwi i dachu i dym ogniska siał po ziemi, a Pokotyńka myślała, jak by rada szła w tę wichurę, żeby był rzekł: „Chodź za mną”.

Objęła rękami kolana, złożyła na nich głowę i zapłakała nie nad swoją dolą, ale nad jego nędzą, i tak ją wreszcie sen zmorzył.

Było już około Gromnic¹⁴⁵ i mrozy tęgie ścisnęły ziemię. Marek rybak spał na piecu kożuchem przykryty, gdy go zbudziło lekkie stukanie w szybę. Wśród nocy to było. Przecknął się i nastawił uszu, znowu skrobanie w okienko. Wstał tedy, zapalił kaganek i wyjrzał w sień, stukano do drzwi.

— Czego tam? — zamruczał niechętnie.

— Otwórzcie! — z cicha ktoś odparł.

Przekręcił skobel i aż zaklął z podziwu.

— A ty tu skąd? Żyjesz?

Pokotyńka wślizgnęła się do chaty. Usta miała sine i tak przeziębła, że na razie nie mówić nie mogła. Przytuliła się do ciepłego pieca i dzwoniła zębami.

Postawił kaganek na okapie komina, okienko chaty zasunął deską, dobył z półki flaszkę i podał jej.

— Na, wypij!

Potrząsnęła głową.

— Dajcie krzynek przelknąć barszczu. Bardzo głodna — wyjąkała.

Odsunął piec, wydobył garnek i dał jej.

— Masz krupnik. Gdzie ty przebywałeś? Byłem w Chlewcach, tam cię nie zastał.

Jadła chwilę w milczeniu.

— A po coście mnie szukali? — spytała.

— Jest na pocztę list do ciebie od Szczepańskiego.

— Nie może być! — zawołała i poruszyła się, jakby lecieć chciała po tę wieść, ale wnet się zastanowiła.

— Łgarstwo! — rzekła. — Wywabić mnie Bielak chce. Nie będzie on do mnie pisać, bo wie, że nie odczytam.

— Może być! A wiesz, że dwadzieścia pięć rubli dostanie, kto cię odszuka.

— Wiem. Przyniosłam je wam, żebyście stratni nie byli, a przyjść musiałam.

Mówiła z trudnością, tak była zdrożona i zziębła.

— Głupiaś, nie wezmę twoich pieniędzy ani ciebie nie wydam. Aleś zmarniała i zhydła¹⁴⁶. Głodnaś od dawna?

— Nie — tylko brzemienna! Zesłabłam!

Rzekła to z cicha i błady uśmiech przemknął jej po twarzy.

Marek głową pokręcił.

— Tego ci tylko brakowało! I czego ty się, głupia, śmiesz jeszcze, uciecha ci będzie!

— Myślicie, że nie! Boga nad sobą czuję! Jużci teraz pewna jestem życia i wytrwania. Nie zagubić mnie chce Pan Bóg, kiedy mi człowieczą duszę zawierzył na chowanie. Jużem nie Pokotyńka, nie poniewieranie i pośmiewisko.

— Ale, wielmożna pani, małżonka pana Szczepańskiego! — drwił chłop, spluwając.

¹⁴⁴łacno (daw., gw.) — łatwo. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Gromnice — tu: święto Matki Boskiej Gromnicznej, obchodzone z lutego. [przypis edytorski]

¹⁴⁶hydnać — brzydnąć; por.: obyda. [przypis edytorski]

— Memu dziecku starczy macierz¹⁴⁷. Takie ci będzie miłowane i szkodowane¹⁴⁸, i chronione — jakby najwielmożniejsze. W borowych i pustynnych lęgach ino matki są, a przecie żyją i nie marnieją nawet wilczęta na kępie wśród błot, choćby i wilka ubito. Nie trwożnam wcale, inom szczęśliwa!

— Jak ci tam tak dobrze i bezpiecznie, po coś tu przyszła do ludzi. Było z wilkami siedzieć. Ale cię głód przypędził, co? Pewnieś chleba dawno nie widziała, a z kartofli już i łupiny zjadła. Gdzież ty się schowała? No, rozdziej się ze szmat, pojedaj krupnik i gadaj!

Udobruchał się chłop. Zdjęła go litość dla kobiety i uznanie, że tak dzielnie znosiła, co mu się zdało nową niedolą.

— Jednakże ty nie szelma! — dodał. — Będzie ci z dzieckiem, jak z kamieniem u szyi, a ty go szkodujesz¹⁴⁹. Nie szelmaś ty!

Kobiecie nabiegły łzami oczy i ubarwiły się krwią policzki zapadłe, i rozwiązał się jej język, i dusza cała, pełna szczęśliwości, wybiegła na usta.

— Nie wiem ci ja, jako innym jest! Mnie się zda, że mi to dziecko będzie jako złota na głowie korona i jako śpiewanie niebieskie, i wiecie, by mi dali królową być miał¹⁵⁰ matką, tobym ino¹⁵¹ się zaśmiała jako z drwin. Nie biednam ja ani głodna, ani smutek nie ma do mnie przystępu, ani zajrzeć¹⁵² komu. Dają ludzie chwałę i złoto, pierścienie ślubne i nazwę, i poważanie małżonkom, a macierzy nic nie trzeba, taką ma w sobie moc i szanowanie. Samam w gnieździe, a przecie będzie moje dziecko i silne, i zdrowe, i nie dostąpią doń żądze złe i niedola, chyba przez mego trupa.

— Moja Krysta brzemienna zmarła! — zamruczał chłop ponuro.

— Bo wśród ludzi była. Szydzili z niej i drwili, wyście karali, sromą się i gryzła. Żeby miał was matkę miała żyjącą, ostałaby przy życiu. Nie ma ci miłowania, jako matczyne, ni politowania, jako macierzyńskie wnętrności, i nie sierota, kto macierz ma.

Marek siedział z głową pochyloną.

— Bielak ją Jasińskiemu narai! — warknął.

Zatrząśł się na wspomnienie, pięści zacisnął, coś niezrozumiale zamruczał, potem wstał, wyszedł przed chatę i wrócił po chwili.

— Pusto, ludzie śpią. Bezpieczniej ci tutaj. Spoczniesz, na dzień zaprę cię w komorze, jutro nocą wrócisz. Trzeba ci czego?

— Ja tu do was z wielką prośbą przyszłam. Przyniosłam, ile mam pieniędzy, żebyście do niego pojechali i odwieźli. On ci tam bez grosza! Chciałam już dawno, ale się bałam pokazać, a ledwie przed kolędą pewne schowanie dostała.

— Gdzież to?

— W Wieszańcu!

— Nie może być! Dobrze! Dobrze!

— Trzeba było. Ziemianka się zawałiła.

— Nie straszno ci tam samej?

— Jaż nie sama już teraz! Ale trzy tygodnie się przebieierałam, zanim wszystko zniosłam. Oj, jak było ciężko! Najgorzej z pławicą!

— Przewlokłaś? Toś ty silna jak koń. A dawno chleb się skończył?

— Już z miesiąc.

— Cóż jadłaś?

— Kosz na ryby mam. Czasem się co znajdzie, sidła też stawiam na sroki, pełno ich tam w łożach. Najnudniej było bez soli, a już najciężej bez roboty. Żebyście mi przędzy dali konopnej, sieci bym wam nawiązała dużo przez zimę.

Zadumała się chwilę i spytała:

— Gadają co ludzie o moim? Gdzie ci jest?

Matka, Przecucie

¹⁴⁷macierz — matka. [przypis edytorski]

¹⁴⁸szkodowany (daw., gw.) — oszczędzany. [przypis edytorski]

¹⁴⁹szkodować — oszczędzać, chronić. [przypis edytorski]

¹⁵⁰miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

¹⁵¹ino — tylko. [przypis edytorski]

¹⁵²zajrzeć komuś (daw., gw.) — zazdrościć komuś. [przypis edytorski]

— Pewnie jeszcze w turmie, bo jeszcze świadków na sąd nie wzięli. Chyba z wiosną sąd będzie. Oni się tam nie kwapią¹⁵³. To ty chcesz, żeby mu pieniądze zawieźć? Dużo masz?

— Czterdzieści siedem rubli, jeśli owych za mnie nie chcecie. Nie chciał on ich brać i będzie pewnie pytał, skąd je macie. To powiedzcie, że ja poszła na dobrą służbę, że mi lekko i wygodnie, warzone i pieczone mam i w ciepłe pościel moja, że mi nic nie potrzeba, i przeto odsyłam. Nie moje to pieniądze, a jego. A już, uchowaj Boże, nie mówcie, że mam brzemienna!

— No, a po cóż tyle łąć mam?

— Bo inaczej nie zechce pieniędzy wziąć i będzie się troskał o mnie, a troski mu dosyć własnej. Powiedzcie mu tak: Pokotynka ręce wasze całuje i pozdrawia z duszy, i odsyła wasze pieniądze, bo pomyślnie jej jest i wygodnie. Ino zachowała waszą odzież odświętną, a resztę dobytku i rzeczy Bielak zagrabił. Tę ci odzież schowała w wierzbie, co ma trzy rosochy i stoi za zwałoną tamą w Wieszańcu, a jeśli byście kazali, toby wam dostarczyła, kędy rozkażecie. Tyle ino mu powiedzcie, zapamiętacie?

— Nietrudno! A czemuż mu owej odzieży nie odsyłasz?

— Bo mu jej nosić nie dadzą, a jak kiedy wróci, to choćby mnie już nie było, to znajdzie. Ja zamrzeć mogę i zgnić, a odzież przeleży w suchej dziupli lata i zda mu się!

— Ale, nie wróci on, nie spodziewaj się!

Kobieta ukryła twarz w dłonie i siedziała długi czas w milczeniu. Świerszcze tylko zgrzytały w szczelinach pieca, rybak sumował¹⁵⁴.

— Kiedy się spodziewasz? — zagadnął.

— W żytynie żniwa! — odparła.

— Dobrze, że chociaż nie w mrozy. To ci trzeba soli, chleba, okrasy też pewnie nie masz?

— Jeszcze by! — zdziwiła się.

— Jakże to wszystko zawleciesz?

— Na plecach. Lody trzymają krzepko, nawet na oparzelach mało co się człowiek wali.

— A pilnuj się dymu. Chłopy dojrzą i znajdą cię.

— Ino w nocy palę. Jakże? Weźmiecie dla niego pieniądze?

— Trzeba ci to uczynić. No, jeszcze pogadamy jutro wieczór. Podjadłaś, ogrzałaś się, idźże spać do komory, tu kto w dzień wleźć może! Nie zmarzniesz, bo to bez pieca komora?

— Daj wam Boże zdrowie. Dobrze mi będzie! U mnie w chacie woda zamarza, a śpię!

— No, to kładź się i bądź cicho, cały dzień. Wieczorem ci wypuszczę i nadprowadzę krzynę¹⁵⁵ lodami.

Zaprowadził ją do komory. Zmęczona bezmiernie ułożyła się na ławie, okryła kożuchem i zaraz zasnęła, od bardzo dawna syta i spokojna. On drzwi na kłódkę zamknął i wrócił na ciepły piec. Wieczorem, zawarłszy chatę i zasłoniwszy okienko, wypuścił ją.

— Bardzoś zmarzła?

— Czego! Przywykłam — odparła wesoło.

— No, to się najedz i zbierać się trzeba. Masz tu dwa garnce soli, bochen chleba i woreczek mąki hreczanej¹⁵⁶, zaniesiesz?

— I nie pocuję. Jeszcze mi dajcie jakiego włókna. Bez kądzieli jak bez duszy.

— Jest w bodni¹⁵⁷ len jeszcze po Kryście! Weź, mnie on na nic! Ale jakże udźwigniesz tyle? Dałbym ci jeszcze i szmat nieco po niej, ale nie doniesiesz i jeszcze się przerwiesz z tej łapczywości! No, posil się na drogę i daj te pieniądze dla Szczepańskiego.

Pokotynka dobytek szmatkę z zanadrza, zapłaciła za zapasy, odliczyła resztę.

¹⁵³kwapić się — spieszyć się. [przypis edytorski]

¹⁵⁴sumować a. sumować się (daw.) — martwić się, smucić się, być zaszępionym. [przypis edytorski]

¹⁵⁵krzynę — trochę. [przypis edytorski]

¹⁵⁶hreczany (daw., gw.) — gryczany. [przypis edytorski]

¹⁵⁷bodnia — becinka a. duża dzieża drewniana z zamykanym wiekiem, ew. okrągły zamykany kosz ze słomy a. wikliny. [przypis edytorski]

— Potracicie waszą drogę i kosza, a oddacie mu zresztą wszystko. Będzie biedak miał choć na lepszą strawę i tytoń. Rychło¹⁵⁸ pojedziecie?

— Nie zwlekając, pojutrze.

— To za tydzień ja tu do was się dowiem!

— Jużci, wróć, jeśli wróć!

— Ino zlitujcie się, nie powiadajcie mu nic innego.

— Będziesz mnie, głupia, uczyć.

Schował pieniądze, obejrzał się po chacie.

— Może ci co jeszcze potrzeba? Gadaj, póki czas.

— Zda się, co oczy widzą, wszystko potrzebne, a jak nie widzą, to się obędą.

Zebrała w płachtę zapasy i obejrzała się za lmem. Poszli do komory, otworzył bodnię pełną przędzy.

— Bierz, ile uniesiesz.

Nabrała tyle, aż począł protestować.

— Zdurzałaś. Toć koń by miał co ciągnąć. Kiedyś taka mocna, to raczej weź drugi bochen chleba.

— Łacniej głodna będę, byle nieć snuć. Nie żałujcie, odniosę wam wiosną przędzywo, mnie byle robota.

— Ja nie żałuję. No, zresztą do szopki Ułasowej ci pomogę nieść, a stamtąd sobie zabierzesz!

Otworzył skrzynię z odzieżą zmarłej córki — popatrzał, głową pokiwał, wyjął kilka spodnic i jaskrawo naszywanych koszul, dołożył do lnu, okręcił w płachtę i wyszli do izby.

Chciała mu dziękować — ofuknął.

— Żydom nie sprzedam, nosić nie będę. Co ma zbutwieć, to niech ty zedrzysz. W cóż dziecko okręcisz, kiedyś sama tyle, że nie naga. U mnie w chacie nic już nigdy nie zapiszczy! No, jedźmy i ruszajmy, mróz zelżał, może na śnieg się zebrać, to i zabłądzić można.

Siedli nad misą, rozpytywał ją o ów młyn i jak się urządziła, opowiadała spokojnie.

— Okna tom zabiła drzewem i upchałam szuwarem, zresztą dobrze. Izba cała, ino sień zawalona. Drewno nie brakuje na brzegu, ale ciepło za dzień¹⁵⁹ całkiem wyjdzie. Są ławy i różne sprzęty z młyna, a na brzegu jeszcze zagony znać, ogród był.

— A nie straszy w chałupie?

— Nie. Znać jeszcze na ziemi w progu, gdzie onego zakopali, pies ciągle tam węszył i wyl z początku, teraz już nie dba.

Co ma straszyć, co dzień od niej pacierz ma i nie ukrzywdziła go przecie! Nawet i myśli nie ma! Rano zaraz do kosza idzie, musi łód odrąbać, a jak ryby nie ma, trzeba się starać innej żywności — na sroki siadła stawiać albo pod lodem ryby upatrywać, czasem cały dzień nic się nie uda. Pies ją ratuje. Nauczył się polować na swoją rękę i przynosi jej często zając albo kuropatwy. Pewnie aż o parę mil chodzi za tym, a taki mądry, że gdy wieczorem garnka u ognia nie widzi, to zaraz na całą noc rusza. Raz przyszedł cały okrwawiony, musiał z wilkami się spotkać.

— I wcale ci nigdy nie straszno?

— Nie. Czego? Ludzie nie dojdą!

Pokręcił głową Marek. Coraz to więcej żałował kobiety i serce do niej czuł. Więc, skończywszy jeść, począł szukać po półkach i dał jej kilka doskonałych włosianych wędek i włosienia na siadła, i oścień do bicia ryb, i iglicę do wiązania sieci.

Poczęli się zbierać do drogi. Pokotynka zarzuciła na plecy ciężko ładowną płachtę, rybak zatlił fajkę, zgasił kaganek, dźwignął na ramię swój tłumok, wziął palkę żelazem okutą do lodu i wyszli. Miasteczko już spało, noc była ciemna, zeszli na rzekę i rozplynęli się w mroku. Śnieg polatywał, ale bez wichru, mieli dobrą drogę. Gdy się znaleźli w pustce, zaczęli gawędzić. Pokotynka szła przodem prowadząc, on jej opowiadał nowiny z miasteczka i dworu.

— Mereczanka onegdaj zmarła. Hulala w święta, mróz objął, mało co poleżała i doszła. A we dworze był kniaź na polowaniu i gadają, że Bielak jeszcze urósł.

Pies

¹⁵⁸rychło — szybko; wkrótce. [przypis edytorski]

¹⁵⁹za dzień — tu: w ciągu dnia. [przypis edytorski]

— A żona jego wróciła?
— Nie ma. U Jasińskiej on ciągle siedzi. Wygodnie teraz mają! Lepiej jak tobie i Szczepańskiemu.

— Niech mają, może o mnie zapomni.

— Takas mu sprzyjająca!

— Nie nasza siła z takim wojować.

— Ale, dać się dusić i deptać! — mruknął.

Szli chwilę milcząc, ozwała się kobieta:

— Chciałam was o jeszcze jedno prosić z miasta, kupcie mi jaką książkę.

— Książkę! Toć czytać nie umiesz.

— Matka mnie pokazywała litery, inom¹⁶⁰ całkiem zapomniała. Potem jakże dziecko nauczę.

— Ot, wymyśliła! Potrzebne!

— Jużci, żebym uczona była, napisałabym do niego i od niego wieść miała.

— Głupiaś. Tyle on myśli o tobie, co o zdeptanych postołach¹⁶¹. Rzeknę mu, że książki chcesz, naucz mnie, gdzie ją kupić, bo ja nie wiem. No, a teraz się wróć, boć i Ułasowa szopa, a zadymka ani chybi będzie nad ranem. Nie zbłądzisz?

— Dziękuję wam za wszystko. Za tydzień przyjdę.

Rozstali się. Gdy rybak odszedł z powrotem, Pokotyńka, lękając się o len, wzięła na siebie i drugi tłomok i zgięta pod ciężarem puściła się już wolniej w dalszą drogę. Zadymka nad ranem wcale jej nie straszyla, przeciwnie, była bezpieczniejsza, że nikogo na błotach nie spotka.

W Szyjaczku zastała psa. Wybiegł na jej spotkanie i szczekał, i powitał radośnie. Kazała mu przodem iść, bo śnieg zasypał ślad i mogła łatwo wpaść w oparzeliska. Tak we dwoje o szarym świetle zapadli w gęstwiny łozy i dążyli do kryjówki, już niewidzialni dla ludzkiego oka.

Nowe schronienie Pokotyńki było pałacem w porównaniu do ziemiłanki w Chlewcach. Miało pułap i całą strzechę, komin i piec. Gdy ujrzała tę chatę po męczącej wędrówce zygżakiem wśród łoż, gdy ją powitały skrzeczeniem sroki, uśmiechnęła się radośnie i pies poszczekał z uciechy.

Wewnątrz panował wieczny mrok i dawno ogień wygasł, ale już się kobieta zago-spodarowała i bezpieczna z powodu zadymki, rozpalila prędko ognisko. Nie chciała nawet wypoczywać, nastawiła garnek z wodą i poczęła sporządzać sobie prząśnicę. Rupiecia drewnianego pełno było po kątach, siekierą i nożem umiała robić, wnet skleciła niezgrabny pałak, uwiązała doń lnu, zaczęła strugać wrzeciona. Zakłapała wodą, rzuciła w nią mąki i soli i dalej pracowała. Ani się obejrzała, jak zmierzchno, mało co jadła, nakarmiła psa i poczęła prząść.

Z nicią biegły myśli i urojenia. Samotność była pełna i żywa, i dźwięczna, nie ciążyła kobiecie. Pies się wyciągnął w ciepłe ogniska, a ona dumiała, że już ich troje jest w tej pustce.

Za ścianą wicher wyl i rozlegały się jakieś ponure szумы, chichoty, poświsty, nie słyszała. Nagle pies głowę podniósł, zawęszył, zerwał się, poczał do drzwi się dobijać.

Wstała, otworzyła mu i ujrzała na niebie wielką, czerwoną lunę. Gdzieś daleko była wielka pożoga. Stanęła w progu i orientowała się w położeniu. Wskazywało na Orany właśnie.

„Pali się ludzkie dobro i dobytek!” — pomyślała obojętnie i zawołała na psa.

Zwierzę zawył żałośnie, wężąc dym.

— Nie lamentuj, nasze się nie pali! — rzekła mu i wróciła do izby.

Rano nie było śladu łuny ni dymu i zapomniła o tym. Poczęła rachować godziny i dnie do powrotu Marka, długim jej się wydał tydzień, chociaż niegłodny, ledwie go przeczekala.

O zmroku siódmego dnia, zostawiwszy psa na straży swej chaty, ruszyła ku miasteczku.

Ogień

¹⁶⁰inom (...) zapomniła — tylko zapomniałam. [przypis edytorski]

¹⁶¹postol — rodzaj obuwia z kory lipowej, lyka a. skóry przywiązywanego sznurkiem do obwiązanej onucami nogi, noszonego daw. przez nadbużańską ludność wiejską; najczęściej w lm: postoly (także: łapcie). [przypis edytorski]

Jak na skrzydłach leciała, żądna wieści.

Dobrze po północy dopadła Markowej zagrody. Zakołatała raz i drugi — nikt nie otwierał, zastukała w szybę — ani śladu życia.

Tedy zauważyła, że u drzwi był nowy skobel i wisiała ciężka kłódka, i to ją zaniepokoiło.

Czyżby Marek jeszcze nie wrócił?

Stała bezradna, co czynić, gdy usłyszała głosy ludzkie i kroki i przerażona przypadła do ziemi pod płotem.

Dwóch ludzi szło, paliło fajki i gadało.

— Wartować po pożarze, to czyste nakazanie! — mówił jeden. — Durne, myślą, że co dzień ogień będzie! Skąd?

— Obejść trzeba Markową chałupę. Dobierze się kto i okradnie, a my będziemy cierpieć!

— Nagnał ci Bielakowi strachu, ledwie w koszuli oknem wyskoczył.

— Ale, nagnał, a sam zgłupiał! Dał się złapać i jeszcze się przechwalał, że spalił. Żeby się zaparł, toby go puścili!

— Napity pewnie był, to i durny!

Obeszli wkoło chałupę, spróbowali kłódki i poszli dalej gwizdząc. Pokotynka dała im się oddalić, wtedy wstała i zawróciła pędem na lody w łoży i pustkę.

Zrozumiała, że Marek przepadł, pieniądze Szczepańskiego zginęły, wieści już nie można przesłać, a ona została już teraz zupełnie sama, odcięta od ludzi i świata — zostawiona tylko swej sile i przemyślności.

Uczuła strach i rozpacz — i zapłakała.

— Teraz on o mnie pomyśli, że złodziejka i zdrajca. Dobytek przepadł, ostatni grosz przepadł. Papiery zginą. Ani mi go szukać teraz, ani on mnie odnajdzie. A jak zamrę!

Wstrząsnął nią dreszcz zgrozy. Pożywienia miała na miesiąc, a potem do wiosny tak jeszcze daleko.

Szła machinalnie, słaba, znękana, nie zważając na drogę. Opamiętała się, gdy zapadła raptem w trzęsawisko. Wydobyła się, rozejrzała i zbudził się zwierzęcy zmysł zachowawczy. Poczęła szukać przejścia w łożach i przestała myśleć. Błądziła parę godzin, grzęzła, ratowała się, sto razy wracała na jedno miejsce, jak się zmęczyła wreszcie, że niezdolna kroku postąpić ni tchu złapać, skuliła się pod krzakiem łoży i czekała śmierci.

Senność ją ogarniała i nieznosna niemoc — już nawet chłodu nie czuła. Wicher hulający po błotach nanosił śniegu coraz więcej.

Wtem z martwoty śmiertelnej senności zbudziło ją szczekanie. To pies znalazł jej trop i szedł za nim, radosny. Dopadł i lizać ją począł po twarzy, skomlał i pisał z uciechy.

Rozbudziła się i dźwignęła z trudem. Pies pobiegł naprzód — ona ledwie żywa wlekła się za nim.

Tak ją doprowadził do Wieszańca. Nie miała siły rozpalić ognia, położyła się jak drewno.

Ale po godzinie zerwała się.

— Niedoczekanie twoje! — zamruczała zuchwale, wyciągając pięść do tej niewidzialnej, a strasznej doli. — Udławisz się ty mną i szczeńniesz, a nie żeżresz mnie, a ja cię zadławię, jędzio!

Rozebrała się ze szmat przemarzłych, zzuła postój, rzuciła się z zawziętością drwa rąbać, rozpałała ogień. Tedy się wyprostowała i wciąż mówiąc z tą jedyną towarzyszką i panią swoją, zaczęła jej urągać.

— Zabrałaś mi jego, myślałaś mnie podeptać, oto stoję, i nawet nie słyszałaś mego wycia po nim. Wygnałaś mnie nago i głodną, i bosą w te czahary¹⁶², chodź, zobacz, jak stoję. Chodź, zaśpiewam ci, nie zaszlocham! Plwam na ciebie, a nie dygocę ze strachu. Mocnaś, powiadają, ale nie dla mnie. Idź won, bo ja cię tu zakopię obok tego nieszczęśnika, coś zamęczyła. Ja się twoich pazurów nie boję! Won idź! Byłam w twoich pazurach i pod twymi nogami wówczas w borze, kiedy on mnie podniósł, teraz drwię z ciebie, dwoje nas jest. Nie zaczepiaj.

Roześmiała się.

— Z Bogiem zadzierasza, wiedźmo diabelska!

Rozpacz, Bezdomność

Pies

Los, Odwaga, Siła

¹⁶²czahary (reg.) — porośnięte krzewami, trawami i niskopiennymi drzewami mokradła. [przypis redakcyjny]

Przystawiła garnek do ognia, usiadła u kądzieli.
— Myślisz płacz posłyszeć i przekleństwa. Uciecha wtedy twoja. Słuchaj sobie, słuchaj!

Puściła w wir wrzeczono i zaśpiewała:

Przybieżeli do Betlejem pasterze, pasterze,
Grają mile dzieciąteczku na lirze, na lirze.

Pies podniósł głowę i poruszył ogonem, spojrzała nań, pochyliła się i pogłaskała.
— Nie damy się tej, Łyska, przetrwamy do lata, a latem zaśpiewa nam dziecina! To co, że my biedne i głodne, wyżyjemy je i uchowamy. — Będzie maluśkie i słabe, a zawsze z nami! Hej, będzie radości, będzie!...

Zadumała się chwilę.

— Juści, pacierze trzeba gładko umieć, żeby go nauczyć; o co spyta, trzeba potrafić odpowiedzieć i pomyślenie trzeba mieć przystojne, i mowę dobrą, żeby złego słowa nigdy nie posłyszało! To ci jest do rozważenia, a nie żale próżne.

Przedła i przypominała pacierze, słowo po słowie, powoli, jakby już dziecko uczyła, i zapatrzona w ogień, niepamiętna obecnej doli, widziała już u swych kolan drobinę zaszuchaną, ciekawą, i uśmiechała się doń oczami pełnymi łez i radości. Po łozach i czerotach wyła wygnana tą pieśnią i myślami jędza — niedola...

W marcu wyczerpały się wszystkie zapasy.

Nie było ni chleba, ni soli, ni mąki. Śniegi ogromne zawałyły lody i łozy i zima trwała jak w zapusty. Nastaly ciężkie dni. Sroki nawet gdzieś się wyniosły, ryby się nie brały i bywały dnie, gdzie za całe pożywienie rzuciła Pokotyńka do wrzasku garście przemarzłych jagód kaliny i oszukiwała głód pijąc tę ciepłą, kwaśną wodę.

I ona, i pies wychudli strasznie i osłabli.

Zwierzę towarzyszyło jej co rana do koszów rybnych; jeśli kosz był pusty, włókł się w łozy na dzień cały lub ogryzał skrzydła srok dawniej zjedzonych, do zupy z kaliny nie dał się nigdy skusić.

Kobieta, o ile sił czuła, rąbała lód i czatowała nad przerębłą, nie szła po ratunek do ludzi, choć głód był większy od bojaźni, ale czuła, że nie dojdzie i zginie w śniegu. Przesypiała często głód, wstając tylko, by ogień utrzymać, paliła teraz i w dzień, obojętna, czy kto dym ujrzy.

Nareszcie pewnego dnia znalazła kosz pełen, a gdy go wyjęła, otwór w lodzie nappełnił się znowu masą ryb. Była to cała ławica szczupaków, szukających powietrza i oddechu.

Pełnymi garściami brała je i wyrzucała na lód, na stos, jak polana; nie ubywało w przerębli, nie umykały, na wpół zduszone, pies je chwycił zębami, odsuwał łapami, oboje pracowali zażarcie. Widmo głodu było zażegnane.

Teraz co dzień mieli połów obfity i łatwy, odżyli.

Pokotyńka robiła zapasy, suszyła, dymila popłatane sztuki, zawieszała je na żerdziach u pułapu, zajęta była po całych dniach.

Raz w nocy zbudziło ją złowrogie skrzypnięcie i wycie. Zerwała się. Chata, zda się, waliła, na dworze szalał wicher, taki, co druzgoce lody, zjada śniegi jak tabun rozhułkany, miazdży zimę.

Sień i komora chaty zawałyły się z trzaskiem, kobieta, bojąc się o resztę domostwa, wydostała się oknem na świat i spędziła resztę nocy pod wierzbą.

Huragan trwał trzy doby, podruzgotał lody, powalił stuletnie drzewa, zmiotł zimę i śniegi, tylko nie dał rady łożom gibkim, szuwarom niskim i kobiecie.

Gdy wyczerpany legł, ona wypęzła spod zwalonego dachu młyna, rozejrzała się i odechnęła. Chata jeszcze stała, krzywa, pochyłona, ze zwichrzoną strzechą, ale stała. Łozy poczerwniały, śnieg zrudział, na lód wystąpiła woda, zima była pokonana.

I zaraz noce stały się gwarne. Na te pustkowia od zachodu do wschodu słońca napływały z szumem, furkotem, wrzaskiem roje wędrownego ptactwa, opadały na nocleg, daleką drogą zmęczone, rozhoworem swoim niosąc otuchę, nadzieję wiosny.

Zrywały się o świtanie i niosły dalej, dalej hymn życia i każdy, słysząc w chmurkach chrapliwe ich wołanie, oczy wznosił, gonił wzrokiem klucze i gromady i cieszył się.

Krzywdą, Modlitwa,
Marzenie

Głód, Bezdomność

Wiosna, Nadzieja

Ptactwo bywało tak zmęczone i tak pewne pustkowia, że Łyska mógł je dusić. Ale gdy raz przyniósł dziką gęś, jeszcze żywą, Pokotyńka odebrała mu ją i chociaż rada by była skosztować mięsnej strawy, odpędzała psa i puściła ptaka na swobodę. Zerwał się i ukrył w łożach.

Pies patrzył na nią zdziwiony i urażony.

— Nie godzi się, Łysku. Biedne jest, chude, głodne jak my! Z wyrajów wraca, ledwie żywe! Niech leci, gniazdo ściele, niech je inni ludzie biją, nie my! Nam by grzech był. Mamy co jeść.

Ogarnęła ją żalność i smutek. W chmurach wysoko chrapliwie odzywały się żurawie.

— Hej, weselniki! — zawołała ku nim. — Płyńcie, wołajcie! Mój sokół w niewoli! Bym ja go choć posłyszec mogła jako was! By mi nad głową przeleciał i słowo uronił, że wolny! Daj wam Bóg gniazdo bezpieczne! Wiosnę śpiewacie.

Wody wezbrały ogromne. Oprócz tej łatki ziemi, na której młyn stał i wierzb kilka, reszta pustkowia jak okiem sięgnąć była morzem, nad którym gdzieś czuby łóz widać było, wreszcie zajęła woda i rozwaloną chałupę.

Pokotyńka, brodząc po izbie wyżej kolan, uratowała swe mienie między wierzbowe rosochy i sama z psem przesiedziała tam dwa dni.

Przytuleni do siebie, trwali cierpliwi, patrząc na nurt pod drzewem i na bezbrzeżną toń wokoło.

Gdy głód dokuczał, gryźli suchą jak drzazga rybę, a gdy niewygodne położenie stawało się męczarnią członków, kobieta zsuwała się w wodę lodowatą, przeciągała się, prostowała i wracała na powrót na wierzbę.

Trzeciego dnia woda spadła i słońce wyjrzało zza gęstych chmur, i ciepły wiatr powiał z południa.

Zaledwie wyjrzały z nurtu kiście łóz, wnet zakwitły, miodowe niosąc wonie, i wnet na nie spadły lecące z dalekich borów, przez topiele, pszczoły, radośnie mruczące, pracowite, szczęśliwe.

Brzegami złoto zakwitło lotoć¹⁶³, powietrzem leciało drobne śpiewające ptactwo i obiadło wierzby na chwilowy spoczynek, opowiadając świergotem o zbożowych niwach i sadach, i gajach, kędy spieszyły z południa — z wyrajów.

Pokotyńka wzięła się do pracy, bezpieczna, że teraz nikt do niej nie dotrze, nikt jej nie wysledzi. Chałupę podparła, jak umiała, pozatykała szuwarem dziury w strzesze, wzięła siatki, plotła więcierze¹⁶⁴, pławicę swą spuściła na wodę.

Co rano płynęła na połów, poznawała co dzień nowe tonie i zakąty, szukała gniazd lub raków po pieczarach u brzegu, robiła zapas tyka na postoi, a po południu, siedząc w słońcu na progu, latała swe szmaty, szyła koszuliny malutkie i spoglądając raz wraz na koszyk z wierzbowych prętów, uwieszony na sznurach pod dachem jak gniazdo wilgi, dumiała o dziecku.

III

Na jesieni był w Oranach doroczny wielki jarmark. Rynek był zatłoczony wozami, ludźmi i bydłem, mrowie huczało, ścisk był okropny i popychanie, bo wszelkie plony lata i jesieni zwieźli chłopci na sprzedaż i targ był bardzo ożywiony. Na wozach były owce i len, drób i grzyby, manna, jagody suszone, grzyby i ryby. Żydzi uwijali się gorączkowo.

Po szynkach i po karczmach było pełno, najpełniej jak zwykle u Zelmana. Szynkował on i żona, ogryzały się z chłopami bachory, ścisk był, zamęt, śmiechy i przekleństwa.

W tłok ten o zmierzchu już wcisnęła się Pokotyńka.

Miała na sobie stary kozuch, chustę na głowie, na plecach spory toból, w płachcie na ręku dziecko.

Weszła śmiało i swobodnie, jakby wczoraj tu była i onegdaj, dopchała się do Żydówki i szarpnęła ją za rękaw.

— Czy, Małka, kupisz suszoną rybę? Same jaźwie.

Zelmanowa pomimo gorączki jarmarcznej zdumiała¹⁶⁵.

¹⁶³lotoć a. lotoć (reg.) — kniec, kaczeniec (Caltha). [przypis edytorski]

¹⁶⁴więcierz — pułapka na ryby w postaci stożkowatego a. walcowatego kosz z wikliny, używana w jeziorach, rozlewiskach wolno płynących rzekach itp. [przypis edytorski]

¹⁶⁵zdumieć — dziś raczej: zdumieć się; zdziwić się. [przypis edytorski]

Wiosna, Ptak

Praca, Cięża, Dziecko

Handel, Chłop, Żyd

— *Herste*¹⁶⁶, a ty skąd tu się wzięła!
— Rybę na sprzedaż przyniosłam. Bierzesz?
— Czemu nie mam brać! Nu, ale ty skąd? Co to? Dziecko masz? Gdzie ty była! To twoje dziecko?

— Czyjeż by! Moje.
Ludzie skupili się wokoło niej.
— Dalibóg, Pokotynka! — wołano.
Kobieta ruszyła ramionami.
— No, ja! Co się dziwujecie. Na pogrzebie moim wódkiście nie pili. Żyłam i żyję. Wielkie dziwo.

— Gdzież się podziewałaś?
— W służbie byłam za rzekami.
— I wysłużyłaś bachora! — poczęto się śmiać.
— Czy chociaż dziewczyna? Wyhodujesz dla chłopców zabawę!
— Nie! Wy swoje dziewczęta teraz dla mojego chłopca hodujcie. Nu co, Małka, bierzysz rybę, bo mi cięży na plecach.

Jedna z kobiet zajrzała pod chustę, otulającą dziecko.
— Spory chłopak. Ma już z pół roku. A czarny jak Cygan.
Dziecko rozbudzone, przerażone, poczęło płakać.
Pokotynka przygarnęła go do piersi i przecisnęła się do alkierza. Tam odjęła tobole z pleców i rozwiązała. Na widok ryby oczy Zelmanowej zaświeciły.

— Gdzie ty takiej dostała? Wiele masz? Kupię, ile jest. Całego rubla ci dam. Przynieś więcej!

Rozpoczął się targ. Pokotynce pilno było, oddała za półtrzecia¹⁶⁷ rubla, dwa śledzie, trzy bułki i kwartę mleka. Zasiadła do posiłku, otoczyły ją znajome baby, ciekawe, gdzie była, czyje to dziecko, co myśli dalej robić ze sobą.

Ale Pokotynka jadła chciwie, śnażyć bardzo głodna i zdrożona, oglądała się po ludziach, rozpytywała sama, do zwierzeń wcale nieskora.

Na natarczywe pytania odpowiadała ze śmiechem.

— Czyj chłopak? Mój! Dosyć mu. Mam dla niego w piersi mleko! Co mu więcej potrzeba!

Nie wspomniała Szczepańskiego, ale obecni się rozgadali i dowiedzieli się, że z wiosną sąd na niego był, dużo świadków włożyli, i Bielak jeździł, i on go obronił najlepiej świadectwem, że pijany wówczas był, i tylko skazali go na pięć lat więzienia.

— Świat cały strzęśli, szukali ciebie, do sądu. Jeszcze cię teraz pociągną, zobaczysz.

— Bielak panuje? — spytała.

— Wyjechał w zeszłym tygodniu. Gadają, że z żoną się rozwodzi, a będzie Jasińską brać.

— A o Marku nic nie słyszeć? — zagadnęła.

— Jakże! W katorgi poszedł.

Dokończyła jeść Pokotynka i poszła na targ. Wróciła już późną nocą, wprosiła się na nocleg w szynku. Zelmanowa przyjęła ją na rachunek dalszych dostaw suszonej ryby, pozwoliła jej ułożyć się na ławie przy piecu, rozpytała o dalsze projekty. Pokotynka rzekła, że ino parę dni zabawi i znowu za rzeki pójdzie, na służbę. Ale już nazajutrz dowiedział się o niej uradnik i wezwał ją do stanowego. Kobieta, nie okazując żadnej trwogi, poszła.

Znalazła się znowu w tej wielkiej, bielonej izbie, gdzie zeszłej jesieni stał Szczepański. Rozejrzała się po ścianach, twarz jej na chwilę skurczyła się bólem, oczy osłupiały, zmętniły od łez. Ale wtem wszedł stanowy i krzyknął:

— Jesteś przecie, hultajko. Jak śmiałaś się wydalać bez pozwolenia. Do turmy pójdziesz za to! Ja cię nauczę!

— Co miałam robić, wasza wielmożność. Wypędzili mnie z leśniczówki, zabrali szmaty, chleb, bosą, głodną i nagą wygnali na zimę. Poszłam drogą przed siebie; do roboty nikt nie chciał, bo zima, zebrałam po wsiach. Het, pod Kijów zaszłam.

— Dziecko czyje?

¹⁶⁶*herste* (jid.) — słuchajcie, słyszycie; tu w znaczeniu: patrzcie no. [przypis redakcyjny]

¹⁶⁷*półtrzecia* (daw.) — dwa i pół. [przypis edytorski]

— Moje.
— A ojciec kto? Jasiński, Szczepański czy kto inny?
— Tylko moje własne.
— Chrzczone?
— Chrzczone. Jan!
— Gdzie chrzczone, metrykę masz? Toć ty sama bez paszportu.
— Dostałam paszport. Byłam w swoich stronach.
— Gdzież to? Bo jak łiesz, to cię zaraz jako włóczęgę odeślę do powiatu, a stamtąd, jak nie powiesz, skąd rodem, to na Sybir pójdziesz. Dość miałem o ciebie kłopotu. Gadaż zaraz, jak się zwiesz i skąd?

— W paszporcie stoi. Porzuciłam go u Zelmana. Zaraz przyniosę!

— No to marsz i dawaj papiery natychmiast.

Pokotynka wyszła. Nie było jej długo z powrotem, tymczasem wpadło dwóch Żydów i chłop ze sprawą o kradzież kozucha, potem wezwano stanowego na drugi koniec miasteczka, gdzie się dwóch sąsiadów pokaleczyło śmiertelnie, i dopiero pod wieczór przypomniał sobie urzędnik Pokotynkę. Wpadł we wściekłość i posłał po nią dwóch stróżów policyjnych. Wrócili z wieścią, że kobieta poszła po swoje papiery, które miała gdzieś w lesie ukryte. Poszła i przepadła.

Dziecko było niechrzczone, paszportu wcale nie posiadała, ani do turmy, ani na Sybir nie chciała iść — uciekła — zaszyła się w bory i słuch o niej zaginął. Ale nie wróciła do Wieszańca, szła w przeciwną stronę do ludzi, w swoje okolice.

Siedem lat minęło, jak stamtąd wyszła na poniewierkę, teraz wrócić musiała dla dziecka.

Szła nocami, w slocie i mgle jesiennej, bardzo się kwapiąc, bo ledwie parę rubli miała na życie, a jeść musiała, by dziecku dać mleka.

W zanadrzu miała papiery Szczepańskiego.

Wstępowała po drodze tylko do dworów lub samotnych domostw, ludnych wsi się bała.

Po dworach dawano jej czasami jeść, na nocleg nie chciano przyjąć. Odpoczywała najchętniej pod mostami, a trzymała się szerokich gościńców, pytając o drogę do Owrucza i opowiadając, że wraca z odpustu z Kijowa.

Postoły jej się zdarły, szła bosa, kozuch, nigdy nie suchy, ledwie się trzymał na plecach, dziecko piskrzało z zimna, ona szła z tępą zawziętością, nawet nie myśląc, jak ją przyjmie ojciec i czy go zastanie, czy jej od progu nie odpędzi. Myślała tylko, że dziecko w parafii musi być zapisane, metrykę mieć, a potem... Dalej nie myślała i dlatego szła wytrwale — i doszła.

Pewnego dnia poznała okolicę, poczęło jej się serce tłuc, aż przystanąć musiała. Wiatrak Józefów na wzgórk, sosny na cmentarzu, na rozdrożu krzyż, w prawo droga do dworu, w lewo do wsi, prosto do szlacheckich zaścianków. Stanęła na rozdrożu — spojrzała. Widać już stary dach ich dworku, nową strzechą posyty. Usiadła, by spocząć i ochłoniąć.

Dzieciak piskrzył, poczęła go karmić, a oczu nie odrywała od tych strzech i nagich sadów — a serce się tłukło jak w wielkim umęczeniu.

Od zaścianków na drogę wóz się wynurzył, jechał ktoś od wiatraka. Czy pozna? Zbliżył się, zrównał się z nią — poznała — był to Kazik Sawilski, ich najbliższy sąsiad i powinowaty. Spojrzał na nią obojętnie, jak na żebraczkę, i skręcił do młyna.

Chciała mu „pochwalony” rzec, ale ją coś dławiło w gardle i nie wydobyła głosu.

Siedziała jeszcze długą chwilę, wreszcie zerwała się, otuliła dziecko, przygarnęła do serca, pocałowała i śmiało ruszyła naprzód.

„Do parafii trza zapisać!” — powtarzała w duchu; spotkała po drodze starą Sobolską, lekarke, i Wikcję Józefów, żadna jej nie poznała i ona ich nie zaczęła.

Otworzyła furtkę na ojcowe podwórze i weszła, i wnet ją opadły psy z wielkim szczeniem. Nowe psy były, tylko jeszcze poznała starego Zagraja, na pół ślepego i siwego, ten pod ganeczkiem leżał i nie łajał.

Łyska, drepcący wiernie za nią, poczęł się odgryzać i skomleć, powstał wielki hałas, aż na próg wyjrzał z dworku stary Kałaur, wołając:

Podróż, Bezdomność,
Matka

— Won, a harap¹⁶⁸, a do budy. — I zaraz huknął: — Czego się włóczyysz! Czego ci potrzeba?

Milcząc stała u furtki. Zrozumiał po lachmanach, że żebraczka, że ją psy obdarły i przestraszyły, więc je odegnał i dodał:

— Idź do kuchni. Dadzą ci jeść! Żebrze to, a psy wodzi za sobą. Chodźże, poprowadzę cię.

Podeszła bliżej, pochyliła mu się do kolan.

Usunął się i nie patrząc na nią, poszedł przodem na boczny ganek, wprowadził ją do kuchni. Stara kobieta krajała kapustę nad wielką beczką. Poznała ją Pokotyńka, była to ciotka Teofila, uboga krewna, co u nich w domu gospodarzyła od śmierci matki. Ta sama czerstwa, rumiana, ruchliwa i gadatliwa, tylko osiwiła więcej i jakby zmaląła, i twarz miała jak pieczone jabłko zmarszczoną.

— Uboga przyszła! Daj jej, siostró, jeść i jaką spódnicę, bo ją psy starmosiły! — rzekł Kałaur i poszedł do mieszkania.

Ciotka Teofila przestała krajać kapustę.

— Skaranie boskie z tymi psami. A to znowu jakiś cudzy! Won, wody, wody!

— To mój — ozwała się głucho Pokotyńka.

— Twój! Jeszczem ja nie słyszała, żeby po żebrach z psem chodzić. Czyś ty ślepa?

— Ja też po żebrach nie chodzę. Do was przyszłam.

Staruszka przyjrzała się jej uważnie, podniosła rękę i nie mogąc dobyć głosu z podziwu przeżegnała się tylko jak przed upiorem. Pokotyńka chwyciła ją za rękę i pocałowała.

— Poznaliście mnie, ciotko! — wyjąkała.

— Matko cudowna! — odzyskała głos panna Teofila. — Skąd ty! Co z tobą! Co ojciec powie. Dziecko masz! A mąż? Wygnał cię! Siedem lat!

— Nie mam męża!

— Magda! Jakże śmiesz ojcu się pokazać! Zabije cię! Gdzieś ty wstyd podział! Jak tyś się ośmieliła tutaj wracać?

— Dziecko ochrzcić trzeba. Musi papiery mieć. Tylkom po to przyszła!

— Oszalałaś. Jakże go zapiszesz, co księdzu powiesz? Obrza boska, wstyd, hańba. Ojciec, jak cię pozna, to albo ciebie zabije, albo jego krew zabije. Coś ty narobiła, nie-szczęśna! Do czegoś podobna? O Jezu, Jezu. Taki srom¹⁶⁹!

Załamala ręce i patrzyła ze zgrozą.

Pokotyńka cofnęła się do drzwi.

— To bywajcie zdrowi. Pójdę do księdza! — rzekła głucho. — Chciałam ino na ojca spojrzeć. Daj mu Boże i wam długie lata w zdrowiu. Wiem, że tej strzechy niewarta, ino dziecko zapiszę i już więcej się nie pokażę. Żegnajcie, ciotko.

Pocisnęła klamkę, ale panna Teofila porwała ją za ramię.

— Czekaż! Jakże tak można! Gdzie pójdziesz! Trzeba się zastanowić! Toć spocznij! Na ten ziąb i deszcz, mokraś, bosa, może i głodna. Jezu! Do czegoś się dopuściła? Co ja nieszczęśna pocznę z tobą? Trzeba ojcu rzec! Dajże mi ochłonąć! Głowę tracę, a tu i poradzić się nie można! Siadajże. Stary tu nie przyjdzie i zaraz wyjeżdża do miasteczka na jarmark. Mamy cały dzień spokojny! Co będzie, to będzie, tak cię nie puszczę! Kazał nakarmić, mogę nakarmić, a jutro trzeba rzec prawdę. Nie darowałby, żeby od księdza się dowiedział! Onże¹⁷⁰ ojciec!

Leciało jej wszystko z rąk i beładnie tłoczyły się słowa. Pokotyńka, śmiertelnie znudzona, usiadła pod ścianą u progu i milczała.

Panna Teofila zaryglowała drzwi od sieni przed najściem jakiejś sąsiadki, powoli zbierała myśli.

Przeraziło ją milczenie kobiety, jej bladeść i nieruchomość.

— Co tobie? Możeś chora! Mówże co!

— Nic mi, ciociu, tylko nadmiar zmęczona. Dziesięć dni idę i tak mi do serca doszło, tutaj! Chciałabym spocząć! Co mam rzec? Widzicie i wiecie!

¹⁶⁸ *harap* (z niem.) — okrzyk myśliwego odpędzający psy od upolowanego zwierzęcia (przeciwieństwo szczucia). [przypis edytorski]

¹⁶⁹ *srom* (daw.) — wstyd, hańba. [przypis edytorski]

¹⁷⁰ *Onże ojciec* — on przecież jest ojcem (daw. konstrukcja eliptyczna z partykułą wzmacniającą -że). [przypis edytorski]

Powrót, Córka

Hańba, Ojciec

— Rozbierz się, zjedz, potem cię położę u siebie w bokówce¹⁷¹! Zaśniesz! Żebyś, uchowaj Boże, nie zachorowała!

Kobieta wstała, spojrzała wokoło.

— Czego ty szukasz?

— Małego gdzie by położyć. Żeby trochę siana i koszyk, byle mu sucho i ciepło. Zziębło, teraz śpi.

Odkryła chustę i panna Teofila z niechęcią, ale z ciekawością zarazem spojrzała raz pierwszy na dziecko.

— I takeś go niosła, dziesięć dni, piechotą w tę słotę?

— Albo człowiek czuje własną duszę, że ją nosi! Tyle on mi ciężył! — rzekła kobieta, ogarniając ręką tę czarną, maluchną głowinę.

— Chłopak? — spytała staruszka.

— Jasiek mój serdeczny! — skinęła głową Magda. W starych oczach panny Teofili zakręciły się łzy. Odwróciła się, otworzyła drzwi do swego pokoiku obok kuchni.

— Tu go połóż, na łóżku! — rzekła. — Co dziecko winne?

Zakrzętała się, dobyła z kuferka pachnącą lawendą białą koszulę, wełniak i kaftan odświętny, potem, po chwili wahania, tkackie dwa cienkie ręczniki.

— Pieluszki będą, węz, a ot, przebierz się, ogarnij. Co tam! — wyrwała rękę, którą kobieta całowała. — Do chrztu cię nosiłam i tak mi cię żal! Biednaś ty. Żeby już ojciec przebaczył. Ale na to nadziei nie ma! Jeszcze gdyby nie dziecko!

Spojrzała nań.

— Do nieboszczki twej matki podobne. Jak to śpi spokojnie! Ile mu?

— Czwarty miesiąc.

W domu ruch się zrobił i głos Kałaura się rozległ.

Podreptała panna Teofila, zamknęła drzwi od bokówki. Magda zrzuciła swe przemokłe szmaty, umyła się, uczesała, z uczuciem rozkoszy włożyła czystą bieliznę i odzież. Od roku nie знаła tego zbytku. Zastała ją ciotka krajając kapustę.

— Pojechał. Spytałam go, czy można podróżną na noc zatrzymać, pozwolił. Dajże pokój, spocznij, zaraz ci jedzenie przygrzeję. Powiadaj o sobie. Dalekoś była? Jakże cię ta bieda spotkała? W służbie pewnie.

Magda milczała. W długiej samotności odwykła od mówienia i myśli jej tak innymi drogami chodziły, że obcowanie z ludźmi, ich pojęcia i sądy stały się jej zupełnie niezrozumiałymi, wstrętnymi prawie. Wróciła tu nie po przebaczenie, nie czuła na sobie hańby; nie chciała pozostać, żyć na łasce ojca, w gromadzie.

Chciała dla dziecka legitymacji — nic więcej; dla siebie samotności i ciszy pustkowia.

Nie rozumiała, dlaczego ten skarb jej i szczęście, dziecko, ciotka nazywała biedą, dlaczego ma przeklinać Szczepańskiego, czemu się wstydić i sromać. Stała się wśród zwierząt — zwierzęciem, nie chciała, nie czuła potrzeby ludzkich obyczajów i praw. Chciała swe dziecko do puszczy odnieść i tam je chować — sama i dla siebie.

Za nic by nie wyjawiała przed ciotką swego życia, więc pochylona nad robotą, odparła:

— Sługiwałam po ludziach. Bywało źle, bywało dobrze. Moc do pracy mam i ochotę, biedę mogę przetrzymać.

Podala panna Teofila na stół bielony barszcz i tłusto kraszone kartofle, a gdy Magda jeść zaczęła, rzekła zniechęta:

— A wiesz, Hipek się dotąd nie ożenił.

Kobieta podniosła oczy.

— Co za Hipek? Aa, ten! — dodała, przypomniawszy.

— Już się ustatkował. We dworze ekonomem. Ot, może jeszcze co z tego będzie. Byłe ojciec przebaczył. Cóż, teraz to cię odda za niego. A mogłaś, głupia, przebierać i nie byłe jakiego obywatela dostać! Aj, tak się samochcą¹⁷² zmarnować!

Pokiwała głową staruszka, a Magda pomilczała chwilę i rzekła:

— Nie będzie mnie nikt brać ani ojciec mnie zbywać. Ni ja po spadki tu przysłam, ni po Hipka. Przebaczy ojciec — łaska jego, wygoni — wola jego. Jakem przyszła, tak pójdę. Nie będę ślubować nikomu, nie będę żoną nikomu.

¹⁷¹bokówka (daw.) — boczny pokój. [przypis edytorski]

¹⁷²samochć (daw.) — z własnej woli. [przypis edytorski]

— Co? Może ten cię weźmie? No, pewnie, daj to Boże. Ale to rzadko się zdarza i taki mąż to ci oczy wypieczę sto razy, że cię przez litość brał! Zatraciłaś dolę — na zawsze.

Magda nic nie odpowiedziała. Niewiele co zjadła, nakarmiła psa i poczęła swe łachmany suszyć.

— Zmęczonaś, niebogo. Trzeba ci się położyć i zasnąć, to jutro i dumka będzie łżejsza. Gryzie cię troska, no, może da Bóg, serce ojcowskie odtaje. Nie desperuj¹⁷³, ja się z nim zaraz rano rozmówię i wyrozumiem; on by może przebaczył, ale przed ludźmi jak oczy pokazać! Żebyż nie dziecko!

Magda się wstrząsnęła. Oczy jej zapalały.

I nagle rzuciły się jej lzy żalu i tęsknoty za chatą w Wieszańcu, przypomniała sobie ów ranek, gdy się zwlekła z posłania i bardzo słaba, tę odrobinę dwudniową wyniosła na boży świat. A świat był w całej letniej krasie i wszystko, zda się, dziecko pieściło i witało.

Upieścił je ciepły powiew wonny i powitał promień słoneczny, i polizał Łyska, i zaskrzeczały wesoło sroki, i życzliwie odsłoniły swoje gniazdko, wysłane szuwarem, stare wierzby nad wodą. Nikt nie urągał, nie szydził, nie piętnował. Oj, wrócić tam, wrócić.

Żeby myśli posłuchała, zaraz by dziecko zabrała i poszła w ten dżdżysty zmierzch powrotną drogą, ale rozważyła, że idzie zima, że ten drobiazg cierpieć będzie w na pół rozwalonej chacie, i tłumiąc lzy, poczęła ślać sobie nocleg na drewnianej kanapce w pokoju panny Teofila i wymówiwszy się znużeniem, zaraz się położyła, dziecko tuląc do serca.

Bardzo rano wrócił Kałaur w dobrym humorze, bo zboże sprzedał drożej, niż w domu dawano, a że się na wozie przedrzemał, więc do śniadania zasiadł i opowiadał staruszcze nowiny z jarmarku.

Panna Teofila wbrew zwyczajom o nic nie pytała, słuchała obojętnie i wzdychała.

Zauważył to wreszcie Kałaur.

— Co siostra jakaś nieswoja? Stało się tu co złego? Zdechło co?

— Uchowaj Boże! Stać się, to stało. Tylko niech się brat nie alteruje¹⁷⁴! Wróciła nasza Magda.

Stary jeść przestał. Pocerwieniał i zbladł.

— Co siostra gada? Jak to? Gdzież ona?

— W kuchni.

— Dlaczego ją siostra przyjęła! — wybuchnął, zrywając się. — Jak ona śmiała tu wstąpić!

Drżącymi rękoma odpinał swój pasek rzemienny.

Rzuciła się do niego.

— Niech brat się opamięta, posłucha. Jakże mogłam nie przyjąć? Do ojca wróciła, gdzież pójdzie. Miałam drzwi zamknąć, kiedy brat ją sam przyjął?

— Ja? — Tu go coś tknęło. — To ta żebraczka, wczoraj, z dzieckiem, to ona!

Odepchnął staruszkę.

— Ubiję! — wrzasnął, wpadając do kuchni.

Magda słyszała wszystko, stała jak skamieniała u pieca. Chwycił, co mu się trafiło pod ręką, był to żelazny pogrzebacz i tym zamachnął.

— Won, ty wyrodku!

Kobieta, rażona w głowę, zwała się na ziemię ogłuszona. Panna Teofila powstrzymała wzniecone powtórnie ramię, krzyknęła:

— Jezus, Mario! Zabił! Ratunku!

Kałaur się opamiętał, przez drzwi sieni zajął parobek. Panna Teofila, lamentując, przypadła nad kobietą, zlewając ją wodą.

— Nie żyje! O ja nieszczęśliwa! Nie ma już ducha! O Jezu, Mario!

Stary przetaił czoło, trząsł się cały. Odwrócił oczy, wyszedł prędko i drzwi za sobą zarygłował. W stancji swej upadł ciężko na zydel, objął głowę rękami, czekał najścia policji.

Słyszał w kuchni ruch, suwanie sprzętów i powtarzał bezustannie w duchu:

— Zabiłem! Zabiłem! Ot, i koniec.

Ile tak minęło czasu, nie wiedział. Wzdrygał się na płacz i kwilenie dziecka za ścianą, ale nie szedł, nie dowiadywał się. Po co? Będzie tu zaraz pełno ludzi!

Natura, Dziecko, Obraz
świata

Gniew, Przemoc, Ojciec

¹⁷³desperować — rozpaczać. [przypis edytorski]

¹⁷⁴alterować się (z łac.) — niepokoić się, odczuwać wzburzenie; gniewać się. [przypis edytorski]

Nareszcie zapukano do drzwi. Wstał i otworzył. Stała w progu panna Teofila.

— Nie żyje? — rzekł głucho.

— Jeszcze dysze. Trzeba po doktora posłać i po księdza — odparła przez łzy.

Stłumione stęknienie, prawie jęk, wydał z siebie. Sięgnął po czapkę, poszedł do stajni, założył sam klacz do wózka i wyjechał za wrota.

Doktor mieszkał w miasteczku o pięć wiorst. Kałaur przebył tę przestrzeń w kwadrans; przez drogę zebrał zmysły.

Lekarz, dawno osiadły, znał go doskonale.

— A co tam, panie Kałaur, panna Teofila pewnie się przeziębila, stróżując nad węgielkami w sadzie! — powitał go wesoło.

— Nie, panie doktorze. To ja sam, zdaje się, na śmierć ubiłem córkę — odparł głucho.

— Co pan mówisz! Jaką córkę?

— Miałem jedną. Siedem lat temu z domu uciekła. Przekląłem. Zakała mego życia! Myślałem, przepadła! Ludzie nawet już zapomnieli. Wczoraj wraca, z dzieckiem! Zapamiętałem się, uderzyłem, trafiłem w głowę. Upadła, i ot, dochodzi, powiadają! Ja nie widziałem, ot, nieszczęście.

Lekarz już się na wózek sadowił. Ruszyli. Kałaur klacz popędzał, biała była od szumu¹⁷⁵, zresztą się nie odzywał, twarz miał zastygłą, poruszał czasami bez głosu ustami.

— Mógł ją cios ogłuszyć. Młoda, może wytrzyma — pocieszał go lekarz.

— Młoda. Dwadzieścia cztery lata skończyła na Wniebowzięcie! — zamruczał stary.

— Więcej pan nie miał dzieci?

— Tylko ta jedna! I taka się udała. Zanadtośmy kochali, dogadzali, pieścili z nieboszczką. Przystojna była, gładka, urodziwa, że nikt jej nie minął, żeby się nie obejrzał. Pycha nasza była, zazdrościli ludzie. Ot, co się stało. Bóg łaskaw, że matka tego nie dożyła! Na moją głowę spadło, a teraz...

Wstrząsnął się, patrzył ponuro na drogę. Zwrócili między osady szlacheckie. Ludzie już wiedzieli, bo spoglądano za nim i szeptano.

Na ganku spotkała ich panna Teofila.

— No i co? — spytał Kałaur.

Nie słuchał odpowiedzi, nie rozumiał. Rzucił lejce parobkowi i wszedł za lekarzem.

W pokoju panny Teofili na łóżku leżała Magda nieruchoma, nad nią stała stara Sobolska z gromnicą, kilka jeszcze kobiet patrzyło ciekawie i frasobliwie; rozstąpiły się przed doktorem. Ten, przechodząc, bez ceremonii gromnicę zdmuchnął i rzekł ostro:

— Proszę się usunąć, wszyscy obcy!

I pochylił się nad leżącą.

Kobiety wyniosły się prędko. Kałaur stanął pod ścianą, bez tchu patrzył w twarz doktora.

— Lodu! — ten krótko rozkazał.

Stary wyszedł do kuchni, zawołał parobka.

— Duchem do dworu. Masz rubla! Lodu kubel przynieś. Żywo!

Gdy wrócił, doktor odchodził od łóżka.

— Zabiłem? — spytał go ponuro.

— Jeszcze żyje. Nie trzeba tracić nadziei! Ale uderzenie było ciężkie, mózg wstrząśnięty. — Skrzywił się. — Papieru i pióra proszę i natychmiast do apteki niech pan pośle.

Przyniesiono mu żądane przedmioty, napisał.

Potem rozejrzał się po izbie i spostrzegł dziecko. Leżało cichutko przy piecu, obudzone, cierpliwe, jakby czuło, że mu tutaj odzywać się nie wolno. Obejrzał je doktor.

— Tęgi chłopak! — rzekł do panny Teofili.

Pokiwała głową.

— Było mu lepiej nie rodzić się. Ona nie wytrzyma. Prawda, panie doktorze?

— Kto może wiedzieć? Organizm ma wyczerpany, ale młode siły cuda czynią. Jeśli przenocuje, to będzie nadzieja. Gdzież ten lód!

Niósł go sam Kałaur. W tej chwili dziecko zapiszczało, zakwiliło żałośnie i jednocześnie

Córka, Kobieta

Cierpienie, Ojciec, Córka

¹⁷⁵szum — tu: piana; por. szumowina. [przypis edytorski]

jęknęła Magda. I jęczała już ciągle, a jęk ten szedł w duszę Kałaura i rozdzierał mu serce. Obłożono głowę chorej lodem, ucichła, poczęła dyszeć i drgać. Dzieciak płakał.

— Wynieście go stąd! — rzekł doktor. — Matka słyszy i to ją nęka. Głodny jest. Dajcie mu mleka grzanego, byle nie tłuste!

Panna Teofila była przy chorej zajęta.

Kałaur się zawahał, wreszcie wziął dziecko z poduszką i wyniósł. W kuchni, zawsze gotowa do usług, czatowała Sobolska i już grzała mleko.

— Zaraz ja robaczka nakarmię! — ofiarowała się. — A może państwu przy chorej zawadza, to go do siebie odniosę. Sama mieszkam!

— Dziękuję — mruknął Kałaur — tutaj będzie.

Zaniósł dziecko do swego pokoju i wróciwszy, rzekł do panny Teofili:

— Niech siostra nakarmi malego. Ja tu zostanę.

*

Gdy Magda otworzyła oczy przytomne, ujrzała naprzeciw siebie pod ścianą siedzącego ojca.

Drzemał, wyczerpany długim czuwaniem. Ona poszukała oczami dziecka i poruszyła się niespokojnie.

Stary się ocknął, wstał, zbliżył się do niej.

— No, jakże ci? — spytał z cicha.

— Gdzie Janek?

— Zdrow, śpi. Może co zjesz?

— Jaśka mi mego dajcie!

Kałaur sam przyniósł dziecko, weszła też panna Teofila, uradowana, poczęła gawędzić.

— Widzisz, zdrow i cały. Już tydzień mlekiem karmię i służy mu.

— Już tydzień. Nic nie pamiętam. Zaraz się zwlekę.

— Poleż jeszcze. Toć w domu jesteś, nikt cię nie wygania. Zostaniesz, wola boska! — mruknął Kałaur. — Ludzie już wiedzą, stało się! Potem pogadamy!

Dopiero trzeciego dnia potem wstała Magda, zrazu tak słaba, że tylko ścian się trzymając przechodziła na zydel¹⁷⁶ pod piecem i głosu ledwie wydobyć mogła z gardła, potem słabość co dzień ustępowała i wreszcie został na skroni szram czerwony, a na twarzy bladość. Ale już pracowała. Wyręczała pannę Teofilę, warzyła strawę, czesała len, obierała śliwy w sadzie, piekła chleb, wieczorem przędła. Dawni znajomi już wszyscy ją odwiedzili i obejrzeli, i znaleźli¹⁷⁷, że Magda do niepoznaki zmieniona. Milcząca się stała, dzika, nigdy nie wesola. Nie wychodziła nigdy poza furtę ojcowskiego podwórza, nie przestąpiła progu sąsiadów, nie dała się namówić w odwiedziny na wieczór ani na niedzielę.

A była to jesień, pora wczasów, zabaw, swatów i miłostek. Roboty rolne zakończone, zbiory były pomyślne, wieczory długie. Od dworku do dworku wydeptano ścieżki przez ogołocone z owoców sady i zbierano się na gawędy, na przedzenie, na śpiewy, na muzykę. Panna Teofila, skoro zmierzch, wynajdywała pilny interes do sąsiadki, przebierała się i z kołowrotkiem pod pachą ulatniała się z domu. Stary Kałaur zwykle dawniej szedł na gawędkę do Syrvida lub Józefa Rojskiego, tej jesieni wynalazł sobie robotę stolarską, robił ramowe ule do swej pasieki i miał wymówkę przed sąsiadami, że bywać przestał. Naprawdę, z powodu Magdy nie chciał ludziom się pokazywać.

W kuchni sama spędzała wieczory Magda.

Gdy uwarzyła kolację dla parobka i pastucha i wyprawiła ich spać do stajni, zasiadała do przedzenia. Świerszcze w szczelinach zgrzytały monotonna, psy czasem zaszczeakały, w głębi domu stukał Kałaur przy robocie, ona wyciągała cienkie jak pajęczyna nici, tylko już nie śpiewała jak ongi w leśniczówce.

Gdy stary zegar wagowy wyjęczał ósmą godzinę, wstawiała i podawała ojcu wieczerzę.

Nakrywała stół, stawiała na nim salaterkę i talerz, kładła chleb i łyżkę i słowa nie rzekłszy, wysuwała się do kuchni.

Jesień

¹⁷⁶zydel (daw.) — drewniany stół. [przypis edytorski]

¹⁷⁷znaleźć — tu: uznać, dojść do wniosku. [przypis edytorski]

Stary też do niej się nie odzywał, czekając, by pierwsza zaczęła, upokorzyła się. W niej był ból i żal, i uraza, i tak oboje zawzięcie milczeli.

Pewnego rana Magda okrzatnęła się z robotami o szarym jeszcze świetle, a gdy panna Teofila wstała, rzekła:

— Nie będzie mnie dziś, ciociu, do samego wieczora.

— A gdzie ty się wybierasz?

— Do kościoła pójdę z małym. Ino nie wiem, czy ksiądz ochrzci za trzy złote. Tyle mam!

— Jakże, tak pójdziesz, piechotą! Toć trzy mile. A gdzie kumy? Gadałaś z ojcem? Może z tobą pojedzie.

— Nie gadałam i nie będę. Jemu to wstyd i despekt¹⁷⁸, a mnie trzeba odbyć. Pójdę! A kumy! Prędej ktoś obcy się zlituje, uproszę!

I poszła. Odmówiła nawet, gdy jej panna Teofila chciała dać parę rubli i ofiarowywała się sama z ojcem rozmówić. Uparła się, zacięła i poszła. Nie spotykając jej nigdzie na podwórku, spytał Kałaur.

— Magda zasłabła czy znowu uciekła?

— Poniosła dziecko do chrztu.

— Po co ją siostra puściła, było do mnie odesłać.

— Gadałam, nie chciała.

— Szelma, na hambit¹⁷⁹ jeszcze choruje, fanaberie stroi. Niech próbuje, niech się złata na darmo! Przyjmie ją proboszcz jak się należy.

W nocy już wróciła Magda. Była śmiertelnie blada i dziko paliły jej się oczy, a usta były zacięte i surowe.

— No, jakże ci się udało? — spytała ciotka.

— Wiadomo jak! — warknęła ze wściekłością w głosie. — Wypędzili mnie jak parszywą. Ksiądz kazał dwóch świadków przyprowadzić, świadectwo z policji i dziesięć rubli. Za ślub kary, powiada, i za wywód¹⁸⁰ kary, i za dziecko nieślubne kary. Zbeształ mnie, od spowiedzi odpędził, ludziom na pośmiewisko podał. Tak ci wróciłam.

— A czegoś się lepszego spodziewała? Miał cię pochwalić, podziękować, za przykład podać? Któż cię poszanuje, kiedyś sama się nie poszanowała, na grzech i srom poszła. Jakby za to kary nie było od Boga i ludzi, to wnet by świat cały piekłem się stał.

— A komużem¹⁸¹ ja krzywdę uczyniła albo to dziecko? Ano, niech będzie niechrzczone, a ja przekłeta. Dziesięciu rubli nie mam i świadków wodzić nie będę.

— Od złegoś ducha opętana czy co? Idź, proś ojca, ukorz się, poproś o ratunek. Słusznieś wstyd i karę miała. Możesz ty i u spowiedzi w tym roku jeszcze nie była?

Magda nic nie odpowiedziała i od tego dnia stała się bardziej ponura, ale do ojca nie poszła, a gderań, morałów i nauk ciotki zdawała się nie słyszeć. Opętana była oczywiście.

I przyszło do tego, że wieść o niej i dziecku dostała się do policji i pewnego dnia uradnik zajęchał do Kałaura, i napadł nań, że przechowuje dziecko, chłopca, nigdzie niezapisanego.

Stary zaraz po jego odjeździe wszedł do kuchni i rozdrażniony krzyknął:

— Zabieraj swego bękarta do chrztu. Na to mi zeszło, że muszę swój wstyd obwozić ludziom na pośmiewisko i imię swoje honorowe dawać ulicznemu śmieciu! Ubieraj się zaraz, jedziemy.

Magda bez słowa otuliła dziecko i stanęła na ganku, czekając, aż konie założą. Kałaur sam powoził, usiadła pokornie na brzeżku wózka i ruszyli. Stary sapał ze złości i coś do siebie mruczał, tak zajęchali na plebanię. Kazał jej czekać w sieni, sam poszedł do proboszcza.

Zawołano ją po długim oczekiwaniu. Księdza snadź Kałaur ułagodził, bo spytał jej tylko:

— A ojciec dziecka żyje? Może by można wpłynąć na niego, by się z tobą ożenił. Obrazy boskiej by nie było. Chcesz, napiszę za ciebie list do niego.

— Nie wiem, gdzie on jest i czy żyje, i dokuczać mu nie będę! — odparła spokojnie.

Ksiądz, Grzech, Kara

Chrzest, Honor, Pozycja społeczna

¹⁷⁸despekt (daw., z łac.) — obraza, obelga. [przypis edytorski]

¹⁷⁹hambit (daw., gwar.) — ambicja. [przypis edytorski]

¹⁸⁰wywód — religijny obrzęd „oczyszczenia” kobiety po porodzie. [przypis edytorski]

¹⁸¹komużem (...) uczyniła — inaczej: komuż uczyniłam. [przypis edytorski]

— Następnej niedzieli przyjdiesz do wywodu i do spowiedzi. Dla twego ojca to czynię, że cię srożej nie ukarzę. Życie swe całe powinnaś poświęcić pokucie.

Obejrzał się na Kałaura.

— Któż będzie kumem¹⁸²?

— Ja, proszę! — ozwał się wesoło stary mieszczanin, który wszedł przed chwilą i witał się z Kałaurą. I dodał żartobliwie: — Ot, niech pan się tyle nie trapi. Ja mam czterech zięciów, same łajdaki. A pan z chłopaka doczeka się wyręki i pociechy, wspomni pan moje słowo.

— Milczałbyś i nie gadał takich głupstw i herezji — oburknął go proboszcz.

Ale stary, niepoprawny, wziął chłopaka na ręce i dodał.

— Będą mi się konie wiodły za to kumostwo!

— Jan się nazywa! — rzekła Magda.

Ksiądz pośpiesznie ceremonię odbył. Dzieciak leżał spokojnie, ciekawie patrzył, ani się skrzywił, wreszcie począł się uśmiechać i sięgać rączkami do wąsów starego. Ten, ubawiony, ucałował go i oddał matce.

— Niech się zdrowo chowa. Ładna bestia, jako zwykle takie bywają, samosiejki. Może wstąpicie do mojej chaty, panie Kałaur. Jakby to nie było, warto przy takiej okazji gardło popłukać.

— Dziękuję, panie Kozłowski, za waszą usługę chrześcijańską, ale z takiej okazji nie ochota się weselić. Innego dnia wstąpię!

Kozłowski za chrzest zapłacił i pogadawszy chwilę, wyszedł. Magda tymczasem zbliżyła się do zakrystiana i szeptała z nim.

Wziął trzy złote, cały jej majątek, obiecał metrykę spisać i w niedzielę jej doręczyć, tedy, uspokojona, cofnęła się do sieni.

Wrócili do domu, jak przedtem, milczący.

Cały dzień nic nie jadła. W karczmie za miasteczkiem stary wysiadł, by popasać, a znajomych nie spotkać.

— Chodź, głodna! Jest kobiałka w wozie. Daj ją do izby. Zjemy kęs.

Wypił kieliszek wódki. Był rad, że to się odbyło. Przegryzł kielbasę z chlebem, wypił drugi, zapalił fajkę i rzekł:

— Och, żebym ja tego łajdaka, co mi dziecko jedyne pohańbił, dostał w ręce, żebym ja go dostał. Ostatnia by jego była godzina. Nie chodziłby on po świecie, gałgan! Ubiłbym, kanalie! Feliks Kałaur bękartu hoduje, wozi, chrzci. Do tegoś mnie ty doprowadziła!

Splunął. Ona nie mogła już przełknąć chleba, dławił ją. Odłożyła skibkę do kobiałki i siedziała nieruchoma.

„Boże, Boże, daj wiosny doczekać” — myślała z rozpaczą.

Tymczasem pracowała w ojcowskim domu jak sługa. Panna Teofila przestała wyrzekać na ciężar lat i roboty, wywczasowywała się z rana, a w dzień gderała tylko lub prowadziła długie rozmowy¹⁸³ z kumoszkami, wszystkie ciężkie roboty gospodarskie spełniała Magda.

Zaścianki przegadały jej powrót, wreszcie oswoiły się z jej obecnością, temat się wyczerpał.

Patrzano na jej pracowitość i powagę, na jej zachowanie bez zarzutu, lękano się obrazić bogatego Kałaura, poczęto się liczyć z nią jako z dziedziczką folwarku i nawet pochlebiać, i przechwalać, zaczepiać troskliwie o dziecko, pieścić je i całować.

Doszła wieść i do Bud Mazurskich, i zaraz matka przybiegła do Hipka.

— Dostaniesz teraz Magdę i folwarek! — cieszyła się.

— Jużci, że dostanę. Będą mnie prosić.

— Głupis, nie czekaj. Połakomi się kto i weźmie.

— Ot! Wróciła ona dla mnie i wygląda! Będzie czas. Co mam pokazywać wielką ochotę. Jeszcze sami przyślą!

W tej pewności czekał do adwentu, ale się nikt nie zgłaszał, więc wstąpił raz sam do dworku, niby za interesem dworskim.

Hańba, Ojciec

¹⁸²kum — ojciec chrzestny. [przypis edytorski]

¹⁸³rozmowy — rozmowy, gawędy. [przypis edytorski]

Stary go przyjął na podwórzu pod oborą i wcale do domu nie prosił. Gdy mówili ze sobą, z obory wyszła Magda z wiaderkiem mleka, ani spojrziała, ani pozdrowiła, minęła, jakby nie istniała. Bardzo obrażony, odjechał i przed ludźmi na nią wygadywał szpetnie. Zbeształa go za to matka, kazała po formie¹⁸⁴ swaty słać, prosić na swata Józefa Rojskiego.

— Co ty sobie lekceważysz taką fortunę. Sto dziesięcin, trzydzieścioro bydła, a dostatki wszelkie. Ani chybi ktoś cię uprzedzi!

Pojechał Hipek trochę zaniepokojony do Rojskiego, ale ledwie rzecz zagaił, stary mu przerwał.

— Wybaczcie, swatem wam nie będę, mój Kazik spodobał sobie Magdusię i oto właśnie Syrwid za nim do Kałaura pojechał.

— Szkoda waszej fatygi — zaśmiał się Hipek. — Ja ją wcześniej zatargowałem i lepsze prawo mam.

— Wolna droga! — oburzył się szlachcic. — Ale mnie się widzi, że Kałaur niesłodko was wspomina! Ano, próbujcie.

Gdy Syrwid po długich wstępach i ogródkach interes swój wypowiedział, Kałaur zdurniał.

— Magdę Kazik chce brać?

— Upodobanie ma do niej. A chyba mu hańby nie dacie. Chłopak pracowity i stateczny, familii porządnej, fortuny nie byle jakiej.

— Toć ja mu nic nie zarzucam, ale właśnie nie pasuje mu Magda i nie myślałem jej komu dać.

— To się pan mylisz. Urodziwa jest córka pańska i pracowita, i radna — a że pobłądziła w młodości, to tym bardziej będzie mężowi posłuszna i pokorna, i wdzięczna, że jej winę darowuje, i powagą swą mężowską okryje.

— Dziękuję wam za dobre słowo i polityczność, i za honor sobie mam waszą propozycję. Jednakże z nią się rozmówić muszę i przeto odpowiedź do jutra odkładam.

Odszedł Syrwid pewny pomyślnego rezultatu, a Kałaur dumał chwilę i wreszcie zawołał Magdę. Stała u progu. Popatrzył na nią. Zmizerowanie jej już ustąpiło. Urodziwa była, prawda, smągła twarz dostawała znowu rumieńca, przepaściste oczy świeciły młodością, kruczy warkocz jak u mężatki oplatał głowę. Smukła była, gibka, zgrabna.

— Chodź no tu bliżej! Czego się boisz? Nie zjem cię. Masz ty jakieś niesłychane szczęście! Wiesz ty, Kazik Józefów chce cię za żonę brać. Spodziewałaś się ty takiego losu po tym wszystkim? — No, co milczysz?

— Ja ta nie chcę innego losu jak mój, na poniewierkę do obcych nie pójde. Służyć wam będę albo sobie samej, nikomu więcej.

— Co ty pleciesz! Nie chcesz iść. Zwariowałaś.

— Nie chcę i nie pójde. Ani mi ten Kazik miły, ani własny. Ślubować mu nie będę ani pracować w jego domu, bobym łgała, ślubując, a przeklinała, pracując. Wy nazywacie Jaśka bękartem, a mnie szelmą, to wy, ojciec, macie prawo, ale żebym ja, ze swej woli, dała takie prawo obcemu człowiekowi i dla pustej sławy dziecko rzuciła na poniewierkę, a siebie na niewolę, za nic! Co by mi rzekł chłopak, jak dorośnie i zrozumie, a co by mi rzekł jego ojciec!

Zająkała się i umilkła na to wspomnienie.

Rzuciły się jej łzy do oczu, odwróciła się i wyszła.

A Kałaur się zadumał, wreszcie zamruczał:

— Słuszność ma. Niech siedzi w domu. Nie dam jej nikomu. Hambitna i rozum ma!

Zaścianki nie mogły wyjść z podziwu, gdy wieść się rozeszła, że Magda odmówiła Kazikowi.

Panna Teofila była oburzona, pokłóciła się z Kałaurem, przestała gadać z Magdą.

W domu zapanował chłód, z Rojskimi zerwano stosunki, zawrzało znowu. Plotki, obmowy, złośliwe docinki, cała złość ludzka, zawiedziona w rachubach na fortunę jedy-naczki.

Kałaur od tego dnia począł mówić do córki. Dawał jej rozkazy, pytał o robotę, wołał, gdy potrzebował usługi, ani razu nie wypomniął dziecka. Ona, zdradzona i nieufna, trzymała się z daleka — jak sługa.

¹⁸⁴po formie — wedle przyjętych zwyczajów. [przypis edytorski]

Pewnego wieczora siedziała jak zwykle sama w kuchni, a że niedziela była, nie przędła, ale rozłożyła na stole modlitewnik ciotki i przypominała sobie litery, mozolnie po liniach palec wodząc i sylabizując. Zdało się jej, że ktoś do okna pukał, ale pomyślała, że to sowy się tłuką, i nawet głowy nie podniosła.

Aż drzwi skrzyknęły. Obejrzała się. Na progu stał Hipek. Zachnęła się, ale trwało to sekundę, i ozwała się:

— A czego chcecie? Przez ganek droga gościom.

— Magduś! Nie poznajesz mnie? — szepnął, uśmiechając się.

— Czemu nie. Hipolit Łabędzki jesteście! Czego chcecie?

— Do ciebie, Magduś, się wykradł. Powitać bez świadków, pozdrowić, przypomnieć! Czekaliśmy ciebie i doczekaliśmy się. Pamiętasz nasze kochanie!

Kobieta wstała, stanęła w drzwiach bokówki, założyła ręce na piersiach.

— Pamiętam wasze żołdackie obcasy na plecach i pięści na głowie!

— Oj, Magduś, a buziaków już nie pamiętasz? — Zbliżył się uśmiechnięty. — Jeszcze wypiękniała, jagodo!

— Won! — przez zaciśnięte zęby syknęła kobieta.

— Taką rozniewaną i pamiętną głupstwa. Już mi wybac. Pijany byłem, głupi! W kochaniu różnie bywa. Powiadają: kochaj jak duszę, a trzęś jak gruszę. No, daj rękę, Magduś, na zapomnienie. Widzisz, wiernym ci pozostał. Myślałem, że wrócisz do mnie. Ja ci gorsze wybaczę i żenić się gotów — pomimo dziecka.

— Won! — powtórzyła kobieta.

— Tak to moje dobre słowo przyjmujesz! A już mam prawo do ciebie i sumienny obowiązek. Mojaś była i moja będziesz, dalibóg, nie bój się, gotowym jutro na zapowiedzi dać. Dziecko przyjmę, żebyś wiedziała, jakem ci dobry! Przywitajże swego Hipka, Magduś!

Zbliżył się tuż do niej, tedy się schyliła i plunęła mu w twarz.

— Ty, gadzino! — krzyknął i porwał ją brutalnie za ramię. — Ja ci pokażę, kto twój pan.

Chciał ją obezwładnić, wyrwała prawą rękę i uderzyła go pięścią w twarz, tedy, wściekły, począł się z nią szamotać, dławić, do ziemi cisnąć. Wywróciła ławkę i ceber, zmagali się w milczeniu, dysząc, ani przypuszczał, by miała tyle siły, czuł, że nie da łatwo rady. Wtem krzyknął przeraźliwie, puścił kobietę, chwycił się za kark ze zgrozą. Zęby Łyski wpiły się weń. Pies skoczył jak tygrys, milczkiem, na obronę swej karmicielki, gryzł go i szarpał.

A jednocześnie otworzyły się drzwi i ukazał się Kałaur, za nim dwa jeszcze psy, i z wściekłym ujadaniem rzuciły się w pomoc koledze.

Hipek upadł, bronił się nogami, pięściami, wreszcie począł przeraźliwie wołać ratunku.

Kałaur porwał za kij, wołał wody, rozpędzał psy; Magda ani się poruszyła ku obronie. Założyła ręce na piersi, dysząc zmęczeniem, i patrzała z dziką zawziętością w oczach, jak ten jej kat tarzał się po brudnej podłodze kuchni, w rozlanych pomyjach, jak mu psy darły odzież, kaleczyły ciało. Zdało się jej, że przed chwilą było jak na rynku w Oranach; on pijany i rozbewziewiony, ją w błoto deptał kutymi żołdackimi obcasami, piersi jej pruć, pięściami miażdżył, za włosy suwał po śmieciu i nawozie! Jeszcze ta kuchnia za czysta, jeszcze te psy za łaskawe!

Kałaur jednego psa za kark uchwycił, drugiemu kijem nogę przetrącił, Hipek się zerwał, rzucił się do drzwi, za nim puścił się Łyska.

— Trzymaj psa, drzwi zamknij! — wołał stary.

Hipek wypadł na podwórze, przesadził płot, posłyszał głos Magdy:

— Łyska, hycel, hycel! Bierz go! — I zajadłe ujadanie tuż za sobą.

Dopał klaczy, jeszcze poczuł na udzie zęby psa, wskoczył na siodło i jak nieprzytomny zmykał.

Kałaur tymczasem napadł na Magdę.

— Toć by go zajadły, niewiele brakowało, a ty stoisz i patrzysz jak na teatr, i szczujesz jeszcze. Czyś zwariowała... Skąd on się tu wziął? Czego chciał? Hołubisz¹⁸⁵ go znowu?

¹⁸⁵hołubić — wyjątkowo dbać, troszczyć się o kogoś; pieścić kogoś, zabiegać o czyjeś względy. [przypis edytorski]

Mężczyzna, Kobieta

Bijatyka, Pies

Zemsta, Sprawiedliwość

— Widzicie, jakem hołubiła — odparła, biorąc się do sprzątanía. — Przyszedł na rachunek, dałam mu. Gadał, że prawo do mnie ma, pokazałam mu. Porachowaliśmy się, skończyli!

Stary stał jeszcze chwilę, spojrział na książkę, którą czytała, i rzekł:

— Ciotki nie ma?

— Wieczorami nigdy nie bywa.

— To co tu sama siedzisz i naftę palisz. Chodź do izby. Nie słuگاś, byś się po kuchniach wałala i draby cię napadały. Chodź, zgaś światło.

Udawał przed samym sobą, że czyni ustępstwo gwoli¹⁸⁶ oszczędności. Magda nic nie odrzekła, poszła za nim do stancji, usiadła na boku, czytała dalej, mozolnie sylabizując.

Stary zapalił fajkę, u komina siedział i sumował.

— Jutro do Jenty trza welnę zawieźć i szesać — ozwał się. — Weźmiesz ze sobą Sobolską do pomocy.

— Dobrze.

Znowu upłynęło długie milczenie. Stary się po izbie przeszedł, poprawił na kominie, wreszcie zagadnął.

— Dziecko śpi?

— Pewnie śpi.

— Nie słychać go nigdy.

— Rozumie, że musi być cicho. Jak nie śpi, to go Łyska zabawia, a tak psa zna, jak niańkę.

— Dobry pies. Gdzieś go dostała?

— Mój pan mi go darował.

— Ten, ojciec małego?

— Tak.

— A on gdzie się podział?

— Za morze go mus powłókl, służba i bieda.

— A ciebie sponiewierał i rzucił!

— Biedniejszy on ode mnie! Ani poniewierał, ani rzucił. Nie płakałam ja przez niego, ale po nim. Da Bóg, wróci, może sobie służyć pozwoli.

— Kto on taki? Jak się zwał?

— Dla mnie mój pan i panem go zwałam.

— Jednaka wariacja w tobie zawsze siedzi! — mruknął niechętnie stary.

W parę dni potem, przechodząc przez kuchnię, nie zastał Magdy, wyszła na chwilę do spiżarni, zawołana przez ciotkę, zostawiła dziecko na łasce Łyska; siedział przy nim i lizał po twarzy, a chłopak, rozbudzony, kudłaty łeb psa głaskał rączkami. Spojrział stary i zatrzymał się, a wtem weszła Magda z miską kapusty w ręku.

— Spadnie z ławki dziecko i rozbije głowę.

— Toć Łyska jest przy nim! — odparła spokojnie. — Nie da mu upaść ani komu tknąć.

Wmieszała się panna Teofila.

— To jest osobliwość! Nie do uwierzenia. Ten pies ludzki ma rozum, a do dziecka przywiązany, że wprost komedia. Jak ona mu rzeknie: „Łyska, masz Jaśka!”, to już krokiem nie ruszy, a niechby kto spróbował małego dotknąć...

— Ot, gadanie! — rzekł Kałaur i sięgnął do ławy.

Pies spojrział na niego i zawarczał, a gdy to nie pomogło i stary dotknął dziecka, rzucił mu się do piersi ze wściekłym ujadaniem.

— A widzi brat! Toć mnie lepiej zna, a także nie da dostąpić. A żeby trzy dni nie jadł, to nie weźmie strawy od nikogo, tylko od niej. Nie widziałam w życiu takiego psa. Hipek zaprzysiągł, że go zastrzeli albo struje. Szkoda będzie sobaki.

— Hipek! — huknął Kałaur. — A jakież on prawo ma do moich psów! To nie mazurskie ani dworskie pokurcze. Komu on to gadał, to niech mu odpowie, że Kałaur psów nie truje ani strzela, ale hyclom skóry garbuje. Patrzaj no, świniopasa, wywłoka!

Istotnie Hipek odgrażał się strasznie i wygadywał na Magdę bezecne rzeczy. Krążyło to po zaściankach, dochodziło przez pannę Teofilę do niej samej. Nie broniła się, ale i nie

Pies

¹⁸⁶gwoli — z powodu. [przypis edytorski]

desperowała, tylko jeszcze bardziej stała się dzika i jak wilk patrzyła na ludzi. Przestała wcale wychodzić poza furtę folwarku, ledwie odpowiadała sąsiadkom odwiedzającym pannę Teofilę. Kałaur już się zupełnie z nią pogodził, podziwiał jej pracowitość i rzadność i nawet w głębi serca czuł już nie wstręt, lecz litość dla dziecka.

— Co ono winne! — powtarzał, a gdy przed Bożym Narodzeniem kupował do domu zapasy i gościńce, znalazł się w tych darach barchan¹⁸⁷ jaskrawy na sukienkę.

Do wigilii siedli już we troje, przy oplatku pocałował córkę w głowę.

— Opuścił już brat rankor¹⁸⁸ z serca, dzięki Bogu — rzekła panna Teofila.

— Co mam robić! — mruknął.

Magda pracowała, gospodarzyła, nie mówiła nic, tylko czasem, gdy była sama z psem, jemu się zwierzała.

— Z żurawiami pociągniemy, Łyska, we troje. Jużci trafimy do swej chaty, prawda? Byle wiosna!

I żyła tylko tą myślą.

Pewnego dnia w styczniu Kałaur, szukając czegoś w świronku¹⁸⁹, znalazł na spodzie beczki jakiś tłomeczek porządnie zwinięty. Wydobył go i rozwinął. Poznał łachmany, w których przyszła Magda, połatane i uprane, a w nich okręconą w szmatę ceratową torbeczkę. Zaciekawiony otworzył ją, była pełna papierów, listów, dokumentów i gazet. Pierwsza, co mu wpadła w ręce, była w czerwony papier oprawna książeczka, na której wyczytał: „*Dominium*”¹⁹⁰ Orany. Książka służbowa leśniczego, Wiktora Szczepańskiego”, niżej data sprzed sześciu lat. Pomyślał chwilę stary, potem szmaty na powrót zgarnął i do beczki włożył, a papiery wsunął za kozuch, świronkę zamknął i wrócił do domu.

Wbrew zwyczajom domowym, przez parę nocy, długo świeciła lampa w stacji Kałaura, a pewnego wieczora, gdy był sam z Magdą, rzekł stary:

— Toś ty służyła u Szczepańskiego Wiktora, leśniczego w Oranach.

Skamieniała, pobladła, ledwie wyjąkała:

— Kto wam mówił?

— Wiem! To on ojciec małego?

Milczała już, przerażona, bez tchu.

— Słuchaj. Prawdę mi powiedz! Okradłaś go i uciekłaś.

— Jego — okraść? Ja? Toć bym z ołtarza przedzej wzięła. Zełgał ów, co wam mówił.

— No, to jakimże sposobem są u ciebie jego papiery?

Porwała się z miejsca.

— A wyście je wzięli z mojej skrytki. Jakaście śmieli ruszyć, możecie i czytali! O Jezu!

— Ty mi tu do oczu nie skacz, ale odpowiadaj! Dlaczego są u ciebie?

— Bo mi je schować kazał, kiedy go te katy wzięli.

— Jakie katy! Gadałaś, że po służbie odjechał. Łżesz.

Kobieta się stropiła.

— Oddajcie mi te papiery. Ni moja sprawa, ni wasza. Grzech jest cudze rzeczy tykać! A o nim nic nie rzeknę więcej. Nie ma go i koniec.

— Warto by cię paskiem zmierzyć za zuchwalstwo, ale wiem ci, że rozumu ni pokory nie będziesz już miała. Papiery wzięłem i przeczytałem, bo musiałem dowiedzieć, gdzieś to broiła i z kim. Jeśli ty rozumu nie masz, to ja mam i ja o dziecku myślę. Wiesz, co w papierach jest?

— Anim ich kiedy tknęła. Zabronił. Powiedział: „Psa mi pilnuj i papierów”. Dawali mi za nie trzysta rubli, ścigali mnie za nie jak zwierzę, dopilnowałam! Alem nawet torby nie otwierała.

— A on gdzie się podział? Okradł pana na wspólkę z Bielakiem, kochankiem jego matki — i uciekł.

Magda słuchała. W głowie czynił się jej chaos.

— Jakiej matki? Czyj kochanek? O Jezu! Co wy powiadacie! On kradł! To Bielak kradł, a żonę mu podsyłał, dla niej on milczał. A potem Jasiński gałgaństwa Bielaka odkrył, to wtedy jego spolił i podstawili, jakoby on Jasińskiego zabił, i przepadł, nieszczęśny.

Przemiana, Rodzina, Dom

Złodziej, Zbrodniarz,
Podstęp

¹⁸⁷barchan — gruba bawełniana tkanina. [przypis edytorski]

¹⁸⁸rankor (łac.) — silne uczucie gniewu, złości, urazy, żalu. [przypis edytorski]

¹⁸⁹świronek (reg.) — budynek służący jako składzik; spichlerz, spiżarnia a. lamus. [przypis edytorski]

¹⁹⁰dominium (łac.) — tu: wielka posiadłość ziemska albo leśna. [przypis edytorski]

— Gadasz jak w malignie! Powiedz mi po porządku wszystko. Nie kat ja ci ani wróg. Zawierz mi szczerze, wyznaj. Tociem¹⁹¹ ojciec. Sromu twego i hańby nie rozniosę, a może co wyrozumiem!

Zawahala się, milczała pasując się.

— Nie dacie mu złego słowa? — spytała nieufnie.

— Głupiaś. Kiedy on ci święty, to co mam gadać. Hipka psami szczujesz, a tego, co cię pohanił stokroć gorzej, ochraniasz! Owczu babska głowa! No, gadaj. Długoś z nim była?

— Rok. W lesie mnie znalazł konającą. Do domu swego przyniósł, śmierci odebrał z pazurów. Jegom jest, mógł czynić, co chciał! A tu tak było. We dworze rządził Bielak...

— Ile mu lat mogło być?

— Bielakowi? Ze czterdzieści.

— Żonę miał młodą, piękną?

— Młodą, przystojną.

— Bielak bogaty był?

— Co nie miał być, taki złodziej. Ludzie gadali, że z książęcego dobra sto tysięcy zebrał. Aż tu najechał Jasiński z siostrą, taki kontroler od księcia. Stało się ciasno Bielakowi. Zaczął chwycić się różnych sposobów. Jasińskiemu podstawiał różne kochanki, sam tę jego siostrę bałamucił, aż wreszcie żona go rzuciła i musiała przed Jasińskim odkryć jego gałganstwa. Tedy Bielak wciągnął mego pana do siebie i upoił, i tejsze nocy zamordowali tamże Jasińskiego. A o świcie już do naszej chaty przyjeżdża Bielak. Nie wiedziałam nic anim trwożna była, bo się często zdarzało, że pan mój i dwa dni nie wracał. Bielak do kuchni wszedł i powiada mi: „Klucze daj od kuferka, Szczepański prosił, żebym papiery jego schował, zanim sąd nie weźmie”. A ja mówię: „Jak trza schować, to i ja potrafię, a wy tu nie brat, nie druh, on ci też nic nie ukradł, żeby mu sąd rył w kuferkach”. A on po mnie pletnią — i krzyczy: „Klucze dawaj, ty taka, bo ja tu nie przyszedł z tobą targować. Szczepański Jasińskiego ubił, w katorgi pójdzie, a ty — won stąd!” Tedy m zrozumiała, że papierów dać nie można, aż z życiem. On mnie pchnął, do izby wszedł, do kuferka, trzęsie, próbuje zamka, za siekierę porwał, rąbać chciał. A ja strzelbę ze ściany, nabita była, i powiadam: „Nie rusz, bo palnę”, i poczęłam wołać: „Makar, Makar!”, choć nikogo nie było. Zbielał, zaklął, oknem wyrżał, czy coś mignęło, czy lęk go opadł, ale siekierą we mnie cisnął i wyskoczył do sieni. Siadł na koń i poleciał cwałem, a ja owe papiery wyjęłam z kuferka i szmat co lepszych trochę, bo czuję, że bieda jakaś straszna nadchodzi na niego, i precz uniosłam to w bór, w takie schowanie, że i pies nie wytropi. Ukryłam i wracam. Chciałam biec do niego, ale myślę, jużci, nie docisnę się i co rzekę; trza się zastanowić. Dusza mi też zamierała z bólu, siedzę jak martwa, sama nie wiem, ile czasu, aż tu policja, sam stanowy. „Dawaj klucze!” Daję. Przetrzęsęli i kuferek, i dom cały, a mnie już moc wróciła. Każą na wóz siadać, zawieźli do miasteczka. Myślę, powiem wszystko o Bielaku. Aż to przeze drzwi słyszę, jako on sędziemu powiada. „Zabiłem Jasińskiego, Bielak wie i widział, prawda jego”. Popatrzał na mnie, kiedy mnie wprowadzili, a jak posłyszał, że nijakich papierów nie znaleźli, to mnie po głowie pogładził i już wiedziałam, że mi milczeć każe! Więc milczałam, taka jego wola była.

— Głupiaś. I przez to go skazali. Głupiaś.

— Możem głupia, ale on mi za to hańby nie dał. Docisnęłam się do aresztu, stróżów przekupiwszy, opowiedziałam, jak było, i powiada: „Ja już człowiek zgubiony, jaka jest chudoba i statki, sprzedaj, pieniądze twoje, psa mi dopilnuj i papierów, może kiedy wrócę po nie!” Żałość mnie poderwała: „Pójdę za wami!”, zabronił; tedy mówię: „Wiem, że Bielak Jasińskiego ubił, wiem jako i wy wiecie!” A on powiada: „Jeśli wiesz i słowo piśniesz, to cię ubiję, milcz — ja tak chcę...”

— A wiesz ty, dlaczego chciał tak? Czytałaś te papiery?

Potrząsnęła głową.

— By¹⁹² o Jaśkowe życie chodziło, nie tknę tych papierów i nie spojrzę, co w nich stoi. Co bym warta była? Zawierzyl mi, a ja go nie zdradzę. Uchowałam i papiery, i psa,

Wierność, Obowiązek

Wierność, Przysięga

¹⁹¹tociem — skrócone od: toć jestem (tzn. przecież jestem). [przypis edytorski]

¹⁹²by — tu: choćby, gdyby. [przypis edytorski]

tyle mi kazał; teraz mi ino czekać, aż się po nie zgłosi. Nieprędko, jeszcze cztery lata. Na pięć go zasądzi.

Przeszła ręką po oczach i umilkła, bo ją ból za gardło dławił, a po chwili głucho dodała:

— Za te papiery Bielak mnie tropił i ścigał, i nagrodę obiecał, kto mnie znajdzie. Jako zwierz się kryłam, w łozach zimowałam. Zgrabili chudobę i sprzęty, i statki. Nic to. Przetrzymałam! Ino mi żal, że i one pieniądze pewnie przepadły, com mu posłała, i myśli on może, że je sobie użyła, jego nędzy niepomna. A teraz ino ten zwitek został, już mu i posłać co nie mam.

— Wiesz, gdzie on jest?

— Nie wiem! Bym¹⁹³ wiedziała, co poradzę? Nie pozwolił za sobą iść.

— O dziecku wie?

— Nie.

— Toś ty mu sługą była, a Bielakowa kochanką.

Krew jej trysnęła do skroni, wzdrygnęła się, milczała, zmagając się z duszą, i wreszcie rzekła:

— Ale Jasiek to ino mój. A sługam ja była, to mi nie żal. — Jak wróci, to mu papiery oddam.

— Jak wróci, to ja się z nim rozmówię! — mruknął Kałaur.

— Oj, nie ujrzą go wasze oczy. Tu on nie przyjdzie.

— No, a gdzieżby?

— Będzie mnie szukać w Oranach, kędy¹⁹⁴ mnie zostawił.

— I ty myślisz tam się wlec do niego?

— Ja ino do wiosny zakałam i wstydem wam tu będę. Toć tu zostać nie sposób!

— Co? — krzyknął groźnie. — To na tom cię przygarnął i przebaczył, żebyś znowu na poniewierkę w świat szła!

— A jakże mi tu zostać! — rzekła, podnosząc nań smutne oczy. — Insza duma moja i inna ścieżka. Gościńcem ludziom chodzić, a mnie łozami.

— Ot, gadanie! — burknął. — Nie ty pierwsza, nie ty ostatnia. Przegadają ludzie i zapomną. Zawsze ty dziedziczka moja, ścichną, nie bój się.

Kobiecie łzy się rzuciły do oczu, pochyliła się do kolan ojcowskich, objęła je ramionami.

— Radam wam, tatusiu, życie dać, żeście mi darowali wstyd i hańbę, com naniósł nigdyś, gdy za tym drabem rozum utraciła. Niewartam waszego zmiłowania. Radam wam służyć i pracować, nie dla dziedzictwa, ale z duszy ochotnej. Bym jedna była, tyle by mi było z ludzkiego szczekania jako z wiatru, co szumi. Ale Jasiek ino mnie ma!

— Toć go nie krzywdzę ani ci go wypominam. Żle ci? Niech się zdrowo chowa i rośnie.

Potrząsnęła głową.

— Nie między ludźmi mu się chować i rosnać.

— Tyś niespełna rozumu. Gdzież go ukryjesz? I po co?

— Nie gniewajcie się, tatusiu. I mnie, i jemu trza stąd iść. Znam ci miejsce, gdzie ino ptaki i zwierz się gnieździ, tam dla nas życie i dola. Posłużę wam, póki on malutki i bez rozumu, a potem precz pójde — muszę. Nie rzeknie mu tam nikt na matkę, że łajdaczka, nie nazwie go nikt bękartem, nie nauczą go przekleństwa i kłamstwa, i bezeczeństw wszelkich, jako tutejsze dzieci umieją. Żeby Hipkowy syn był, niechby na draba rósł, ale jego ojciec nie drab był i jemu nie drabem zostać. A jakże go wśród ludzi od nieszczęścia upilnuję, jaż¹⁹⁵ jemu za ojca i matkę — sama.

Tak, klęcząc u ojcowskich kolan, mówiła mu wszystko, co przedumała w samotności, a Kałaur, zrazu zagniewany, słuchał i rozważał.

Głupia, szalona Magda, skąd jej taki rozum przyszedł? Będzie tak i musi być, nie ma rady. Ale też i nie można puścić ją w świat, na zmarnowanie. Szalona jest i głupia — nie można zginąć dać.

Nawet sobie nie zdawał sprawy stary, jak mu pomimo wszystko w sercu była, jak ją

Pozycja społeczna,
Samotnik

Córka, Ojciec

Matka, Dziecko, Kondycja
ludzka

Miłość, Córka

¹⁹³bym — tu: choćbym, gdybym. [przypis edytorski]

¹⁹⁴kędy — gdzie. [przypis edytorski]

¹⁹⁵jaż — ja przecież. [przypis edytorski]

miłował.

Twardą dłoń na głowie jej położył.

— Biednaś ty — zamruczał. — Masz, zabierz te papiery. Nie rzeknę ci już nic na owego człowieka. A owe gadanie twoje rozważę, nie lękaj się mnie, już ci krew moja jesteś, ochronię cię.

Sumował stary i sumował, a w parę tygodni potem począł się do drogi zbierać. Dokąd? Nikomu nie powiadał, tylko na wyjeźdnym Magdzie roboty gospodarskie zadysponował, na wózek siadł i kazał parobkowi jechać do miasteczka, stamtąd konie odesłał — i nie było go dni dziesięć. Zachodzili w głowę wszyscy, gawęd i przypuszczeń było bez liku; gdy wrócił pewnego wieczora żydowską furą z miasteczka, kumoszki opadły pannę Teofilę.

Ale stara była obrażona i zła.

— Co się mnie pytacie? Przede mną sekreta i potajności się tu knują. Magda może i wie, ale nie raczy słowa rzec. Jej pytajcie.

Ale i Magda nic nie wiedziała. Zawołał ją Kałaur, gdy przyjechał, ale tylko o gospodarstwo i bydlę się spytał, potem o dziecko, wreszcie jeść zażądał i zdrożony, spać legł.

Po kilku dniach dopiero, gdy sam był z córką, znieścacka rzekł:

— Żyje Szczepański.

Zachwiała się, jakby ją piorun ogłuszył, i patrzyła nań, tchu pozbawiona.

— Byliście w Oranach! — wyjąkała wreszcie.

— Po com tam miał jeździć? W powiecie się dowiedziałem, gdzie on siedzi.

— I widzieliście go? O Jezu!

Nie śmiała pytać, tylko wpatrywała się w niego.

— Widziałem. Żyje, jako tam żyć można.

— Powiedzieliście o Jaśku?

— Nie. Po co? Napraszać mu się czy wymawiać! Powiedziałem ino: „Magda, co u was służyła, przysłała wam sto rubli za ową chudobę waszą i kazała wam powiedzieć, byście o papiery byli spokojni, przechowała je wam i trzyma u siebie, aż się po nie zgłosicie”.

Słuchał mnie, jakby nie rozumiał, a potem rzecze: „Dziw, że ludzka dusza może być mnie jeszcze pamiętna, oddajcie jej pieniądze, nieboga, została bez opieki. Nie zmarniała, to dobrze. Ma ona służbę, a może za męża poszła?” „Do ojców wróciła — powiadam. — Już ci, opiekę ma. Jak uwolnią, po papiery przyjdźcie, prosiła”.

„Jak żyw zostanę, przyjdę! — rzekł, a potem pyta: — Wy z tej okolicy? Swojak?” „Znajomy — powiadam — za interesem tu jechałem, to prosiła o was się dowiedzieć”. Podumał i mówi: „Nie pomyśleli o mnie nawet ci, dla których ja straszny będę, gdy żyw ostanę, ona jedna pamięta, podziękujcie jej! Jeszcze mi cztery lata pokuty”. Powiedziałem mu, gdzie ciebie znajdzie. „Zapiszcie” — mówię. „Po co? — odpowiada — nie zapomnę do śmierci! Jakbym zmarł, dadzą jej znać, przekażę, wtedy niech papiery spali”.

Magda słuchała bez słowa, drżąc cała, wreszcie zdobyła się na pytanie:

— Bardzo marny on?

— Jak upiór, ino oczy się palą. Mówił mi dozorca, że miesiącami zębów nie *rozszczepi*, żeby słowo rzec. Żał patrzeć, jak go coś żre we wnętrzu. Nie przetrzyma tych czterech lat.

Magda zakryła twarz dłońmi i płakała.

Kałaur podumał trochę i rzekł:

— Nie płacz, co to pomoże. Już ci ja go nie porzucę! Nieszczęsny jest, nie łajdak. Chciałem się przekonać, teraz wiem! Ty nikomu nic nie gadaj, gdzieś był i po co.

Przestroga była zbyt uczciwa. Magda tylko Łysce powiedziała: „Żyje nasz pan”; do ludzi nie miała zaufania, schodziła im z drogi, kryła przed nimi dziecko i swoje myśli.

Tylko im bliżej wiosny, tym ją dręczyła coraz srożej tęsknota za pustką Wieszańca. Kusił ją wiatr bujny, lecący z dalekich przestrzeni, i ptasze sznury — hejnały powrotne, i dręczyło ją zajęcie monotonne w błocie podwórka, i plotki kumoszek, i spory o drób i prosięta, i zaczepki mężczyzn spotykanych na drodze, i gderliwe namowy ciotki.

Ta ją gwałtem pchała między ludzi, rezonując¹⁹⁶ z bezmyślnym okrucieństwem:

¹⁹⁶ *rezonować* (daw.) — dowodzić czegoś z dużą pewnością siebie. [przypis edytorski]

— Co ci się zdaje! Skromności nie udawaj! Śmiech ludzki tylko. Sroma się¹⁹⁷ jakby panienka. Do karczmy boi się wstąpić, oczy spuszcza! Tfu, jest komu świat gubić. Kogo ty myślisz oszukać? Palcami cię każdy wytyka i drwi! Myślałby kto, królewna, na królewicza czeka. Kazika byś w rękę pocałowała i poszła za niego, kiedy raczy brać. Obrazy boskiej i wstydu byłby raz koniec.

Magda słuchała zwykle w milczeniu, aż kiedyś, rozjątrzona, wybuchnęła:

— Jaż tu nie wieczna! Pójdę ludziom z oczu i ciotce zawadzać nie będę. Nie tyle mi świata, co tutaj, ani wytrzymam długo.

Zastanowiło to pannę Teofilę, wnet powtórzyła to Kałaurowi:

— Magda znowu uciekać zamyśla.

Spodziewała się oburzenia, ale stary odparł:

— Wiem o tym. Z wiosną jej tu nie będzie.

I więcej się nie tłumacząc, poszedł do roboty.

A wiosna się zbliżała, śniegi zlażyły, drogi były błotniste, pola pleśnią pokryte, lasy czarne.

Pewnej niedzieli wysłała panna Teofila Magdę po olej i śledzie. Ku wieczorowi było, do karczmy dobre pół wiorsty, kobieta ruszyła niechętnie, otuliwszy się chustą, zostawiwszy dziecko pod opieką Łyski.

Gdy weszła do szynkowej izby, chciała się cofnąć, ale się przemogła, tylko chustę nasunęła głębiej na oczy. W karczmie było pełno mężczyzn i Hipek wśród nich, i wszyscy byli podchmieleni. Spojrzeli na nią, poczęli szeptać i śmiać się, i Hipek krzyknął:

— Uha, Pokotyńka do nas przyszła! Dobrześ trafiła, dostaniesz od każdego po zło-tówce i wódki, ile strzymasz! Icek, alkierz nam opróżnić. Ilu nas? Dziesięciu! W sam raz dla Pokotyńki, już ja ją znam.

Reszta wybuchnęła śmiechem pijackim i któryś poskoczył do kobiety, i wpół ją po-rwał.

Odepchnęła go, ale w tej chwili wszyscy się na nią rzucili, gwizdząc, krzycząc, szarpiąc, wśród gradu ohydnych żartów i propozycji.

Uczynił się w izbie kłęb rozognionych twarzy, śmiejących się ust, dławiących ramion, pisku, gwizdu, ryhotu rozbawionego tłumu, wśród którego walczyła wściekle jedna kobieta.

Żydzi sprzątnęli butelki i zaparli się w alkierzu, młodzież bawiła się bezkarnie.

Magda, duszona, szarpana, popychana, czuła, że lada chwila straci moc i przytom-ność, już krwią jej zachodziły oczy, już mdlały ramiona, już gryźć nawet nie mogła, głosu wydobyć z gardła, upadła, ktoś ją zdławił uściskiem.

„Jasiek!” — mignęło jej w mózgu i z jakąś nieludzką mocą zdławiła napastnika za gardło, gryzła go jak zwierzę.

Ten zachrapał, puścił ją, chwycił jej ręce, bronić się począł, inni rzucili się mu z po-mocą. Kobieta krzyczała teraz przeraźliwie ratunku.

Drzwi od sieni szarpnięto gwałtownie, ukazał się policjant. Przejeżdżał wypadkiem drogą, posłyszał krzyk.

— Co to za szum? Panowie! — zawołał gromko. — Gdzie gospodarz? Protokół na-piszę!

Oprzytomnieli, rozstąpili się, zerwała się też Magda i oparłszy się o ścianę dyszała ciężko.

A Hipek zuchwale rzekł, śmiejąc się.

— Ot! Z dziewczką swawolim, co do nas przyszła.

— Nu, nie trzeba krzyku robić. Co za dziewczka, tutejsza? Może jakaś włóczęga?

Zajrzał w twarz kobiety i roześmiał się.

— Aha, wasza dziewczka. Krasawica. Czegóż się drzesz, że aż na gościńcu slychać? Już ci te chłopcy wianka nie ukradną. Chcą pohulać, to mają prawo. Nu, dajcie i mnie czar-kę na kawalerskim weselu!

Magda rzuciła się do drzwi, pchnęła je, wyskoczyła w sień.

— Łapaj, trzymaj! — wrzasnął Hipek.

Bijatyka, Gwałt

Kobieta, Mężczyzna

¹⁹⁷sromać się (daw.) — zawstydząć się. [przypis edytorski]

Rzuciło się za nią kilku, gonili, nawołując jak na obławie, ale im gdzieś w ciemności przepadła, tylko zaalarmowali zaścianki, opowiadając, że z Magdą hulali, aż ich policjant rozpuścił.

Magda na przelaj, łąkami, rowami, po błocie, dotarła bez tchu do domu. Nie było nikogo w kuchni, upadła na ławkę, odetchnęła, a potem siedziała zgarbiona, z głową w dłoniach, rozmyślając ponuro.

Słychać było w domu stuk siekiery Kałaura, panna Teofila uwolniła się na całą noc do sąsiadki położnicy.

O ósmej, jak zwykle, Magda podała ojcu wieczerzę, sama nic nie jadła i pocałowała rękę, odeszła. Nie zastanowiło to Kałaura, że wzięła klucz od świronka, bo często tam chodziła po słoninę, odniosła go też po chwili, jeszcze raz ucałowała jego ręce, usłała mu posłanie i wróciła do kuchni.

Tam zdjęła codzienną odzież, włożyła na się łachmany, w których przyszła, w płachtę upakowała parę koszul, kawał chleba, papiery Szczepańskiego, stary modlitewnik domowy, w którym chowała metrykę Jaśka, w zanadrze schowała pięć złotych, które jej był dał ojciec, ozuła postoły na nogi, zarzuciła płachtę na plecy, na ręce wzięła dziecko śpiące, otuliła je chustą.

Łyska wodził za nią oczami, obwąchał odzież, strzepnął się, przeciągnął i usiadł u drzwi sieni, czekając, gotów do drogi. Potem, jakby sobie coś przypomniał, dojadł swą strawę w misie i zapiszczał radośnie.

Kobieta obejrzała się raz jeszcze wokoło, przeżegnała się, wyszli w sień, na podwórze, na drogę. Objął ich bujny wiatr, ciemność — przepadli. Kobieta nie wybierała kierunku, nie miała obmyślanego celu, chciała zginąć w oddali, chciała się ukryć w pustce.

Szła za psem — bardzo prędko, by skorzystać z nocy, jak największą przestrzeń rzucić między siebie a prawdopodobnym pościgiem ojca.

Pies ją prowadził, a że nie lubił szerokich dróg, gdzie go prześladowali przejeżdżający, skręcił wnet drożyną w las i tam wpadłszy, węszył i szedł, jak go uczył instynkt łowiecki i wprawa włóczęgi.

Tak szli niefrasobliwie do rana. O świcie byli w borze gęstym, bez drogi; usiadła Magda pod zwalem świerkowym, nakarmiła dziecko i ułożyła je na mchu suchym; zdjęła z pleców płachtę, dała psu chleba i sama zjadła, a potem zasnęli wszyscy troje przytuleni do siebie, osłonięci potężnym pnem jak namiotem. Łachmanami okryci, nieruchomi, nie różnili się od spleśniałej ziemi borowej i nikt by ich o parę kroków nie odkrył. Pod wieczór ocknęli się, zjedli znowu po skibce chleba, popili wodą z kałuży, Jasiek się bawił szyszkami, Łyska węszył pod krzakami, Magda przezuwała naddeptane postoły i skoro zmierzchno, ruszyli dalej, radzi, że deszcz nie pada, wicher nie gnębi w gęstwinie, ludzie ich nie napastują.

Tej drugiej nocy napotkali jakąś wieś i minęli poza gumnami, bór się też skończył i o świcie, rozejrzawszy się, gdzie by się skryć, skręcili na grzaskie łąki, gdzie wody było Magdzie wyżej kolan, i zaszyli się w stóg. Kobieta wygrzebała w sianie pieczarę, gdzie się we troje wsunęli i odpoczęli, radzi, że ciepło i sucho. Chleba mieli jeszcze na dzień jeden, ale Jasiek był głodny i popłakiwał u matczynej piersi niesyty. Dała mu tedy skibkę czarnego razowca i jadło maleństwo.

Rano deszcz zaczął padać, zimny, zmieszany z lodowymi igłami, przechodził w marcową szarugę, ale w stogu było zacisznie, o więcej się nie troskali. Wieczorem wyiskrzyło się niebo, mróz ściał zalane łąki, przebrnęli mozolnie do drogi i ruszyli dalej.

Magda słuchała zgrzytu żurawi i gęsi ciągnących i myślała, że dobrze idzie, bo i ptactwo dążyło w jedną z nią stronę, a wiedziało, kędy są pustki i obszary odludne. Może do Wieszanica za nimi trafi albo do podobnych cichych wyrajów. Daleko już była od zaścianka, kraj był niski, pełen olszyny, strug czarnych, wyboistych grobelek. Postoły jej się zdarły, szła boso, czuła, że dużo mil przebyła.

Wśród nocy napotkała przydrożną karczemkę. Świeciło się w niej jeszcze, podeszła do okienka. Kopcząca lampka stała na okapie komina, dwóch Żydów gadało u stołu, kredą cyfry kreśląc i ścierając, pod piecem drzemała baba. Nabrała odwagi Magda i weszła.

Na skrzyp drzwi z alkierza wyjrzała Żydówka zaspana i baba ocknęła się, i spojrzała na wchodzącą; Żydzi ani obejrzel się.

Podróż, Ucieczka

— Nu, czego ty? — zagadnęła mrukliwie Żydówka.
— Po drodze wstąpiłam. Dajcie co zjeść!
— A pieniądze masz?
— Jałmużny nie proszę. Dajcie bułkę, mleka, śledzia i wódki kieliszek i weźcie pieniądze.

Usiadła na ławce przy babie, dobytej szmatkę z miedziakami.

Tedy stara przemówiła:

— Daj, potrzymam ci dziecko. Z daleka idziesz?

— Z daleka. Trochę zbłądziłam i zapóźniłam się.

— A dokądże idziesz?

— Za służbą. Z dzieckiem przyjąć nie chcę.

— A mąż gdzie?

— Do wojska wzięli. My batraki¹⁹⁸. Ziemi ani chaty nie ma — służyli.

Baba wzięła dziecko na ręce, wpatrzyła się weń i poczęły jej z oczu padać łzy. Stara była, obdarta, chuda, sakwami obwieszona, snadź żebraczka.

Jasiek się rozbudził, rozglądał się, rad z ciepła, wydobył się ze szmat, coś bełkotał i uśmiechał się.

Stara huśtała go, dobytej z sakwy kawałek cukru, dała w rączkę, po twarzy latami i troską zoranej bieglej łzy rozczulenia.

Magda grzała mleko na piecu i sama jadła.

Kieliszek wódki rozgrzał ją i dodał mocy, z wilczym apetytem gryzła śledzia i chleb, dzieląc się każdą skibką z psem.

Potem nakarmiła dziecko i zajęła się swym obuwem. Chciała je jako tako powiązać, ale przekonała się, że były zdarte zupełnie.

— Nie masz zapasnych¹⁹⁹? — spytała baba.

Potrząsnęła głową.

— Pójdę boso! Podeszwy się nie zedrą! — odparła.

— Jużci, że nie, ale się pokrwawią na grudzie. Mam trzy pary — dam ci jedną. Mnie już niedaleka droga.

— Ty tutejsza?

— Byłam tutejsza. Teraz cały świat mój. Zimą *starcuję*²⁰⁰. Latem w swoje strony wracam. Z Kijowa idę. Na wieczór będę już w swej budzie. Chcesz? Pójdziemy razem.

— Sama mieszkasz?

— Sama w dworskiej budzie po smolarni. Pan mi pozwolił tam wieku dożyć i zimować wolno, ale nie mam mocy dREW się postarać, więc ino tam latuję i pni pszczelich doglądam, pańskich. Jesienią miód i воск odniosę i na żebry idę. Już tak dziesięć lat, jak mnie mężowscy bracia z chaty i gospodarstwa wygnali. Wiek zżyłam na swoim, ano, dziad pomarł, a dzieci Bóg nie dał, trza było ustąpić! Oj, dolo, dolo!

Pokiwała głową, stęknęła i zapadła w rozmyślanie, w rękach kołysząc usypiające dziecko.

Potem nagle głowę podniosła i szepnęła prosząco:

— Chodź ze mną! Boją się mnie ludzie, ale nie będzie ci krzywda.

— Pójdę! — odparła Magda.

— To i chodźmy. We dwoje bezpiecznie, a prędko świt wstanie. Ozujsię²⁰¹, taj ruszamy.

Lękała się, by kobiecie rozmyśl nie przyszedł, by kto nie wszedł rano i rzekł słowo. Naganiała do drogi i po chwili wyszły. Stara nie oddała dziecka, a Magda, zmęczona, nie bardzo nalegała, widząc, z jaką starannością je piastuje.

Szły do rana, spoczęły trochę przy drodze i szły do południa. Wsie i domostwa wymijała widocznie stara, szły ścieżkami, miedzami, łąkami, czasem zupełnie bez drogi, aż dotarły do lasów grząskich, przeciętych wielką ilością błót, strumieni, wśród których na pamięć orientowała się baba, wynajdując to kładkę, to zwalony pień, to przesmyk prawie

Kobieta, Starość, Żebrak,
Wygnanie

Podróż, Natura, Las

¹⁹⁸ *batrak* (ros. батрак) — robotnik rolny. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *zapasny* (daw.) — zapasowy. [przypis edytorski]

²⁰⁰ *starcować* — tu: żebrac. [przypis edytorski]

²⁰¹ *ozuwać się* (daw.) — wkładać buty. [przypis edytorski]

suchy. Lasy brzmiały od toków cietrzewi i szumu różnego ptactwa, potem grunt się podniósł, stary bór się skończył, rozesłał się zagajnik bardzo gęsty, podszyty wrzosowiskiem rudym, i oto nagle w tej gęstwinie ukazała się czarna, niska buda, parę starych sosen, doły czarne, szkielet rozwalonej smolarni i rozrzucone wokoło tej polany kilkanaście szarych pni z pszczołami, pokrytych szmatami brzozonej kory.

— Sława Bogu! Doszli! — rzekła baba.

Rozejrzała się bacznie wokoło i dodała:

— Nikt nie był, niczego nie czepił.

Poszła do budy. Drzwi były bez kłódki, tylko skobel okręcony jakąś ciemną nicią i zatknięty kością — podobnie obmotane były dwa malutkie okienka o jednej szybcie.

Baba zerwała nitkę i weszły do środka.

Jedna izba była — z wielkim piecem pośrodku, z ławami wokoło ścian. Chłód i wilgoć objęła dreszczem, pleśń i stęchlizna dławiała.

Baba przede wszystkim zdjęła z żerdzi dwie owcze skórki, otuliła w nie dziecko i ułożyła na ławie, Magda bez rozkazu poczęła napychać w piec gałęzi i spytała baby o zapalki.

— Zaraz wszystko będzie! — odparła stara, zdejmując sakwy, torby, płachty, którymi objuczona była.

Potem zza pieca wyjęła kilka cegieł, odkryła spore schowanko i poczęła zeń wydobywać tysiąc rzeczy: hubkę, krzesiwo, garnek, siekierę, szpadel, miskę, łyżkę, nóż, całe swe gospodarstwo. Po chwili ogień buchnął, kipiała woda w garnku, w sakwach była sól, słonina, krupy, chleb — nawet tytoń i wódka.

Gdy się posilili i izba się ogrzała, baba zapaliła fajkę, wygramoliła się z dzieckiem na ciepły piec, dobyła Jaśka z powijaków i szmat i poczęła gderać na Magdę:

— Matka ty, matka, a dziecko może już tydzień niekapanie, nieprzemieniane. Wam młodym jeszcze ino mąż w głowie. Nastaw no wody na kąpiel, nieculki²⁰² znajdziesz na strychu, ot, drabina w kącie. Serdeńkoż ty mileńkie, złoto ty malusieńkie. Toć to takie niebożątka zbiedzone i nie płacze. Będziesz ty u baby królować, będę ja ciebie hodować, taj szkodować!

Nie dała Magdzie niczym się przy dziecku zająć, wykapała go, w czyste, cienkie szmaty otuliła, ukołysała do snu na rękach.

Od lat już nie zasnęła Magda tak spokojnie i bezpiecznie, jak tej nocy na posłaniu z suchego wrzosu, i do nikogo nie uczuła tyle serca, jak do tej żebraczki, nieznanej wczoraj.

Przez kilka dni następnych zajęcia było wiele około uporządkowania budy i izby, bo dach przeciekał i piec potrzebował naprawy.

Na strzechę trzeba było ścinać szuwary i przynosić je z daleka, po glinę do pieca trzeba było chodzić o parę wiorst i nosić ją na plecach w płachcie, przy tym przyszły parodniowe szarugi i sloty.

Ale po tygodniu błysnęło słońce i wiatr powiał południowy, i zapachniały nabrzękle brzozone pęki, i zabielały zarośla od pierwszego kwiecia, i z szarych pni wyległy raz pierwszy szare śmy pszczoł na oblot.

Baba, uzbrojona w próchno tłące, obejrzała wszystkie ule, Magda rąbała dzień cały drwa i układała z nich porządkny stos.

— Po co tyle? — jęła ją stara gderać.

— Zapas nie szkodzi. Przyjdzie inna robota, nie będzie czasu o opale myśleć.

— Robota! Po co robić! — ruszyła ramionami baba.

— Jakże żyć bez roboty. Toć jeść trzeba!

— Uzbierałam sporo na zimę. Jak sakwy się wypróżnią, przyniosę, co trzeba, albo i ludzie sami do mnie przyniosą. Oj, nie głupia ja już harować, ludzie nauczyli inaczej żyć.

Zaśmiała się dziwnie i Magda raz pierwszy zauważyła, jakie miała zacięte, złe usta, jakie kołące, zimne spojrzenie, i jakiś niewytłumaczony lęk ją ogarnął.

Nieśmiało zauważyła:

— Nie godzi mi się, młodej, wam ciężarem być. Jeśli zostanie, to choć kęs tej dobrej ziemi za smolarnią skopię, posadzę trochę kartofli, zasieję nieco lnu. Próznować nie potrafę, raczej do ludzi na służbę pójde — za chleb tylko.

Bezpieczeństwo, Szczęście

²⁰²nieculka — podłużne naczynie półkolisto wydrążone w jednym kawałku drewna. [przypis edytorski]

— Już ci nie bronię robić ani sadzić. Kartofli i lnu przyniosę! Wiadomo, troje nas teraz. Ja też myślę, że dla dziecka mleko będzie potrzebne, o krowę trzeba się będzie postarać.

— Co wam się roi? Takie zbytki! — zaśmiała się Magda.

— Nie twój kłopot — mruknęła stara.

Magda skopała kawał ziemi i zasadziła kartofle. Baba je w worku przyniosła, potem i lnu woreczek. W ogóle wałęsała się gdzieś po całych dniach — przychodziła obciążona i resztę czasu bawiła się z dzieckiem. — Czuć było, że je kocha, że przepada za nim — o Magdę wcale nie dbała. Pewnego dnia, gdy baby nie było jak zwykle, przyszła do budy kobieta wiejska i na widok Magdy przeraziła się, zdumiała, ledwie po chwili odzyskała swobodę.

— Co wy tu robicie? — spytała.

— Z babą żyję!

— I dziecko macie! — kobieta pokręciła głową. — To wy z daleka! Jakże wy do Żydni przystali?

— Do jakiej Żydni?

— Ano, do tej więdzmy. Toć jej zły służy jak pies. Jak na dziecko spojrzysz, to już mu niedługo żyć. Co ona narodu już wygubiła, to nie zliczyć.

— A za czymże wy do niej przyszli?

— Z biedy. Onegdaj szła ulicą, chłopak mój maleńki się bawił, zaczepiła go, pogłaskała i poszła. A dziecko już o swoich siłach nie wróciło do chaty, przynieśli ludzie i ot, dochodzi. Przyszłam, może wykupię. Jedno mam! Było wam lepiej u Cygana służyć jak u takiej. Zobaczycie!

I rozgadawszy się, kobieta prawiała straszne rzeczy — szeptem, oglądając się trwożnie, zaklinając, by nie zdradziła jej przed więdzmą.

Żydni ojciec wielkim znachorem był, ale ona taila długi czas, że praktyk swych ją nauczył. Dopóki we wsi z mężem żyła, nic słyhać nie było, dopiero jak stary umarł, a bracia ją odsadzili od pola, pokazała, co umie. Ci bracia już by radzi teraz do niej z pokłonem iść. Zgubiła ich do cna.

Pokaleczeli wszyscy, pokręciło im ręce i nogi, dzieci wszystkie padaczkę cierpią, bydło zdycha, zboże nie rodzi, robactwa i myszy nasiane po budynkach. Dnia i nocy nie mają spokojnej.

Przychodzili prosić, oddawali połowę pola, nie zechciała ich słuchać. „Po sto lat żyć będziecie — zapowiedziała — sto lat przepadać”. Albo to oni jedni! Kto złe słowo jej rzekł — przepada. Aż taki lęk po okolicy poszedł, że teraz każdy przed nią drży. Sam pan jej tę smolarnię dał, kiedy ino poprosiła, same naczelniki ją obchodzą. Tyle spokoju co zimą, jak w świat idzie. A nie w świat, ale pod ziemię wtedy idzie, do złego w gościnę. Powiadają, że nie umrze, aż za sto lat! Ot, komu służycie!

Magda słuchała w milczeniu, szmaty piorąc u studni. Strach ją ogarniał, a zarazem poczucie, że tutaj od ludzi najbezpieczniejsza. A zresztą, Jasiek chrzczony był i medalik częstochowski miał na sobie, baba mu go nie zdjęła, sama wieczorem pacierze odmawiała. Bajki o czorcie! Kobieta przesiedziała parę godzin, dziwy prawiąc, wreszcie widząc, że się więdzmy nie doczeka, lamentując odeszła, a Magda poczęła wieczerek warzyć i tak ją baba zastała o zmroku.

— Był tu ktoś! — rzekła zaraz w progu.

— Była kobieta, czekała na was, o leki dla dziecka.

— Taka niewielka, okrągłej twarzy, z rozciętą wargą?

— Taka.

— To i dobrze! — zaśmiała się dziwnie baba, poszła do Jaśka za piec i poczęła go pieścić.

Aż nagle spytała:

— Nagadała ci na mnie? Co?

— Nagadała! — odparła lakonicznie Magda.

— No i cóż ty? Złękłaś się? Uciekniesz?

— Nie. Znałam ja takich, co ludzie zbójcami osądzili, a czyści byli, i w chwalbie ludzkiej będących, a czartu zaprzędanych. Jeśliście źli, gorze wam, nie mnie. Jaśka mego miłujecie, matką was zwać będę, nie Żydnią.

Czarownica, Zło

Czary, Przekleństwo

Matka

Stara wyszła ku niej, patrzyła jej bystro w oczy.

— Rzeknij mi: matko! — ozwała się głucho.

Magda postawiła na ławie miskę krupniku, położyła obok łyżkę.

— Powieczerzajcie, matko! — rzekła.

Stara się trzęsła, drgała jej cała twarz.

— Co wam takiego?

— Nic! — wyjąkała. — Nie słyszała ja tego słowa jak żywot długi. Lubo mi stało!

Usiadła na ławie.

— Mówili mi: doniu i gołąbko, mówili: młodyco — i żono, a potem: babo, a wreszcie: wiedzmo; Hanka ja była, krasawica, i Symonicha bohaterka, i Złydnia straszna. Ot, doczekała się, że mi: matko, rzekli. Oj, długo czekała! Skąd tobie to słowo przyszło?

— Za moje dziecko, coście jak rodzone przygarnęli!

— Nu, ja tobie za to oddam. Ja pamiętna! Gadała ci pewnie ta drzewerycha, co tu była, że ja mór na ludzi nasylam i czartu służę. Mór oni sami sobie czynią, bo durne są, a czarta nie ma na świecie, co by tu robił, kiedy ludzie od niego gorsi. Nie u niego, a u nich ja w nauce byłam, dlatego Złydnia. Deptali mnie, póki się nie lękali. Kąsali, jakem dobra była, niechże teraz skomlą!

Zakończyła niewyraźnym mruczeniem i siedziała długo, ponura, zacięta, przetrawiając jakieś ciężkie pamiątki, aż Magda rzekła:

— Zostawcie dumki gorzkie, a jeśli umiecie, poratujcie dziecko onej kobiecie. Matka ona!

— Niech poskomli! — zamruczała baba mściwie. — Chciałam u niej dla Jaśka mleka kupić. Nie dała, żelgała, że nie ma. Ja pamiętna!

Nazajutrz o świcie poszła. Nie było jej trzy dni, wróciła z krową. Bydlę było zdrożone, chude i małe, ale uradowała się okrutnie Magda. Jasiek miał mleko, ona zajęcie. W ruinie smolarni urządziła obórkę, a bojąc się, żeby krowa nie zginęła w borze, karmiła ją z rąk, daleko chodząc po trawie i chwasty.

W wyprawach tych nikogo nie spotykała, bo dworskie grunta szeroko sięgały i moczarami wielkimi były od sioł²⁰³ odcięte. Zakątek to był wymarzony dla jej życia i doli. Bytowała w nim jak w Wieszańcu, silniejsza jeszcze baby opieką, spokojniejsza o los swój, patrząca w przyszłość niefrasobliwie.

Latem gniazdo to ludzkie utaiło się całe w gąszczu młodych zagajów, wokoło budy zioła leśne porosły pod strzechą, brzozy warkoczami okryły ule, z wrzosów dywany się słały, ledwie śladem ścieżyny przecięte, które baba chadzała po żer, Magda po trawę, Łyska na łowy. Gdy kto obcy przyszedł, można się było skryć przed nim o kilka kroków za budą. Czyniła to zawsze Magda, nierada spotkania z ludźmi, od mówienia i słuchania spraw gromadzkich odwykła. Wtedy to przybysz zastawał zwykle przed budą na piasku dzieciaka z psem. Pies warczał złowrogo, dzieciak czarnowłosa, śniady, zdrów, rumiany, w śnieżnej koszulinie, uczył się pętać, a na widok obcego podnosił oczy czarne jak tarki²⁰⁴, bez strachu i zbytniego zaciekawienia przypatrywał się człowiekowi. Pszczoły mruczały, ptactwo szczebiotało w gąszczach, woniały brzozy i macierzanki. Przybysz wołał baby, czasami wychodziła od ulów, zwykle jednak odchodził z niczym — i choć buda stała otworem, nikt nie śmiał wejść do środka, tak się bano czarów Złydni, nawet gajowy, gdy niekiedy w te strony zabłądził z daleka, trwożnie z babą rozmawiał. Raz się ośmielił spytać o dziecko, i aż się zatrząsł, gdy odparła:

— Moje jest, co tobie do niego? Ja twoich nie rachowałam jeszcze. Chcesz, policzę! Ciekawy ty mojego, no, to ja o twoje się dowiem.

Od tej pory więcej się nie pokazał.

Ku jesieni, w połowie sierpnia, pewnego południa Łyska wściekle ujadać począł. Z gęstwiny wybiegł łaciasty wyżeł, za nim myśliwy z pękiem młodych cietrzewi u torby. Baba na jego widok odłożyła fajkę i wstała z przyzby, na której drzemała po obiedzie.

— Jak się macie, Symonicho! — rzekł przybysz wesoło. — Zapędziłem się za cietrzewiami, głodnym, pić chcę, wstąpiłem do was w gościnę. Cóż, zdrowicie i zawsze straszni?

Imię, Przemiana

Kondycja ludzka, Diabeł,
Zemsta

Samotnik, Natura

²⁰³sioło — wieś. [przypis edytorski]

²⁰⁴tarka — tu: owoc tarniny. [przypis edytorski]

— I wam daj Boże, panie, strasznym być do śmierci, was ludzie nie zagryzą — odparła spokojnie baba. — Żyję zdrowo i siedzę spokojnie, z waszej łaski!

— Nie z łaski, babo! Nie zapomnę ja wam, jakeście mi żonę i dzieci moich matkę uratowali. Może wam budę poprawić, może co więcej trzeba?

Usiadł na przyzbie i rozejrzał się.

— Psa macie! Co? A tam co to we wrzosa? Dalibóg, dziecko! A toście skąd dostali?

— Ot, na stare lata przywiozłam sobie z Kijowa rekrutkę z dzieckiem. Już nas tu cała *siemia*²⁰⁵ w pańskiej budzie. Ja zemrę, a las podskoczy, trzeba będzie panu leśnika. Teraz mnie się boją, to tu nie grasują, a potem *człowiek* mojej młodyczy z wojska wróci, to się panu zda. Takem wydumała. Ale ja tu baję, a o gościnie ani myślę. Doniu, ho, doniu!

Magda oderwała się od zagonów i ukazała się wnet, niosąc kosz kartofli.

— Pokłoń się panu! Jego my sługi. I wynieś tu ławkę przed budę i chłodnego mleka, i chleba, i miodu, daj żywo!

— Oho, wybraliście sobie, babo, młodycę jak łanię — uśmiechnął się pan. — A cóż zimą będzie? Poprowadzisz swą *siemię* na wędrownkę?

— Nie, już się zagospodarować trzeba tutaj.

— To już i krowę macie, i len, i kartofle.

— Ale, dostatki i dzieci jak kamienie u szyi. Trzymają człowieka na miejscu. Krowę na zimę sprzedam, bo nie mam czym żywić, ale od lnu żadna baba nie odejdzie, to wiadomo!

Magda wyniosła mleko i chleb, stawiając na ławce, czystym płótnem zasłanej. Pan pił wprost z dzbanka, rozpytywał babę o pszczoły i rad uśmiechem podziękował, gdy Magda przyniosła dla zmęczonego wyżła misę mleka z chlebem.

— Tu blisko cietrzewi nie spotykacie? — spytał.

— W łogu²⁰⁶, het, co dzień żerują trzy stada w jagodnikach! — odparła Magda. — Jest sztuk trzydzieści.

— Doprawdy, a ja ledwie od rana jedno stado spotkałem. Dawnoście te widzieli?

— Dziś rano i co dzień.

— Hm, to może ja tu u was zanocuję, a jutro po rosie tamtędy pójde. Zaprowadzicie mnie, młodyco.

— To może pan i kozy chce zobaczyć. Jest pięć sztuk w gromadce. Dwie stare, kozioł i małych troje.

— Oho, to wy lepiej od gajowego zwierzynę znacie. I kozy obiecujecie pokazać? Cóż one, na sznurku?

Zaśmiała się Magda.

— Na sól przyhołubiłam.

— Skądże to umiecie robić?

Kobieta poczerwieniała.

— *Mój* leśniczym był i zwierza miłował! — odparła. — W borze żyłim, borowe ludzie!

— Kiedyż on wróci? Wy nietutejsi?

— Z daleka.

— Chłopi? Z gospodarstwa?

— Szlachta. Bez roli.

— Jak wróci, niech się do mnie zgłosi. Dla kóz lizawki²⁰⁷ robi, snadź amator zwierzyny. Takiegom rad mieć.

Baba przyniosła plaster miodu na misie.

— Jasiek śpi w trawie, muchy go tną. Zabierz go do izby, a potem dla pana wyściel na strychu posłanie i wieczrę uwarz — komenderowała.

— Wygodę macie, Symonicho, z waszej rekrutki.

— Co tam, panoczku, wygoda. Miała ja w życiu sługi i najmity, a teraz ze strachu każdy Złydni słucha. Ale to ja sobie dziw wtedy na drodze spotkała. Szła nędzna i bosa po grudzie wiosennej, głód do karczmy ją zapędził. Za służbą szła, taka sama na świecie, bez rodu, bez męża, cudza, nieznana. Przyszła ze mną. Dziwuję się. Młoda, gładka, a od ludzi ucieka, jak ta pszczoła pracuje, a jak ryba milczy. Powiedzą ludzie, takie czartowskie

²⁰⁵*siemia* (z ros.) — rodzina. [przypis edytorski]

²⁰⁶*łóg* — legowisko; wygnieciona, położona na ziemi trawa zarośla. [przypis edytorski]

²⁰⁷*lizawka* — solnik; urządzenie (słupki, skrzynia a. koryto) do podawania zwierzętom (dzikim i hodowlanym) soli kamiennej z mikroelementami. [przypis edytorski]

Złydnia ma szczęście. Nigdy ja od niej nie posłyszała lisznego²⁰⁸ słowa, nigdy mi nawet: babo, nie rzekła, ino: matko. I także dziecko osobliwe; żeby kiedy zapłakało, żeby w nocy się odezwało, żeby się czego napierało²⁰⁹. Ani chybi w borze tylko takie ludzie ciche i takie dzieci się lęgną. To, panie, nie wygoda, a dola moja dobra stanie na starość. Już mi gdzieś i zawziętość ginie, z tą moją *siemią* żyjąc.

Magda szła ku nim z dzieckiem, przystanąła i rzekła:

— Co każecie, matko, zwarzyć na wieczrę dla pana? Skoczę do kosza w ruczaju, może rybę znajdę?

— A ja obejrzę zagajnik ku rzece, bom tu już dawno nie był — rzekł pan, biorąc za strzelbę.

W parę tygodni po tej gościnie ze dworu przysłano dla baby trzy fury siana na zimę dla krowy i dwóch ludzi, którzy z ruin smolarni urządzili obórkę, a budę zrestaurowali, że stała krzepko w oczekiwaniu słońca jesieni i zimowych mrozów.

— Daj Boże doczekać wiosny. Bezpieczne my! — rzekła baba, a Magda dodała, obejmując odludzie to wzrokiem radosnym:

— Daj Boże już wiek tu zbyć i kości położyć!

IV

Kałaur był w stodole, gdzie zwożono właśnie ostatnią hreczkę²¹⁰ w późny, sierpniowy wieczór. Łuny czerwone zachodu pół nieba objęły, a on stał w progu, patrząc na bydło wracające z paszy — na podwórze zapchane stertkami, bo rok był na podziw urodzajny. Dobrobyt i obfitość wylazła ze wszystkich kątów folwarku, ale chmurna twarz starego nie mówiła o zadowoleniu. Zeszłej wiosny umarła panna Teofila — sam był, zupełnie samotny: dom był cichy jak grób, starość dawała się czuć w kościach, na co mu te dostatki, dla kogo!

Długo czekał Magdy, rozpytywał, jeździł, policji obiecywał nagrodę, ludzi rozsyłał, potem czekał jej i wyglądał; wreszcie stracił nadzieję, sponurzał, do ludzi prawie się nie odzywał, żył i pracował z nawyknięcia, bez chęci, ot, byle dzień zbyć i w domu nie siedzieć w pustce.

Popatrzył apatycznie na gumno²¹¹, na słońce — i oto ujrzał przy wrotach obcego człowieka, który pastucha o coś pytał, a potem do ganku podszedł i oparty o słup czekał. Biedak to był, w chodakach na nogach, w kożusku starym i zrudziałej czapce, z kijem w ręku.

A pastuch, mijając gospodarza, rzekł:

— Jakiś podróżny o was pytał, taj czeka.

Kałaur wierzeje stodoły zamknął i ruszył ku domowi. Tedy obcy czapki uchylił i stary poznał Szczepańskiego, i coś zadrgało mu w sercu radością, i wyciągnął doń rękę z jakąś otuchą.

— Witajcie! Dzięki Bogu, że was żywym widzę. Spodziewałem się, że zgłosicie się, ino trochę później.

Szczepański nie spodziewał się tak życzliwego, serdecznego przyjęcia. Twarz jego ponura, zastygła, jakby umarła, zmieniła się na sekundę i nic na razie nie odparł ani ręki do uścisku nie podał, tylko popatrzał spode łba.

— Chodźmy do izby. Odpoczniecie. Dawnoście w drodze zapewne.

— Dziękuję! — odparł głucho. — Zaszedłem o Magdę spytać, gdzie mieszka. Nie będę wam się naprzykrzać. Pójdę zaraz do niej.

— Wstąpcie. Opowiem wam, jak się stało. Nie ma jej już w domu! Hej, kiedy! Cztery lata, jak przepadła. Nie ma, pusta moja chata!

Szczepański wszedł machinalnie do izby.

— Jakże? U was mieszkała?

— A gdzieżby. Moja była jedynaczka.

Zapanowało milczenie. Szczepański poczuł nagle okropne zmęczenie i wyczerpanie. Miał jeden cel w życiu, cel wyrobiony pięciu latami więzienia, zemstę bezwzględną, bez

²⁰⁸liszny (daw., gw.) — zbędny, zbyteczny, niepotrzebny. [przypis edytorski]

²⁰⁹napierać się czegoś (daw.) — domagać się czegoś usilnie. [przypis edytorski]

²¹⁰hreczka (reg., wsch.) — gryka. [przypis edytorski]

²¹¹gumno — podwórze gospodarskie. [przypis edytorski]

żadnych już skrupułów, i nagle poczuł się do niej bez broni — nie miał dowodów, papierów owych.

Usiadł bezsilny na zydłu u drzwi, zwiesił głowę, czuł tętnienie krwi w głowie, niemoc z głodu i wycieńczenia — i żadnej myśli.

Kałaur dał mu wódki, odmówił, tedy się stary obruszył.

— Głodniście, zdrożeni, jak syna was przyjmuję, a wy wilkiem patrzycie. Przez was Magda do mnie wróciła, ale przez was i uciekła potem. Myślę, pomożecie mi ją odnaleźć. Wypijcie!

— Nie biorę do ust wódki.

— To co innego. Każę podać wieczerzę i herbatę. Ale was tak nie puszcę. Rozważymy spokojnie, co czynić. O papiery wam chodzi. Ja Magdę znam, jeśli żywa, to pamięta, żeście tu po nie przyjąć mieli, i przyniesie, a jeśli zginęła, to jeszcze duchem we śnie wam powie, gdzie je schowała. Jedzcie i spocznijcie!

Zasadził go gwałtem za stół — nakarmił i napił.

Potem wnet go do snu namówił, okiennice zamknął i rano nie pozwolił służącej otwierać. Wiedział, że zmęczenie przemoże najgorszy niepokój, a sen w najgorszej męce bywa ulgą.

Jakoż gdy się Szczepański przecknął około południa, inaczej wyglądał i pierwszy zaga-
dał:

— Już pięć lat przeszło, jakem tak nie spoczął²¹². Dziękuję wam z duszy.

— Co tam! Nie ma o czym gadać. Teraz poobiadamy. Zaznaliście biedy do syta. Wiem od Magdy.

— Dlaczego ona od was uciekła? Powiedzieliście, że przeze mnie. Nie pojąłem. U mnie nie była.

— Wcale? Myślałem, że może. Ano, jakby to rzec. Gdy tu przyszła, chciałem zabić, o mało co nie zabiłem w pierwszym zapamiętaniu. I was bym wtedy uśmiercił. Potem mnie żal zdjął, jedno dziecko i ona pomimo swą hańbę²¹³ miała hambit. Zresztą, co było robić. Dziecko nie szczenię, trzeba było hodować.

Szczepański oczy podniósł. Nie rozumiał jeszcze.

— Jam jej nie opuścił ze złej woli. Wzięto mnie, alem jej zostawił, com miał dobytku i sprzętów.

— Ale ba, zabrali jej wszystko, wypędzili, potem ścigali i tropili, żeby te papiery wydrzeć. W rok potem dopiero do mnie przyszła, w ostatecznej nędzy, z dzieckiem.

Szczepański drgnął:

— Dziecko miała? — wyrzekł nieswoim głosem. — Czyje?

— Nigdy nie rzekła, czyje, i jam nie pytał — odparł poważnie Kałaur. — Miłowała je nad życie, chcieli ją ludzie w małżeństwo brać, nie zechciała i tylko wciąż mówiła: „Ojcie, nie żyć mi tutaj między ludźmi, pójdę precz!” Myślałem, że przywyknie, oswoi się! Aż raz pijane chłopcy w karczmie ją napadli, ledwie im się wyrwała, ale tejże nocy, jak oszalała, zabrała dziecko, papiery wasze, psa, łachmany na siebie — i uciekła. Przeszukałem kraj wokoło, szukali inni dla mnie, obiecywałem tysiąc rubli nagrody za ślad, za wieść — wszystko na darmo. Cztery lata przeszło. Nie wróci tutaj, chyba z tymi papierami do was, i dlatego was nie puszcę stąd. I wy mi to uczynicie, że zaczekacie. Potem róbcie, co chcecie. Mam prawo od was tego żądać!

— Macie nawet kazać!

Objął głowę rękami, a potem zerwał się i po stacji chodził, o ściany się tłukąc jak ślepy.

Chciał mówić, pytać, a nie śmiał, nie znajdował słów, tak wszystko wirowało, kotłowało w głowie.

Stary podumał chwilę i spytał:

— Chyba was wcześniej puścili? Dawnoście z biedy?

— Już miesiąc. Byłbym od razu przybył, ale odstawili mnie do tych Oran przeklętych. Zabawiłem dni parę i poszedłem chleba szukać dalej; z nikim się tam nie chciałem

²¹²jakem tak nie spoczął (daw., gw.) — odkąd tak odpocząłem. [przypis edytorski]

²¹³pomimo swą hańbę — dziś: pomimo swojej hańby. [przypis edytorski]

widzieć nawet. Z moim świadectwem więziennym — wiadomo, jak trudno dostać zarobek, ledwie się na flisy²¹⁴ wkręcił, ciągnąłem szleję²¹⁵ dwa tygodnie, zarobiłem sześć rubli, za tom się przeżywił w drodze tutaj.

— Teraz ja ludziom powiem, żeście mój krewniak po żonie, ona nie z tych stron była. Nie ujma to wam żadna będzie.

Szczepański zaśmiał się dziko.

— Szydzicie ze mnie! Mnie — ujma! Na mojej doli i życiu nie ma już miejsca na żadną plamę, wszystko zohydzone, zhańbione! Możecie powiedzieć, że rakarz²¹⁶.

— Pacierz mówcie i spocnijcie. A jutro pomożcie mi żyto na siew młócić. Zmęczą się barki, odpocznie głowa, tak ci jest w zgryzocie. Próżnowanie to robak, co i dąb stoczy. Sam ja zostałem, taki sam! Szczelbym dawno bez pracy!

— Mało mocy we mnie zostało i pracować zapomniałem, ale gotów spełnić, co każecie, choć wiem, że mi głowa nie spocznie i robak toczyć nie przestanie.

— Wszystko można przeżyć. Bywało i mnie w życiu, oj, gorzko. Bywało, że m bluznił i przeklinał, i kajał się potem. I myślał nie przeżyć hańby i przeżył, i myślał nie zagoić bólu i zagoił. Wy młody jeszcze!

— Młody ja nigdy nie byłem, i starym nie będę. I dobrym nie byłem ni wesołym i nikt mnie nie będzie żałować. Kto ze mną się zetknął, niedolą się zaraził. Żebym ja wiedział...

Urwał, nie dopowiadawszy, wzdrygnął się i usiadł z dala od światła w kącie, i już się więcej nie odezwał.

Nazajutrz poszedł z Kałurem do stodoły.

Zrazu apatycznie przypatrywał się robocie, potem wziął się do niej sam, wytrwale do obiadu snopy do młocarni podawał. Wieczorem już wiadano po zaściankach, że do Kałaura przybył jakiś żoniny krewniak, wilkowaty i ubogi, że stary snadź go sobie wyszukał na dziedzica. „Ciekawość, czy żonaty?” — pytały kobiety i już nazajutrz znalazły sto interesów, by do dworku się dostać, obejrzeć go, zbadać.

Ogłędziny wypadły niefortunnie: „Brzydki, stary, czarny, spode łba ślepiami łyska jak wilkołak”.

Obrażone były, że na żadną nie spojrzeli, na pozdrowienie mruknięciem odpowiadał. Przestały się nim zajmować. Mężczyźni nie o wiele lepsze wyrazili zdanie, tylko przyznali, że „robotny”.

Jakoż Szczepański od rana do nocy pracował.

Chwilami tylko, gdy go nikt nie widział, stawał zapytrzony w jeden punkt i zapominał o wszystkim. I była wtedy wściekłość w jego oczach i tygrysi wyraz drapieżny. Potem wracała mu przytomność, zaciskał zęby i powracał do zajęcia.

Tak, nie wydalał²¹⁷ się poza gumno²¹⁸, przebył dwa tygodnie. Kałaur doglądał siewów, był cały dzień na łanie, spotykali się za ledwie wieczorem u wieczerzy i zmęczeni, zasypiali wnet potem.

Szczepański nosił wciąż stare lachy, które od roboty rozpadały się w strzępy. Łatał je sam i zeszywał jako tako, jedyną koszulę prał po kryjomu nocą — co soboty, a Kałaur jakoś nie śmiał ofiarować mu odzieży i bielizny, taką hardość czuł w nim i dzikość.

W przeddzień Narodzenia Matki Boskiej²¹⁹ siedzieli tak obydwaj przy wieczerzy, gdy drzwi skrzypnęły i weszła Magda. Stała w progu sekundę i skoczyła do Szczepańskiego — do kolan mu przypadła, ramionami objęła.

— Jesteście, panie. O Jezu! — wyjąkała głosem aż łzawym ze szczęśliwości.

Jego aż poderwało coś, za głowę ją oburącz objął, do siebie przygarnął i wnet się opamiętał, usunął, jakby przerażony tym wybuchem.

A Kałaur się zerwał.

— Magda, skądś? Sama? Gdzie Jasiek? Żyw?

²¹⁴*flisactwo* — splaw rzeczny drewna. [przypis edytorski]

²¹⁵*szleja* — uprząż zakładana na kark i pierś. [przypis edytorski]

²¹⁶*rakarz* — osoba zajmująca się łapaniem bezpańskich psów, hycel. [przypis edytorski]

²¹⁷*wydalać się* (daw.) — tu: oddalać się; wychodzić. [przypis edytorski]

²¹⁸*gumno* — podwórze gospodarskie wraz z budynkami gospodarskimi. [przypis edytorski]

²¹⁹*święto Narodzenia Matki Boskiej* — także: Matki Boskiej Siewnej; święto obchodzone w Kościele prawosławnym 21 września, a w Kościele katolickim 8 września. [przypis edytorski]

— Jakże, toć żywię ja. Byłabym to na świecie bez niego? — odparła, podnosząc się z ziemi, i ucałowała ręce ojca.

— Takes mnie zostawiła i tyle czasu, bez wieści! Boga ty w sercu nie masz. Sam jestem, samiutki, i ciotki już nie ma!

— Musiałam odejść, tatusiu, wy wiecie, że musiałam.

— I nie wróciłaś do mnie, ino do niego! Mówilem wam, że przyjdzie — zwrócił się do Szczepańskiego.

Ten bez słowa patrzył na kobietę. Ta sama była, urodziwa, smągła — a przecie inna.

Po pierwszym wybuchu, który ją rzucił do jego nóg, stała teraz prosta i niepokorna, z jakąś nieznaną hardością w twarzy i postaci, nie sługa ani niewolnica. Ubrana była czysto i dostatnio, zdjęła chustę ze siebie, i nagle jakby sobie coś przypomniała, wyszła na chwilę i wróciła z Łyską.

— Jest i on, ino zestarzał²²⁰. Idź do pana! — rzekła, pokazując psu Szczepańskiego.

Łyska podszedł, obwąchał go, spojrzał w twarz i skoczył na piersi skomląc, liżąc po licach²²¹.

— Ludzką duszę ma to zwierzę! — zawołał Kałaur. — Tyle lat i poznał. Ino w pismach o takich czytałem. No, a teraz o sobie powiadaj. Gdzieś była, skąd idziesz. Głodnaś pewnie! Siadaj za stół i wszystko w porządku opowiedz.

— I nie głodnam, i nie zmęczona. Koleją jechałam i furą; tu wedle rozstaju odprawiłam, żeby gapiom w oczy nie kłuć, i nikt mnie nie widział, jakem tu przyszła. Siadajcie, usłużę wam.

— Żeś nie w biedzie, to widać. Cóż ty? Służysz?

— Panuję, tatku. Żyję ze starą babą; mamy już porządną osadę wśród dworskich zagajów; lubo tam, cicho jako ptakom dzikim. Baba bezdzietna, mądra, lekarka, u pana w łaskach. Jasek jej jak rodzony, tak go miłuje, i nigdy swarki między nami, nigdy złego słowa. Jakem przyszła, buda była w gąszczu i tyle. Baba na żebry chodziła zimą, teraz osada jest. Mamy krowę i ogród wydarłam. Latujemy i zimujemy w dobrobycie, a Jasek rośnie, na dębczaki patrząc, tak chyżo. Pacierz już umie składnie i już do roboty się bierze, ino złośnik, nie być mu wśród ludzi. Bór go uspokoi!

Opowiadała swobodnie, nie patrząc na Szczepańskiego, który usunął się w kąt, i z dłońmi na łbie psa milczał i jakby nie słuchał.

Potem nagle wstał i wyszedł.

— Dawno on tu już jest, ojcze? — spytała Magda.

— Dwa tygodnie, ale się mało poprawił. Zgodził się na ciebie czekać i pracuje, ale dusza jego gdzie indziej. Myślę, stracony to człowiek! Może ty go wyrozumiesz.

— Com ja jest, by mi się zwierzał. Służyłam mu — odparła smutno. — Nie kupić duszy. A jeszcze ja — u niego!

Westchnęła i poczęła sprzątać statki, gospodarzyć po domu, jakby wczoraj odeszła.

— Z wami tu on sypia? — spytała.

— Ze mną. Ot, na zydlu. Chciałem mu łóżko wstawić, nie zechciał. „Do pryczy w więzieniu nawykłem — powiedział — nie trzeba się odzwyczajać”.

Magda usłała na zydlu posłanie, wydobyła z tłomoka, który z sobą przyniosła, lnianą nową bieliznę i odzież samodziałową z czarnej wełny, ułożyła wszystko porządnie obok na stołku, potem usłała ojcowskie łóżko, ucałowała ręce ojca i poszła do bokówki panny Teofili, i tam usiadłszy u okna, wyglądała w miesięczną noc, dumając, co teraz on uczyni. Papiery były jeszcze u niej w zanadrzu, gdy mu je odda — skończone będzie wszystko. Po nie tylko przyszedł, nie po nią. Ni słowa dobrego rzekł, ni spojrzał pocziwie.

Bo i czymże mu była? Sługą, ze śmieci ulicznych podjętą — kochanką, wziętą z litości.

Toć i ona mu słowa nie rzeknie, jakżeby śmiała.

Nie miał ci dla niej żadnych obowiązków. Ulicznicą była, nie krzywdził i nie pohańbił; gdy go wzięto, zostawił jej wszystko swe dobro za służbę.

I nie miała ona żadnych praw do niego, ino swe miłowanie — a on o nie nie prosił ani go chciał.

Pies

Sługa

²²⁰zestarzeć — dziś: zestarzeć się. [przypis edytorski]

²²¹lica a. lico (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

O futrynę okna łokciami się wsparła i głowę na nich złożyła. Dusza ją bolała okrutnie, że aż o Jaśku zapomniała na tę chwilę, jakby sama była na świecie, taki ją żal zmógł.

Do kuchni ktoś wszedł.

— Magdo! — zawołał na nią.

Zerwała się, przemogła.

— Jestem, panie.

Wszedł, u okna stanął, chwilę milczeli.

— Dziękuję ci za ten przydziewek, ale go nie wezmę. Nie trza mi — rzekł wreszcie.

— Nie mówcie, że nie trzeba, boście w łachmanach. Mówcie, że nie chcecie mojej dla was roboty. Nie kupowałam. Len siałam i przędłam dla was, za siemię wełnę dostałam i wytktałam dla was. Zaniosłam do turmy, byście mieli już na progu czyste szatki i koszulę białą. Alem was już w turmie nie zastała, więc tu przyniosłam. Nie chcecie, wola wasza.

Głos jej drżał i łamał się, aleć nie będzie się narzucać. Sięgnęła w zanadrze i dobyła papiery.

— To wasze. Weźcie! Jużci waszego nic więcej nie mam.

Wyciągnął dłoń, wziął zwitek i spytał jakimś nieswoim głosem:

— Mojego nic więcej nie masz? Nic?

Spojrzała nań.

— Nie, panie. Bielak zagrabił wszystko. Tylko trochę bielizny i buty odkradłam, tom schowała w Wieszańcu, w owej chacie przy młynie, wiecie, gdzie się ukryła. To z wiosną, w czasie powodzi wilgoć zepsuła. A pieniądze wasze Markowi rybakowi oddałam, a on dwór podpalił, na zsyłkę poszedł — przepadło. Sobiem nic nie ostawiła, nie, wiercie mi, że prawdę mówię.

— Za kogo ty mnie masz? Wierzę ci i nie o to się pytam. Tyś mi tyle uczyniła, że ci się niczym odplacić nie mogę i podziękować nie umiem. Mojego więcej nic nie masz, no, to i koniec. Myślałem... — urwał i spojrzał na nią. — Myślałem, że żal masz do mnie i jam ci dłużny. Nie, tom wolny. Jutro już stąd pójdę.

— Pomsty na Bielaku dochodzić?

— Na wszystkich. Szczepnąć w hańbie, ale z nimi!

Zawyło w jego głosie całe piekło. Potem znowu na nią spojrzał i dodał ponuro:

— Żeby nie oni i ty byś może wróciła do ojca ode mnie bez dziecka. Nie dałbym ci wrócić na zabawkę pierwszemu lepszemu. Czyje to dziecko?

Kobieta milczała. Krew jej uderzyła do twarzy, potem błądź. Nic nie rzekła.

— Nie chcesz mówić, bo i słusznie. Po co się pytam — rzekł łagodnie. — Rad bym co uczynić za twą taką wierność i pamięć o tych papierach, a nic nie mogę.

— Możecie, panie! — szepnęła nieśmiało.

— Co? Powiedz!

— One szatki ode mnie przyjmijcie, com dla was przygotowała. Jam wasze nosiła wtedy i wasz chleb jadła. Niteczki jednej nie wyciągnęłam z kądzieli bez pomyślenia o niedoli waszej i onej radości, że gdy wasz termin ubiegnie, zrzucicie więzienne łąty i te swoje włożycie. I ot, myślenie moje na co zeszło!

Zdławiły ją łzy i żałość, odwróciła się do okna.

— Bym wiedział, jak myślisz, toć bym cię nie uraził odmową. Dziękuję ci za dar i wezmę. Wybacz! Z takiego ja piekła wracam, że już nic dobrego nie rozumiem nawet. Pięć lat też minęło, inaczej cię zostawiłem, inaczej zastałem. Kiedyś na mojej opiece byłaś, a teraz ja na twojej. Takiemu jak ja zadłużać się już nie wolno, bo nie wypłacę.

— Na zgubę idziecie, ja to rozumiem. Tak czuję, że gdy przestąpicie tę furtkę naszą, już was moje oczy więcej nie zobaczą. O Jezu, o Jezu! Ostańcie jeszcze krzynek, zabawcie jeszcze trochę!

— Pięć lat ja dnie rachował, wyglądając tej chwili. Dwa tygodnie tu bawię, czas iść. Ty zostaniesz u ojca?

— Nie.

— Tak go samego porzucisz? Mówił mi, że za mąż wyjść możesz, dla starego i dla dziecka powinnaś to zrobić. Toć byt tu masz i żywot spokojny. Zastanowić się powinnaś.

— Wy idziecie na zgubę, nie mówię wam: nie idźcie, nie raję wam bytu ni ożenku. Także i moja dola przede mną prosta, choć ludziom dziwna. Jak ojciec mówi, dla was

Przeczenie

przyszłam tu tylko. Nie chcę dostatków ni ślubować będę komu kłamliwie, a dziecku memu dam zdrową duszę i moc do pracy, to mu więcej nic nie trzeba.

Tu ją nagle znowu żal ogarnął, rzucił się łzami do oczu, prośbą nieśmiałą na usta.

— Jeszcze bym was o coś prosiła, ino nie śmiem, ino się boję. Łaskę mi już ostatnią uczynicie!

— Mów śmiało. Nic ci nie odmówię — odparł kładąc jej rękę na głowie, tak poruszony, że aż mu głos się zmienił.

A ona, prędko dysząc i jękając się, wyszeptwała:

— Wstąpcie po drodze do mojej budy, choć na godzinkę, usiądźcie na ławie, kęs chleba weźcie i Jaśkowi na głowie rękę połóżcie, ot, jako mnie.

Szczepański zachnął się.

— Magda, czyj ten Jasiek? Musisz mi wyznać!

Zdawało się przez sekundę, że powie, ale wnet zacięła się, usunęła o krok i rzekła twardo:

— Mój ci jest. Pokotyński!

— To dobrze. Pójdę z tobą! — odparł z głębokim odetchnieniem. — Więcej nic nie chcesz?

— Nic, panie. Nadto i tak łaski waszej.

— Nie mów tak. Dłużny ci zostanę i zapłacić nie zdołam.

— Tak wam się widzi, a mnie się zda, żeście mi tyle dali, że świat cały by tego nie zdzierzał.

Ruszył ramionami i ręką machnął.

— Jutro pójdę! — rzucił i wyszedł.

A Magda wysunęła się cichutko do sadu i tam skulona pod ścianą domu, z głową w dłoniach przesiedziała długie godziny, wstrząsana dreszczem i rozpaczonym łkaniem.

Kałaur mało spał tej nocy. Słyszał, jak Szczepański wrócił i położył się, słyszał, że i on nie spał; ledwie doczekał się świtu i poszedł do Magdy. Już ją zastał w kuchni przy robocie i spytał niecierpliwie:

— No, i coście gadali do północks? Zostaje? Bierze cię?

— Dziś już całkiem odejdzie! — odparła bezdźwięcznie.

— Jakże to? Nie chce się z tobą ożenić?

— Ja nie chcę!

— No, to ja ci każę teraz. Cóż to! Cierpiałem dosyć. Przebaczyłem ci wszystko, ale teraz basta. Ja się z nim rozmówię stanowczo.

— I co mu ojciec powie? Że dziecko jego, a ja powiem, że nie. Bo go więzić i niewolić nie chcę, bom nie żona dla niego, bo on żyć nie chce ani z jednej turmy w drugą iść. Pytał mnie, czyje to dziecko, z lękiem, że mu odpowiem, że jego. Wtedy by gwałt sobie zadał i mnie i sobie jak łańcuch u szyi zaciągnął albo jak stryczek. Niech idzie, niech go oczy moje nie widzą żywym, ale niech nie patrzą na jego mękę. Chce pomsty, niech ją bierze, tym ci żyje. Ojciec jak słowo rzeknie, to ja, ot, przysięgnę, że Jaśkowy ojciec był karczemny pijak, a on mi uwierzy, bo zna, jakem żyła i czym byłam. Milczcie tedy, tatku, jako ja milczę.

— Ale ty do mnie wrócisz?

— Nie.

— Tedy milczeć nie będę — warknął stary zawzięcie.

— Chcecie wy, Feliks Kałaur, o łaskę obcego prosić, by waszą rozpustną córkę brał? Taka ci w was hambicja!

— Tedy wróć do domu!

— Żeby mnie draby napadały bezkarnie w szynku!

— Więc co robić? — szepnął stary.

— Milczeć, tatku. On dzisiaj odejść chce i obiecał mi wstąpić po drodze do mnie. Dajcie wóz i siadźcie z nami. Zawiodę was do siebie. To mil osiem stąd. Będę do was przychodzić, ile razy zechcecie, i wy do mnie przyjeżdżać. Ale jak mu słowo powiecie, to już mnie nie ujrzyście więcej.

Stary się zerwał i poczerwieniał złością, ale mu do rąk przypadła, poczęła błagać.

Ojciec, Córka

— Tatusiu, nie może być inaczej. Miejcie zastanowienie, nie czynicie nieszczęścia. Już we mnie łez nie ma, ale i nie zmienię duszy. Na dolę się zdajcie, nie odrobić. Zlitujcie się, milczcie!

W tej chwili do kuchni wszedł Szczepański, już w nowej odzieży, zmieniony tym i jakby odmłodzony, bo i zarost przyszyty, że go ledwie Kałaur poznał.

— Ubyło wam dziesięć lat! — rzekł. — Co to mi Magda prawi, że dziś już odejść chcecie? Zostańcie jeszcze, pomożecie siewy skończyć.

— Pilno mi. Niewielka ze mnie wam wysługa, a i kompania niezaszczytna. Trzeba iść swoje sprawy kończyć. Daj wam Boże wszystko dobre, z serca wam dziękuję za gościnę.

— Dobrego już nie ma na mojej drodze. Magda też odchodzi, szalona. Idźcie zresztą wszyscy do siebie, kiedyście tacy.

Zaklął i wyszedł trzasnąwszy drzwiami, bo czuł, że nie zmilczy, gdy zostanie.

Obszedł gumno, złał służbę, psy kijem od siebie odpędził, wreszcie kazał parobkowi wasąg²²² posmarować, klaczy dać podwójny obrok, wóz koniczyną wypchać, siedzenie usłać — i wrócił do domu.

„Jak mi do reszty zmierznie²²³, podpalę folwark i na żebry pójdę. Po co mi pracować” — myślał.

Przy śniadaniu nie otworzył ust i nie patrzył na nich. Mało co wszyscy tknęli jadła i posiłek ten na stypę wyglądał. Zaraz też stary znowu wyszedł do sąsiada z prośbą o nadzór nad folwarkiem przez parę dni.

— Magda na parę godzin wpadła, służy na Wołyniu, trzeba ją odwiedzić — tłumaczył — a i krewniak żoniny²²⁴ do domu się chce dowiedzieć, to i jego zarazem podwiozę.

Sąsiad mocno się zaciekał, chciał rozpytywać, ale Kałaur byle czym go zbył, obiecując za powrotem na gawędę przyjść — i tak się rozstali.

A tymczasem Magda, sama zostawszy ze Szczepańskim, rzekła nieśmiało:

— Jeszcze ja jednego grzechu wam nie wyznała, aleć muszę, choć wiem, że srodze was rozgniewam.

— Mówże. Za nic się na ciebie nie rozgniewam.

— Jakem wtedy od ojca wyszła i do owej baby przystała, rzekłam, że rekrutka, mąż w wojsku. Ot, złe mnie skusiło skłamać i potem nie zmożłam się odwołać i tak się zostało. Darujcie, na ten moment, co tam będziecie, zważać na gadanie baby, niech wam to nie ubliża.

— Co? Będzie mnie miała za twego męża. W czymże mnie ujma? Dajże pokój!

— Wiecie, com jest. Znaliście Pokotynkę.

— Czym cię kiedy tak nazwał? Zapomniałaś snadź mnie całkiem.

Przed dworkiem zaturkotało i wszedł Kałaur.

— Pilno wam ode mnie, no to jazda! — rzekł ponuro. — Co ma być, niech będzie. Zbierajcie się.

Począł się do drogi sposobić, mruczał i stękał, otwierał kuferki, coś w kobiałkę pakował, wreszcie zawołał na Magdę:

— A gdzież to popasać będziemy? Wzięłaś co do zjedzenia? A tam nic ci nie brak? Idź do świronka, nabierz, czego chcesz. Toć nie pojedę do wnuka z gołymi rękami. Skaranie boskie na mnie! Toć wasze tu wszystko, bierz!

— Tatusiu, was ino nam brak. Wszystko mamy, zobaczycie. Strawy na popas wzięłam, a więcej nic nie trzeba.

Stary spojrzął na Szczepańskiego, zawahał się i wybuchnął:

— A wy tak z kijem ruszacie tylko na owe sprawy wasze. Myślicie mi łaskę czynić, darmoście u mnie pracowali, co?

Szczepański poczerwieniał.

— Nie darmo. Nazwaliście mnie krewniakiem, traktowaliście jak syna — zbrodniarza. Nie ubliżycie teraz kilku rublami. Odchodzę w tej nazwie krewniaka.

Stary popatrzył nań i zmiękł.

²²²wasąg (z niem. *Fassung*) — wóz gospodarski, dość prymitywny powóz czterokołowy bez resorów, z nadwoziem drabinkowym lub w kształcie wiklinowego kosza, opartym bezpośrednio na osiach; używany w Polsce do pocz. XX wieku. [przypis edytorski]

²²³zmierznać — obrzydnąć. [przypis edytorski]

²²⁴żoniny — pochodzący od a. należący do żony. [przypis edytorski]

— Boście krewniak — zamruczał i głową desperacko pokręcił, ale milczał, jak Magda chciała.

Gdy siadali na wóz, rzekł:

— Weźcie lejce i siadajcie na przedzie. Tak wypada, by ludzie nas widzieli. Ty, Magda, obok mnie.

Z zaścianków gapiono się na nich, różne prawiąc przypuszczenia, potem wyjechali na pustą drogę i Magda poczęła wskazywać kierunek.

Nazajutrz około południa rzucili szlak utarty, przedzierali się ledwie widocznymi drózkami i przesmykami, kędy nikt nie jeździł, i wnurzali się coraz głębiej w borowe pustki. Miejscami trzeba było wóz przenosić, klacz wyprzęgać.

— Toś się zaszyła, niecnoto! — mówił stary.

— Wytrzeć²²⁵ drogę! — odpowiadała, siląc się na uśmiech.

Szczepański milczał, rozglądał się, powietrze leśne chciwie w nozdrza i płuca wciągał.

Las był coraz dzikszy i cichszy, w jednym miejscu przypomniał mu żywcem ostęp w Oranach, że aż się odezwał mimo woli:

— Brażeckie, zda się, olszyny.

— Gdzieście to znaleźli owe nurki osobliwe, przelotne, jesienia! — dodała żywo.

— To już niedaleko do twojej budy? — spytał Karaul.

— Ino parę wiorst²²⁶, już w zagaje wjeżdżamy. Pójdę przodem, bo tu wnet znajdzie naszą ścieżkę.

Szczepański zeskoczył też i szli razem, rozchylając gąszcza, kołując i zawracając, aż rzekł:

— Błądzisz.

Potrząsnęła głową.

— Nie, ślad mój taki i ścieżka jako wilczycy do wilcząt, ot, jesteśmy na dróźnie baby. Teraz bym po swojemu huknęła, Jasiek by mi odpowiedział, niedaleko gniazdo nasze!

— To zawołaj.

Kobieta wydała przeciągły okrzyk, powtórzyła go po chwili jeszcze dłużej — nashuchiwali.

Taki sam, stłumiony oddaleniem, odpowiedział.

Tedy Magdę poderwało do pośpiechu, ledwie jej nadążyć mógł²²⁷, a Kałaur daleko pozostał z wozem. Ścieżka się rozszerzyła i nagle w głębi jej ukazał się chłopak mały i biegł ku nim, owe wołanie odpowiadając, aż wyraźne się stało.

— Matko, ho, matko!

Dopał do kolan jej, jak mógł najwyżej, ramionami ją objął, zdyszany, czerwony, wzniosł ku niej roziskrzone oczy i śmiejące usta, aż mu spadł kapelusz o szerokich kresach, odsłonił czarną, krótko obciętą czuprynę i twarzyczkę opaloną, tryskającą zdrowiem i życiem.

Wzięła go na ręce, przygarnęła do piersi, całował ją, obejmował za szyję, nic nie mówiąc, tylko pieszcząc i pokrzykując z radości.

Spostrzegła przede wszystkim, że miał szyję spuchniętą, i rzekła:

— Pszczoły cię ścięły, nieboże.

— Ścięły. Baba miód podbiera. Pomagałem! Nic to! Posłyszałem, że wołacie, i lecę, lecę! Wicie, są małe króliki, czworo. A gdzie Łyska?

Obejrzał się i dopiero spostrzegł Szczepańskiego.

— Pan jakiś, mamó! — szepnął.

— Ze mną przyszedł. Pocałuj go w rękę. Idź!

Postawiła go na ziemi. Wahał się sekundę, a ona bez tchu patrzyła na obu.

Szczepański był bardzo błydy, oczu z dziecka nie spuszczał, potem pochylił się doń bez słowa i w głowę pocałował. A chłopak spostrzegł wreszcie Łyskę i rzekł:

— Że też on pana nie kasa i nie szczeka. Dlaczego, mamó?

— Bo rozumniejszy od ciebie — odparła. — Dlaczegoś pana w rękę nie pocałował?

²²⁵wytrzeć drogę — przetrzeć szlak. [przypis edytorski]

²²⁶wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, równa 1,0668 km. [przypis edytorski]

²²⁷ledwie jej nadążyć mógł — ledwo mógł za nią nadążyć. [przypis edytorski]

— O, zapomniałem! — zawołał żywo i pogarnął się serdecznie do rąk Szczepańskiego, i znowu do matki się zwrócił, i przytulił. — Chodźcie prędzej. Zobaczcie króliki. Dwoje białych i czerwone mają oczy.

— Poczekaj. Jeszcze jeden pan przyjedzie.

— Z koniem! O! To ja na konia siadę! Gdzie ten pan? Taki jak ten?

— Zobaczysz. Tamtego też w rękę pocałuj. Ot, idź przodem z Łyską, spotkamy go w gąszczu.

— Ale, tom ja i Łyski nie przywitał. I on jeszcze królików nie widział tych małych.

I rzucił się psa obejmować, pieścić, a zwierzę lizało go po twarzy, witało po swojemu, aż obydwa wpadli w okropną uciechę i popędzili naprzód. A tuż wynurzył się łeb Siwej i rozległ się głos Kałaura.

— Jasiek!

I już był chłopak w objęciach starego.

Ale wydierał się do konia, nieprzytomny z tego mnóstwa wrażeń.

— Pojadę na prawdziwym koniu. Niech mnie pan wsadzi, nie spadnę. Koń się nie będzie na mnie gniewać!

Kałaur wsadził go na grzbiet Siwej, ramieniem przytrzymał, a twarz miał rozpromienioną, i tak szli, i jechali, aż ścieżka wbiegła na polanę szeroką i ujrzeni przed sobą gniazdo Magdy.

Dobrze było ukryte, od ludzi dalekie i niepodobne już do owej pustki sprzed pięciu lat.

Chata była osadzona malwami i pnącą fasolą, otoczona ogrodem, zamiast ruin smolarni była porządna obórka, tylko szare pnie z pszczołami były te same i jak stróże otaczały osadę, i Złydnia nic się nie zmieniła, tylko nauczyła się uśmiechać.

Na progu ich spotkała, ciekawie oglądając przybyszów i z prostotą mówiąc, co czuła.

— Wy, gospodarzu, pewnie tatko Magdusin. Oj, jeszcze proste plecy macie, życie sto lat, żeby my jeszcze na Jaśkowym weselu hulali. Witajcie, na chleb i sól prosim. Miodu dziś pełna komora, nam starym chleb i sól, a im młodym miód. Człowiek Magdusin też niczego, ino czarny i suchy jak ziemia. Lepiej ja wam młodycy dopilnowała, jak was żołnierka. Nu, bór wam krasę wróci. Kobieta odchucha miłowaniem!

Magda zdjęła prędko Jaśka z kłaczy i by nie słyszeć, odprowadziła wóz pod obórkę.

Dzieciak za nią pobiegł, a mężczyzn wprowadziła baba do izby, gwarząc i krzając się.

Izb było już dwie, sień i komora, wszystko bielone, czyste, pachnące ułem pszczelim.

Kałaur począł rozpytywać babę o okolicę, o dwór, o drogi, o ludzi, ich byt, zajął ją, że nie zwróciła uwagi na Szczepańskiego, który słowa nie wymówił i usiadłszy swoim zwyczajem w kącie, coraz to na drzwi spozierał²²⁸.

Po chwili rozległ się tupot bosych nóg, poszczekiwanie Łyski i wpadł do izby Jasiek, wprost na babę, która stół zaścielała obrusem.

Omali jej nie obalił, aż krzyknęła, ale wnet pochyliła się czule do niego, po głowie gładząc.

— Co, rybko, co, mileńki, co, dziecino serdeczna?

— Babo, widzicie, co mnie mama dała. W to się dmucha, to gra, podmuchajcie!

I podał jej harmonikę ustną.

— Gdzież ja! Nie umiem, jagódko! Ot, tatka poproś, to ci zagra.

— A któż tatko? — zagadnął dzieciak, patrząc na nich kolejno.

— Daj mnie! — odezwał się Szczepański.

Jasiek bez wahania na kolana mu się wgramolił, harmonikę podał, rozsiadł się wygodnie do słuchania, o piersi jego wsparty.

A Szczepański dmuchał, a co przestał, Jasiek się mocniej do niego przytulał i zachwycony, prosił:

— Jeszcze trochę, tatku, jeszcze grajcie.

Kałaur babę zabawiał i zerkał na nich spod brwi.

Aż wreszcie baba obejrzała się za Magdą i nie widząc jej, poczęła wołać.

— Doniu, gdzie ty się bawisz? Takich gości przywiodłaś, a o posiłku i nie myślisz! A tu i pieczone, i warzone być powinno. A i ja baję, jak to stara, z tej wielkiej uciechy.

²²⁸spozierać — spoglądać. [przypis edytorski]

Magda już dawno zza ściany przez okno patrzyła na Jaśka i Szczepańskiego, ni oczu oderwać nie mogła, ni się poruszyć. Na wołanie weszła do chaty, ale nic nie rozumiała, co ma czynić, ani słyszała, co mówią. Słyszała tylko granie na harmonice i powtarzała w duszy:

 Weź mnie, Jasiu, ze sobą,
 Rada pójść z tobą
 Na woinkę daleką.

— Zdurzała kobieta do cna! — zaśmiała się baba, potrącając ją żartobliwie. — Wieczereż gotuj, bo goście głodni być muszą jak wilki, a ty się pischalce przysłuchujesz jakby mały Jasiek.

Oprzytomniała, poczęła ogień rozpalać, krzątać się w sieni i spiżarni, zastawiać stół.

A Szczepański grać przestał i rzekł do Jaśka:

— A gdzież króliki twoje?

— Prawda, króliki! — zerwał się chłopak. — Toć ich jeszcze na noc nie karmiłem. Chodźcie, w loszku są. Może chcecie jednego albo i dwa, dam wam. Zresztą i wszystkie dam, tylko sobie jednego zostawię.

— Nie pożalujesz mi?

— Nie! Tak cudnie gracie. Ach, żeby ja umiał.

Wyszli, trzymając się za ręce i dzieciak poprowadził między grzędy kapusty, i począł liście rwać, szczebiocząc.

— Wy nie rwijcie, bo nie wiecie które, mnie mama nauczyła, bo ze środka nie wolno, bo to kapustę boli, ino te odchylone można brać. Już dosyć. Chodźmy do loszku. Mama go wykopała, a potem zrobiła dach i drzwiczki. Ja już potrafię też zrobić, ale jeszcze siły nie mam.

— Bardzo matkę kochasz? — spytał Szczepański.

— Tak okrutnie, okrutnie, że już nie wiem! I babę też, i Łyskę! Widzicie, króliki!

Otworzył drzwi loszku i stanął wśród gromady pstrej i długouchiej, tak oswojonej, że mu się do rąk wspinały.

Szczepański usiadł na progu, a malec mu dał na kolana owe cztery najmniejsze, a za nimi usiadł Łyska i obwąchiwał dobrodusznie zwierzątka.

I tak bawili się we troje jak dzieci.

Potem Jasiek poprowadził Szczepańskiego po całej osadzie. Pokazał mu krowę i grzędy warzywa, i huśtawkę swoją na dębie, w krzakach gniazda, skąd pisklęta już wyfrunęły, i opowiadał swe uciechy i zajęcia, i wędrówki z matką do koszu rybnych, o sarnach, jak się ich nie bały, i o masie jagód latem. Szczepański dawał się prowadzić, słuchał, pytał, aż wreszcie Jasiek harmonikę mu dał znowu i rzekł:

— Tatu, zagrajcie tu, nie w izbie. Bo widzicie, z izby to ani króliki nie słyszą, ani krowa, ani drzewa; tu wszyscy się ucieszą. Pewnie i sarny posłyszają. Grajcie głośno, głośno.

Usiedli u studni i szło granie dla wszystkich, aż we drzwiach baba stanęła, wołając na wieczereż.

Wieczór bo już zapadł, pogodny, ale chłodny. Poszli ku chacie, gdzie już stół był zastawiony i rozchodził się zapach świeżego chleba, miodu i palonego z korzeniami krupniku.

Stała pękata flasza tego napitku wśród mis jedzenia, a nad stołem paliła się lampa, oświetlając ich dostatnio i ściany białe, obrazami obwieszane.

Baba usadowiła Kałaura na najwyższym miejscu w rogu i obejrzała się na wchodzących.

— Siadajcie na ławie, jakże was zwać mam, żołnierzyku, ot, po prawej ręce teścia. Jasiek, usuń się, matce miejsce zostaw przy ojcu. Taj zaczynajmy!

— Ja posłużę wam! — rzekła Magda. — Nie siędę.

— Jasiek, chodź tutaj, co się pchasz między starszych.

— Niech siedzi! — rzekł Kałaur, gdy się malec między nim a Szczepańskim ulokował, i pogłaskał go po głowinie.

Baba nalała kieliszek i obyczajem chłopskim poczęła błogosławić.

— Dajże nam Boże zdrowie, taj przeżywanie razem szczęśliwe, jak nas Bóg po tylu latach sprowadził. W wasze ręce, panie ojczy, donia²²⁹ wasza matką mnie nazwała, i tak jako rodzona mnie droga i miła. Daj im panie Boże dołą i nam z nimi!

— Daj Boże! — odparł Kałaur poważnie.

Baba wypila, podała mu pełny kieliszek, wychylił, mówiąc Szczepańskiemu:

— W wasze ręce.

— Ja nie piję!

— Jakże to! — obruszyła się baba. — Mojego krupniku nie chcecie i do żony nie przypijecie? Tak nie wolno.

— Nie muście, matko, on nie pije! — wtrąciła Magda.

— Nie pije. To dobrze, ale przy takiej okazji trzeba choć kroplę wypić. Jakże to! Nie godzi się.

Szczepański nalał kieliszek i usta umoczył, potem podał go Magdzie.

— Wypij za mnie. Wiesz, że nie mogę.

Wzięła czarkę i wypila, nie mówiąc słowa.

Zaczęli jeść i Kałaur rzekł do Jaśka.

— A wiesz ty, że ja po ciebie przyjechał. Jutro ciebie ze sobą zabiorę. Na koniu pojedziesz.

— A mama?

— Mama tu zostanie.

— Oho, to i ja nie pojedę.

— Będę się to ciebie pytał. Zabiorę, i basta.

Chłopak przestał jeść, ku matce zerknął, zamyślił się.

— No, co? Nie ma rady. Musisz jechać — śmiał się stary. — Dostaniesz tam u mnie prawdziwego konia i nożyk, i kaletkę, i wóz, będziesz ciągle jeździć.

Jaśiek odsunął się od niego, przytulił do Szczepańskiego, ten go ramieniem objął. Kałaur dalej się droczył:

— Dam ci na zimę czapkę z siwym barankiem i buty, i kożuszek, i czerwony pasek. Zobaczysz, jak ci tam u mnie dobrze będzie i wesoło.

— Nie chcę, nie pojedę! — już z rozpaczą zawołał.

Szczepański pochylił się do niego i coś szepnął.

Chłopak ku niemu oczy podniósł leż pełne i przywarł mu się do piersi, szukając obrony.

— Ot, jakie to głupie jeszcze, wszystkiemu wierzy! — zaśmiała się baba. — Jedz, dziecińco, jedz, nie bój się. Żartuje dziadunio. Jak pojedziesz w gościnę do dziada, to z mamą i nie jutro, a kiedyś później. Jedz, nie frasuj się.

Ale chłopak nie dał się przekonać ani namówić do jedzenia i zerkał nieufnie na dziada. Potem zmorzył go sen, rozmarzyło ciepło, wrażenie dnia tak niezwykłego i podczas gdy starzy, rozochoceni krupnikiem, bajali o dawnych czasach, a Magda krzątała się, zmywając statki, ścieląc posłania, sprząając stół, dzieciak na rękach Szczepańskiego spał już mocno, uśmiechając się do swych marzeń.

Wreszcie Kałaur przypomniał sobie, że kłaczy nie napoił, baba, że jej patoka²³⁰ może wierzchem niecek²³¹ się przelała, i wyszli oboje.

— Magdo! — zawołał Szczepański.

Podniosła głowę od roboty i zbliżyła się.

— Zasnął. Oj, wybaczenie, nie uważałam, jako wam cięży.

Sięgnęła po dziecko, ale on się nie ruszał i rzekł, patrząc bystro na nią.

— Magdo, mój jest?

— Czyżby, panie! — wyrwało się jej z duszy, że sama nie wiedziała, jak rzekła, i przeraziła się, i patrzyła ze zgrozą, jak to przyjmie.

A on milczał, oczami dziecko ogarnął, pochylił się, ucałował i podał jej.

— Ułóż go powoli, by się nie rozbudził! — szepnął i wyszedł z izby.

²²⁹ donia (daw.) — córka lub młoda dziewczyna. [przypis edytorski]

²³⁰ patoka (daw.) — płynny miód pszczeli. [przypis edytorski]

²³¹ niecka — miska. [przypis edytorski]

Kałaur wrócił i poczał się do spoczynku zbierać, baba poszła do alkierza, w chacie uczyniło się cicho, tylko rozlegał się szept odmawianych pacierzy i świerszczów monotonne cykanie, Magda krzątała się w sieni, dygocąc ze strachu, co uczyniła, nie pojmując, jak śmiała wyznać.

Szczepański nie wrócił, pewnie z racji jej bezczelności takiej, teraz ze sobą bojował, męczył się, przeklinał jeszcze bardziej dołą. Teraz jej trzeba za nim iść, do nóg się rzucić, przeprosić, wyłożyć, jako nic jej nie dłużny, wolny — i niech idzie swoją drogą, na nią się nie oglądając.

Wyjrzała przed chatę — miesięcznie²³² było, więc go wnet dostrzegła, siedzącego pod ścianą.

Zawahała się, wołałaby pod ziemię się skryć, ale się przymusiła i podeszła.

— Spocznijcie, panie, po drodze. W komorze usłano!

Podniósł głowę, chwilę patrzył w księżyc, myśli zbierał i rzekł:

— Chciałem cię właśnie wołać. Czy ojciec jutro wraca, nie mówił ci?

— Pewnie jutro. Do siewów mu pilno!

— To i nam trzeba z nim wrócić.

— Po co, panie. Idźcie swoją drogą. Ja tu ostanę.

— Jak zechcesz, ale wpierw musisz ze mną u ojca być i wiedzieć, kto ja taki.

— Wedle tego, com wam, głupia, rzekła. Nieprawda to jest, żelgałam, panie. Plućie na to gadanie. Będziecie wierzyć Pokotyńce, warta ona waszego myślenia. Zapomnieliście, jaką wzięliście!

— Milcz, Magdo. Będziesz mówić, jak mnie wysłuchasz, teraz nie pora. I nie okłamuj na darmo, i nie przypominaj, ktoś była. Tyś mi dziecka mojego matka i bym²³³ ciebie wart był, w tej chwili do ojca bym poszedł i prosił, by mi cię dał, ale wpierw wiedzieć powinniście, kto ja, i dlatego wracam z wami. Idź, ja tu zostanę jeszcze trochę, potem na wozie spocznę. Nie mogę mówić!

— Panie mój, ostawcie mnie tutaj! — jęknęła.

— Nie niewolę cię, ale prawo do dziecka mam i ojciec twój musi mnie wysłuchać. Czego się boisz, zły byłem dla ciebie i ze słabości twej korzystałem. Teraz drogą mi jesteś, nie bój się.

— Com ja uczyniła, nieszczęsna, com rzekła! Nie mówcie do mnie tak, bo zdurzeję²³⁴, bo mi się serce rozpęknie. O Jezu!

Zerwała się i ślaniając się jak pijana, poszła przed siebie i w gąszczach przepadła.

Szczepański głowę rękami objął i pozostał tak długie godziny.

O świcie Kałaur wstał i pacierze odmawiając, poszedł się myć do studni. Ranek był rośny i pogodny, ino cichy, jak bywa w jesieni.

Stary pomyślał o swej roli i westchnął na wspomnienie, że sam wróci do domu, i jął odmawiać żarliwie koronkę do Przemienienia Pańskiego.

Skrzypnęły wrota obórki, wyszedł Szczepański.

Oczy miał zaognione bezsennością i żarem wewnętrznym spalone usta. Zbliżył się i rzekł:

— Dzisiaj wracacie do domu?

— A cóż, wracam! — stęknął stary. — Wy też dalej ruszacie.

— Nie, z wami pójdę! Nie rzekliście mi złego słowa, żem wam córkę pohańbił, przyjęliście jak syna — przyjęliście jak syna — katorżnika, zabójcę. Ale w duszy za podleca i gałgana mnie macie, i słusznie. Ale co myślicie, to niczym nie jest jeszcze do prawdy żywota mego, którą wam całą rzec teraz trzeba. Pójdę z wami i Magda być musi, i wysłuchać. Nie zataję nic, a wy postanowicie, co czynić mam. Na waszą wolę się zdaję i spełnię, jako się mną rozporządzicie!

Stary popatrzał nań uważnie i twardą dłoń wyciągnął.

— Słusznie jest. Co się stało, nie odstanie. Wzięliście mi córkę, a ona was nie przeklina, nie godzi się i mnie. Co nam powiecie, z chaty nie wyjdzie, bo ta chata — waszego syna chata, a wy w niej syn.

Szczepański bez słowa pochylił się i kolana starego objął, a ten za głowę uściśnął.

²³²miesięczny (poet.) — księżycowy. [przypis edytorski]

²³³bym — tu: gdybym, jeśli bym. [przypis edytorski]

²³⁴zdurzeć (daw., gwar.) — zamroczyć się, stracić świadomość. [przypis edytorski]

Słońce wyjrzało zza gąszczów, w chacie ruch się uczynił, dym buchnął z komina i Magda wyszła ze skopkiem do doju, a za nią Jasiek dreptał, a ujrawszy gości u studni, do nich poskoczył.

— Magda! — zawołał Kałaur. — Żywo nam śniadanie szykuj i sama się ogarnij, bo z południa do dom pojedziemy.

— Hospody! — wrzasnęła baba, słuchając w progu. — Wszyscy się zabieracie. Jakże ja się ostanę? Toć pan przykazał, żeby Magdusin człowiek, jak tylko wróci, do dworu się stawil, służba na niego czeka. Do syta było wołokity²³⁵, a ja by rada na piecu siedzieć i bajki gadać, a nie straszyć głupi naród po siolach²³⁶. Magduś, doniu, rzucisz ty tak babę?

— Nie rzucę, matko, ino na dni parę z nimi pójdę, taj wrócę już na wiek do was.

— Jaśko ze mną ostanie?

— Ostanie, matko. Będę do was wracać jako ptak. Nie trapiecie się!

Uspokoila się nieco baba, ale gdy mężczyźni przyszli na śniadanie, napadła na Szczepańskiego.

— Juźci ja czuję, że insze dumki macie. Ciągnie was kędys²³⁷, może do miasta ludnego, do białego chleba i skrzypek w gospodzie. Porzućcie, nie godzi się. Ostańcie tutaj.

— I u mnie jest dach i chleb dla nich! — mruknął Kałaur.

— Jest! — odcięła baba. — A gdzież był, jakem ja kobietę przygarnęła za służbą idącą boso po grudzie, że trop jej był krwawy jako tego zwierza szczutego? A gdzieście wtedy byli, ojczę?

— Matko — upomniała ją Magda. — Toć zostanę z wami!

— Ale jak oni pozwolą! — zawarczała baba ponuro.

— Oho — zaśmiał się Kałaur — słuchała to ona mnie kiedy? Zrobi, jak zechce.

— Ja też nie tyle do was mówię, jak do tamtego.

— I to bez racji! — odparł Szczepański. — Bo ja uczynię, jak ona zechce.

— Chytróść taka! Bo to nie wiecie, jako za wami ginie i przepada. To wam tylko rzekę, że Jaśkam hodowała i póki oczy moje patrzą, na niego będą patrzeć, i póki nogi mnie noszą, za nim mnie poniosą.

— Tak ci będzie! — rzekł uroczyście Kałaur.

Skończyli śniadanie i jęli się do drogi zbierać, gdy wtem wpadł konny posłaniec ze dworu po babę. Panicz z huśtawki spadł, rękę wywichnął, kazano babę duchem dostawić, bo sławna była na okolicę z nastawiania kości. W parę minut stara się ustroiła, wzięła maście i zioła w fartuch i poszła, obiecując wrócić nad ranem.

A odchodząc jeszcze wołała do Magdy:

— A skończ no, doniu, pszczoły podbierać, bo wielki czas²³⁸. Jasiek ci powie, które jeszcze nieruszane.

Do roboty tej nadzwyczaj zamilowany Kałaur ofiarował się z pomocą i poszli oboje, a Szczepańskiego Jasiek wyciągnął w bór, obiecując cuda pokazać, i wnet w gąszczu przepadli, i pod wieczór się miało, gdy wrócili, obładowani różną zdobyczą.

Znaleźli w koszu, w ruczaju, sporego szczupaka i grzybów pełne kapelusze przynieśli, a dzieciak umorusany był sokiem z jeżyn i tak zmęczony, że go Szczepański na rękach przyniósł sennego, i ledwie się do matki uśmiechnął, i już powieki opadły, i zaczął coś mówić o harmonice, i nie skończył. Magda go rozebrała i ułożyła na noc, a następnie podała Szczepańskiemu obiad. Parę łyżek przełknął i przestał.

— Nie smakuje wam, panie! — szepnęła nieśmiało. — Może do czego ochotę macie lepszą, powiedzcie.

— Niegłodnym — odparł, opierając głowę o ścianę.

Izba już mroczna była, dzień się skończył, Kałaur poszedł do kłaczy, Magda do krowy, o Jaśkowych królikach przypomniał Szczepański i zaniósł im liści, a potem wrócił i czekał, siedząc na ławie, aż tamci się zbiorą; mówić im miał, co całe życie w sobie tał jak kamień ciężkie, jak nieuleczalną chorobę rozpaczne.

Wrócili i spojrzawszy nań, zrozumieli, co z nim się dzieje, i każde, jak umiało, starało się mu pokazać, jako im drogi jest.

²³⁵wołokita (reg.) — włóczęga. [przypis edytorski]

²³⁶siolo (daw.) — osiedle wiejskie, wieś. [przypis edytorski]

²³⁷kędys (daw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

²³⁸wielki czas — najwyższy czas. [przypis edytorski]

Magda podała mu tytoń, Kałaur zagadał o borze, ale on, już zdecydowany, nie zwlekał i rzekł:

— Dziś trzeba skończyć. Już mi dość męki. Trza wszystko rzec. Myślałem, że moja tylko będzie hańba, nikt się nie dowie ani z moją dolą się nie połączy. Panie Kałaur, ukrzywdziłem Magdę, zmarnowałem jej życie, na wasze nazwisko rzuciłem wstyd. Niczym wynagrodzić nie mogę: ani nazwiskiem, bo na nim ohyda jest stokroć gorsza; ani sobą, bom zabójca wprost z kryminału wypuszczony; ani bytem, bom żebrak. Nie mam nic, stracenie! Chcecie wiedzieć, jaką drogę przeszedłem, to posłuchajcie.

Sięgnął w zanadrze, dobył ów ceratowy pugilares²³⁹, który Magda mu przyniosła, otworzył, wyjął żółtki, stary, drukowany arkusz, numer gazety i rozwinąwszy go, ją czytać:

STRASZNA ZBRODNIA

Dziś rano, w mieszkaniu swym przy ulicy Recznej zmarł nagle rejent S. Przywołany lekarz stwierdził, że zgon nastąpił już przed paru godzinami, a badana służba zeznała, że poprzedniego wieczora rejent był zdrów zupełnie, na nic się nie uskarżał i po spożyciu wieczerzy jak zwykle pracował w swym gabinecie. Kiedy się udał na spoczynek, nie wiadomo. W mieszkaniu prócz nieboszczyka i żony jego znajdował się jeszcze syn, uczeń piątej klasy gimnazjum, zajmujący pokój wraz z korepetytorem swym, zarazem sekretarzem rejenta. Obydwaj wyszli rano, nic o wypadku nie wiedząc. Najdziwniejsze jednak jest zniknięcie samej pani domu. Służba zaręcza, że wieczorem nie mówiła o zamiarze wyjazdu, a rano nie znaleziono jej w domu. Badany stróż uliczny zeznał, że widział ją około drugiej po północy, wychodzącą na ulicę; dokąd się udała, nie śledził. Wskutek zagadkowych tych okoliczności władze sądowe rozkazały zarządzić autopsję²⁴⁰ zwłok i śledztwo oraz odszukać żonę denata²⁴¹.

Szczepański skończył, sięgnął znowu do papierów i wziął w drżące ręce jeszcze druk, urywek arkusza, i tym samym głuchym głosem odczytał:

DRAMAT W HOTELU

Piszą do nas z Wilna: Przed kilku dniami zamieszkała w Hotelu Europejskim młoda kobieta, podająca się za Marię Sucką. Z mieszkania nie wychodziła wcale i widocznie oczekiwała kogoś, gdyż rozpytywała służbę o godziny pociągów kolejowych i o listy. Nikt się jednak nie zgłaszał, aż we wtorek rano zaszła do hotelu policja. Na widok komisarza cyrkulowego kobieta wydała przeraźliwy okrzyk, rzuciła się do okna i wyskoczyła. Podniesiono ją z ulicy, słabe tylko dającą znaki życia, w drodze do szpitala zmarła. Okazało się, że była to Maria S., żona rejenta z Witebska, która przed tygodniem otruiła swego męża i te same nocy zbiegła. Jakie były pobudki zbrodniczego czynu, śledztwo wyjaśni.

Zbrodnia, Zbrodniarz

— To była moja matka! — rzekł Szczepański.

Zapanowało milczenie, w którym tylko było słychać dyszenie ciężkie jego piersi, a potem z kąta, gdzie siedziała Magda, rozległ się cichy, gorący szept:

— Wiekuisty spokój daj jej, Boże miłosierny, przez Twe na krzyżu konanie i mękę, o Jezu! Ulituj się nad nią, o Matko Bolesna. Amen.

Szczepański wstrząsnął się cały, jęknął i głowa mu opadła na stół, rękami ją objął i jak martwy był, tylko nim czasem dreszcz wstrząsał.

— Daj mu wody! — szepnął Kałaur.

Zaprzeczyła głową. Szeptala wciąż pacierz za tę umarłą — pierwszy, który niebo słyszało.

²³⁹pugilares (daw.) — kieszonkowa teczka z przegródkami, portfel. [przypis edytorski]

²⁴⁰autopsja — naoczne stwierdzenie czegoś, własna obserwacja; sekcja zwłok; tu: oględziny lekarskie zwłok w celu ustalenia przyczyny śmierci. [przypis edytorski]

²⁴¹denat (z łac. *denatus*, zaprzeczone *natus*: urodzony) — zmarły (określenie używane zwł. w odniesieniu do zmarłych niezwykłą, gwałtowną śmiercią, będącą przedmiotem śledztwa, utworzone od łac. *defunctus*: zmarły, stosowane wyłącznie w obrębie polskiego prawa i sądownictwa). [przypis edytorski]

Stary odkrzęknął, przysunął się, rękę na ramieniu nieszczęsnego położył i rzekł poważnie:

— Toć nie winniście²⁴², tylko gorzej sieroty²⁴³. Mocy nabierzcie, my wam swoi. Rodzi się człowiek na mękę, każdy zgryzotę nosi. Co robić? Boże sądenie.

Szczepański głowę podniósł.

— Ale każdego matka rodzi i miłuje, a kto ją straci, wspomina żałośnie, a słodko, a moja klątwa żywota mi jest i katem. Nie wiecie jeszcze wszystkiego. Miałem wtedy szesnaście lat, ojciec był ogólnie szanowany, zamożny, dom nasz gromadził najlepsze towarzystwo. Chowany byłem w wygodach i dostatku, uczyłem się dobrze, miałem przed sobą drogę odkrytą²⁴⁴ do wysokiego stanowiska, fundusz, imię nieskalane. I tego dnia wróciłem do domu, i już nic nie zostało. Byłem oddany na pastwę ludzi, na zatracenie, na wstyd, rękami matki rodzonej oddany. Trup ojca walał się po sądowych stołach, życie domowe roztrząsała gawiedź, nazwisko zapisano w kryminalnej kronice, opiętnowanej podwójnie ohydny mordem i samobójstwem, na fundusz wreszcie zwała się ćma kraków lichwiarzy z wekslami ojca, sfalszowanymi tak niezdarnie, że nikt w nie nie wierzył, ale i nikt nie zaprotestował, i oto po dniach niewiele, gdym oprzytomniał, byłem jak ten szkielec z mrowiska dobytý albo jak upiór, postrach dla ludzi, dla siebie samego ohyda! Chciałem się zabić, ale gdym pomyślał, że z nią się spotkam na tamtym świecie, wołałem żyć. I odtąd życie moje stało się bezustanną ucieczką przed ludźmi, przed sobą. I szła za mną klątwa, doganiała zawsze. Kryłem się przed nią na samo dno nędzy, na sam spód głodu, odnajdywała; byłem napiętnowany; zresztą gdym się od ludzi ukrył, od siebie nie mogłem, a to, com w duszy nosił, może gorzej piekło, srożej dręczyło. Uciekłem w świat, tulałem się po świecie, z wyrzutkami takimi jak sam obcując cztery lata. Tedy musiałem wrócić do Witebska do poboru i poszedłem w proste żołdacy, do kawalerii, na pięć lat, daleko. I te lata były w mym życiu jedyną ulgą. Nikt mnie tam nie znał, mękę wewnętrzną zagłuszyła praca obowiązkowa i poczułem nad sobą życzliwość. W drugim roku służby wziął mnie z szeregu do posług osobistych książę Orański.

Wyczerpany mówieniem umilkł na chwilę, a Magda wstała cichutko i podała mu kubek wody, i szepnęła obejmując łzawym spojrzeniem.

— Spocznijcie. Dopowiecie jutro, jeśli wasza wola. Albo i nie mówcie. Wam męka, a nam, co byście nie rzekli, jednakoście drodzy. Spocznijcie!

Wypił wodę i głowę potrząsnął.

— Odżyłem przez te lat pięć, i gdy mój książę dał służbę w swych dobrach po wyjściu z wojska, myślałem, że w tym kącie dalekim już wieku dobędę; pokochałem bór i zwierza, ludzi wcale nie widywałem, pracowałem z serca i duszy. Aż oto pewnej wiosny rozeszła się wieść, że przyjechał nowy administrator, wezwano mnie do raportu, zobaczyłem Bielaka.

— Znałście go przedtem? — spytał Kałaur.

— Prawie nie, nie bywał u nas, alem go spotykał na ulicy, znany był w mieście jako adwokat i bywalec klubowy. Gdym go ujrzał, pociemniało mi w oczach, klątwa mnie dogoniła znowu. Myślałem, przecie tyle lat, zapomniał, zmieniłem się, nie pozna. Stary administrator mnie przedstawił: „Nadleśny Szczepański, oficjalista, bardzo sumienny; tego panu polecam i oprócz pochwał nic nie mam do powiedzenia”. Bielak na mnie popatrzał, ale obojętnie, bez wrażenia żadnego, i odszedłem w nadziei, że będę bezpieczny. W jakiś czas potem kazał mi wycechować tysiąc sztuk dębów na klepki. Żyd je kupił, zabrał, tedy w raporcie kazał mi Bielak postawić 750 sztuk. Oparłem się, a on popatrzał na mnie, zaśmiał się i począł mruczeć pod nosem: „Stała się nam nowina”. Zrozumiałem, że jestem w mocy jego. Trzeba było rzucić wszystko, znowu w świat iść; spodlił mnie tak ból i rozpacz, że się poddał, nieszczęsny. Wtedy zacząłem się rozpijać, byłem już złodziejem! Gdym raz podpisał fałszywy raport leśny, Bielak już był o mnie spokojny, miał na mnie broń. Kradł tedy, a jam milczał, męczarnie sumienia gasząc wódką. Trwało tak dwa lata. Czy doszły do księcia oskarżenia, nie wiem, ale zjechał do Oran kontroler Jasiński z siostrą i począł we wszystkie kupna, sprzedaże, kontrakty i rachunki szczegółowo wglądać. Uczciwy to był człowiek, ale miał jedną słabość, rozpustnik był i hulaka. Bielak słabość tę wnet poznał i wyzyskał. Rozpoczęła się swawola i rozpusta we dworze,

Matka, Przekleństwo

Wspomnienia, Krzywda

Ucieczka, Przekleństwo,
Hańba

Szantaż, Kradzież, Pan

Pijaństwo, Wyrzuty
sumienia

²⁴²nie winniście — nie jesteście winni. [przypis edytorski]

²⁴³gorzej sieroty — gorzej niż sierota. [przypis edytorski]

²⁴⁴odkryty — tu: otwarty. [przypis edytorski]

hulali we dwóch, Jasiński do zapamiętania, zaczął się w pilności opuszczać, o to Bielakowi chodziło na razie. Było to tej zimy, gdy Magda już była u mnie w chacie. Chorą ją przygarnąłem, nie powstało mi w myśli, by wyzdrowiawszy, w tej pustce ze mną, jak wilk ponurym i złym, zostać miała. Gdy nie odchodziła, rad byłem, że przecie komuś na świecie niewstrętny jestem, w duszy mi jakby mróz tajał. Z niedolą moją była druga niedola, z poniewierką moją była druga poniewierka, mogłem ja być komuś opieką. Co się działo we dworze, mało wiedział; Bielak przestał kraść, przyczał się, jam chwilami zapominał o przeszłości. Wtem pewnego dnia weszła do chaty Bielakowa. Nie pamiętałem, czym ją widział parę razy, zdumiałem! Była jakby nieprzytomna. „U pana Jasińskiego z moim mężem schadzki miewają! — powiada. — Pan im służy, więc pan nie wie, kto Bielak, albo pan potwór gorszy od niego. Kochanka swojej matki pan osłania, jej kata i mordercę. A więc ja się za nią zemszczę i za siebie. Mam dowody na wszystko, do sądu je zaniósę, niech ginie, ja już milczeć nie będę”. Jak oszalała dobieła zza stanika te listy i rzuciła mi je. „Czytaj pan, będziesz wiedział, komu służysz! Odkradłam je dla pana, odkradłam i dla Jasińskiego dowody złodziejskie, bierzcie go, niech ginie, niech przepada, jakem ja za nim zginęła i przepadła”. Gadała coś jeszcze, była czy nie była, już nie wiem; jam listy tylko widział, mojej matki były, mojej matki! Dla niego poświęciła duszę i ciało, ojca, mnie, wreszcie życie. A on żyje i ja żyję — i może tak być!

Zerwał się i ramiona przed siebie wyciągnął, aż zatrzeszczały stawy, a potem za głowę się porwał i zwałił na ławę, wyjąc jak zwierzę.

Kałaur się też zerwał i krzyknął:

— Coście za człowiek, żeście mu wnętrzości nie wypruli; kijem nie ubili jak psa!

— Bo nie mógł, wskroś matki nie mógł! — rzekła Magda.

Szczepański poderwał głowę, spojrzał na nią:

— Czytałaś ty w duszy mojej, kobieto?

— Ino ją miłuję, panie! — odparła cicho. — I tak ufam, że i Jasiiek by mnie poszkodował²⁴⁵ po śmierci jeszcze w kał wdeptać.

— Rzekła ona! — z ciężkim odetchnieniem zwrócił się Szczepański do Kałaura. — Schowałem listy, nie rzekłem słowa, nie mogłem, w kilka dni potem spotkałem jego i zrozumiałem, że wszystko wiedział, że mnie badał, co myślę czynić, że się mnie on lękał. Musiała mu ona wszystko rzec na rozstaniu, bo wyjechała nagle. Zrozumiał, że milczeć będę, ale postanowił moją zgubę — i uczynił. Teraz wszystko rozumiem, wtedy za wiele mnie naraz opadło, ale przez te pięć lat więzienia wszystko pojąłem, jasno mi teraz, jak się to stało. Staliśmy mu na drodze, Jasiński i ja. Oba sprzątnął. Tego nie wiem, może ta krew i na moich rękach. Przyszedłem tam pijany, on mnie wezwał, spotkawszy poprzedniego dnia. Wszystko było przygotowane. Przyszedłem tedy, Jasiński począł mnie pytać o sprawy leśne, przeprosił za ową scenę w kramie na rynku, poprosił do stołu, stały nalane kieliszki, trącił, bym z nim na zgodę wypił. Wypilem, wydał mi się smak dziwny, splunąłem, wtedy on powiada ze śmiechem: „Czy się pan trucizny boi? To tylko mężów trują, a nam dosyć będzie, jak się pan prześpi parę godzin, zanim ja się zabawię w gospodarza u pana w domu”. Tak to było niespodziewanie powiedziane, że na sekundę osłupiał, potem czując, że mnie istotnie jakaś straszna niemoc chwyta, rzuciłem się na niego. Uderzyłem, czym, gdzie, nie wiem — i już więcej nic nie pamiętam, aż trupa jego zobaczyłem. Tak było. Możem go i zabił, a zresztą sądzonym²⁴⁶ za mord. Za życia i po śmierci mordercą u ludzi będę. I będę, bo po Bielaka teraz ja pójdę, teraz on mi zapłaci! Wszystkom rzekł i nie powiecie mi oboje nic innego, tylko: zabij, bo rozumiecie, że teraz muszą to zrobić, zanim umrze. Nie byłoby na świecie sprawiedliwości, by on ludzką śmiercią umarł, a nie z moich rąk. I mogę²⁴⁷ ja, to sobie zaprzysięgłszy, pacierz to mój był przez pięć więziennych lat, mogę ja sobie ośmielić kobietę tę żoną nazwać, to dziecko synem i rzucić, by tam iść, pomstę brać i zostawić im po sobie nazwisko mordercy, wstyd i hańbę za całe wspomnienie? Tego ani wy nie zechcecie, ani ja nie uczynię, ale słowo wasze mieć chcę na koniec tych dziejów moich. Wiecie już wszystko.

²⁴⁵poszkodować — tu: pożałować. [przypis edytorski]

²⁴⁶sądzonym — skrót od: sądzony jestem. [przypis edytorski]

²⁴⁷mogę — czy mogę (daw. konstrukcja z partykułą pytającą -że, skróconą do -ż). [przypis edytorski]

Milczeli oboje, a on czekał z oczami wbitymi w ziemię, wyczerpany, dysząc ciężko. Świerszcze cykały monotonna, a po chwili na strychu kur zapiał — Szczepański drgnął, oczy podniósł:

— Mówcie, panie Kałaur! — rzekł.

Stary się poruszył, ramiona wznosił, spojrzał na córkę.

— Tobie bliższa sprawa. Ty pierwsza mów!

Magda siedziała opodal na ławie, z rękami skrzyżowanymi na piersi i głową pochyloną.

— Mnie się nie godzi takiej sprawy sądzić. Mnie milczeć trzeba, jakobyście mnie sądzili.

— Dlaczego? — spytał Szczepański.

— Bom ja niegdyś, draba umiławszy, ojca i matkę, i duszę mu zaprzedała, a potem zdradzona, jakbym się zabiła, nie ciało, a duszę! Przeto za matkę waszą modlić się będę tylko, a przeciw niej nie mogę nic rzec i błogosławiona mi pomimo wszystko jest jako wasza rodzicielka. I sama matką jestem, przeto rzec nie mogę: „zabij”; łonu, co życie dało człowiecze, nie każcie takiego słowa wydać, zostawił w nim Bóg ino miłosierdzie i ból, i litość nad każdym żywotem. Nie rzeknę ja: „zabij”, nie mogę!

— Tedy twoja litość przy Bielaku, nie przy mnie! I ty mu darować gotowa moją dole! — wybuchnął Szczepański. — Po coś tedy owe papiery chowała, do mnie szła? Com rzekł, mało ci! Nie rozumiesz, co we mnie wyje!

Kobieta zerwała się i cisnąc dyszące piersi, wybuchnęła także:

— Czego wy chcecie ode mnie, panie? Czego wy chcecie? Żeby wiedziała, co w tych papierach jest, nie chowałabym ich, ale w wir rzeczny cisnęła, na głębię, jak się gady ciska. Nie niosłabym ich do was, byście się jadem ich na nowo otruli. Czego wy chcecie? Gdy was mnie wydarto wtedy, nie daliście siebie bronić, milczałam; zabroniliście za sobą iść, zostałam; czego wy więcej chcecie? Nadludzką moc żądacie ode mnie! Chcecie po śmierć i pomstę iść, idźcie, wasza wola. Ni żoną waszą nie chcę być, ni was powstrzymywać. Ale mi nie każcie rzec: idź, giń, umieraj; ale mi pozwólcie nad nikim, ino nad sobą samą, litość mieć. Słyszę, co w was wyje, aleć takiego jęku, jaki we mnie jest, nie wiem już, jak dusza strzyma. Czego wy chcecie ode mnie, o Jezu!

Zawróciła się i wyszła prędko do alkierza.

— Bo i prawda! — mruknął Kałaur. — Nikt swego miłowania na rzeź nie da. Kobieta ino miłowanie czuje. Dajcie jej pokój. I ja też nie sędzia dla was stosowny, ja też niby strona. Dziecka mi żal i was żal. Krzywda straszna nad wami, słusznie pomsty chcecie, słusznie się wam należy. Ale ja już stary, długom żył, na wiele patrzał i wiarę chowam w naukę świętą. Zdajcie się na boski trybunał!

— Widzieliście często na świecie sprawiedliwość? — rzekł gorzko Szczepański.

— Zawsze, gdy sprawę kto czystą miał, co rzadko jest, bo zwykle obie strony winne. Ale kto prawy, ma najprzód w sobie spokój i dusza jego nigdy nie bywa samotna. Choćby i tutaj. Miał ci Bielak w Oranach żonę i dostatki, miał kochankę i wrogów poniszczył. Wiodło mu się w każdym zamyśle. Pięć lat minęło — wam kaźni, jemu swobody i dobrobytu. Widzieliście go za powrotem?

— Nie widziałem, wyjechał był do miasta!

— Tedy ja wam rzekę, idźcie znowu do Oran i zanim sięgniecie po pomstę, uznajcie²⁴⁸, jako mu jest. Czy zdrow i kochany, czy przyjaciela ma, ot, choćby takiego jak ja, starego szaraka, co mu: „synu” z serca mówi, czy choć prosta kobieta głupia za duszę jego i życie swoje by dała, czy dziecko rodzone na rękach mu uśnie jak kociak. To wszystko uznajcie — i jeśli to ma, bierzcie pomstę, bo snadź nie ma sprawiedliwości na świecie! To mój wyrok! A teraz spocznijcie.

Wstał stary, wyszedł przed chatę i rzekł, powróciwszy:

— Miesięczno i ciepło. Cudnie się zboża zarunia. Już drugie kury, trzeba spocząć starym kościom.

Rozebrał się, pacierze szepcąc, i legł na ławie.

Szczepański nieporuszony siedział. Uciszało się w nim, ustępowało drżenie, oddech stał się wolniejszy, rysy się rozprężyły; w pólśen zapadł, w rozmarzenie, w spokój.

Wtem w alkierzu Jasiak się snadź przebudził, bo senny, cienki głosik zawołał:

²⁴⁸uznajcie — tu: dowiedzieć się. [przypis edytorski]

— Mamo!

Szczepański oczy na te drzwi podniósł i słuchał.

Coś się poruszyło, dzieciak o coś pytał, szept mu odpowiedział, potem szmer pocałunku i znowu cisza przerywana skrzypieniem świerszczów...

Lampa poczęła dogasać i pryskać, cienie się kładły na izbę. Cichutko rozwarły się drzwi alkierza. Magda weszła, zbliżyła się do siedzącego i jak niegdyś w orańskiej leśniczówce u kolan jego przyklękała, mówiąc cicho:

— Rozzuję was, panie, spocznijcie, zaśnijcie. A możecie spragnieni? Kwas jest świeży!

— Daj pić! — odparł.

Przyniosła dzbanek z komory. Pił chciwie, długo.

— Może wam lampę dolać²⁴⁹? — spytała znowu.

— Nie. Miesiąc świeci. Siądź tu, na ławie.

Uśluchoła i miesiąc na lica jej padł pobladłe, smutne, ale już spokojne.

— Dzieciak nie śpi? Rozbudził się?

— Już zasnął. Zbudził się, bo sobie króliki przypomniął. Uspokoiliam, żeście nakarmili.

— Cóż rzekł?

— „Daj Boże zdrowie tatce, pójdę mu podziękować”.

— Nie puściłaś? Czemu?

— Po co ma do was przywykać? Potem jak go pocieszę? Zasnął, niech zapomni!

— Magdo! — rzekł, spojrzał na nią i urwał.

A potem znowu:

— Po com ja tobie, wam? Ja już nie żywy, nie człowiek. Ja jak spróchniałe drzewo, w którym tylko gady i robactwo żyje i mnoży się. Nie może być, bym komu miły mógł być, komu potrzebny, dobry. Litujecie się nade mną, a i tego nie warto.

Kobieta milczała, tylko jej usta drżały.

— Teraz, gdy wiecie wszystko, a chcecie pomimo to, bym ślub z tobą wziął, dla dziecka, to rzeknij! Co wolisz: samotny wstyd czy hańbę mego nazwiska?

— Lekko nie obiecujcie, panie. Byście to uczynili, łańcuch ukujecie. Żali²⁵⁰ myślicie, że ja wtedy zostanę, gdy wy na śmierć i zagubę pójdziecie?

— Magdo, miłujesz ty mnie jeszcze, po wszystkim, coś słyszała? — rzekł głucho, rękę kładąc na jej głowie.

Podniosła nań swe głębokie źrenice, łez i ognia pełne, bólem rozszerzone.

— Nie wiem, panie, nie rozeznaję, co wy, a co ja! — odparła.

— Tyle, co Jaśka, mnie miłujesz?

— Czy wy nie jedno?

— Prawda. Jam też taki słaby, taki słaby.

Położył głowę na jej ramieniu, śmiertelnie znużony. Milczeli tak, głowa przy głowie.

— Powiedz co — szepnął.

A ona cicho, łagodnym szeptem poczęła mówić:

— Pomnę w Wieszańcu, gdzie bytowała, sama zrazu, a potem z Jaśkiem maluśkim, była około zwałonego młyna wierzba stara. Gruba była, krzywa i wewnątrz spróchniała. Odzież waszą, com uchowała, w to dziupło wetknęłam, spokojna, że suche schronienie. Ale na wiosnę wody ogromne się rozlały i zajęły moją kryjówkę i chatę, i młyn; myślałam, że się potopimy z Łyską, bośmy we dwoje w konarach tej wierzby przesiedzieli dni i nocy parę, z nurtem szumiącym pod sobą, a deszcz nas prażył bez ustanku! To gdy wody spadły i ziemia obeschła, a zajrzałam do swej dziupli, pełna była szlamu i zgnilizny i odzież wasza w rękach się rozlażyła i przepadła. A potem to w te szmaty i błoto naściagało się rozmaitego robactwa, żab, plugastwo takie, co się boi dnia i słońca, i zdrowego wiatru, a człowiek ręką nie dotknie i spojrzawszy, splunie i cofnie. I poczęło to wewnątrz wierzbę toczyć i żreć, że po listkach znać było, że jeszcze rok, a zwali się w rzekę, same próchno i susz, martwa. Szkoda mi drzewa było, bo Jaśkowa kołyska na nim bywała uwieszona, i dzieciaka liście bawiły, i gałęzie, jak wiatr kołysał, to one jego usypiały. I myślę: dał ci Bóg ludziom i zwierzu zioła na poratowanie w chorobie, a ot, o drzewie zapomniał, daje

²⁴⁹lampę dolać — tzn. dolać nafty do lampy. [przypis edytorski]

²⁵⁰żali a. zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

mu ginąć, szkaradę taką swym życiem karmić. Aż tu pewnego gorącego południa szmer jakiś słyszę, coś szarego jak szmatka nad ziemią przeleciało, na wierzbę spadło. Skoczyłam kołyskę zdjąć, rój pszczeli był. Nijakiej krzywdy dziecku nie uczyniły ni mnie. Zdrożone były, het, z daleka, bo szły z borów przez bagna i topiele aż od Wieszańca, może dwa dni były w drodze i weszły w ową norę plugastwa pełną, takie małe naprzeciw ropuch i gadów, co się tam rozwiłmożniły. Myślałam, przepadną albo umkną dalej, aleć ich kto przyprowadził wierzbie na poratowanie, ten ci ich utrzymał i nad gady ukrzepił²⁵¹. Żyliśmy razem, i tak ich chatę znałam, jak własną, i robotę tak widziałam, jak swoją. W wierzbinie pałace pobudowały, rany i próchno kitem pogoili i napelniły serce drzewa słodyczą i wonią, a kędy się gady podziały, którym i człowiek rady by nie dał! Hej, stoi pewnie i teraz wierzbina zdrowa i cała, Jaśkowej kołyski nie ma, ale gniazd ma pewnie pełno po rosachach i pisklęta ochrania jako moje niegdyś.

Szczepański ciężej na jej ramieniu głowę oparł i z cicha rzekł:

— Żeby Bóg o mnie pomyślał, a może już myśli, spocząć mi się chce i tak cicho. Zasnę, tylko ty nie odchodź. Takim zmordowany!

Ogarnęła go ramieniem, ułożyła wygodniej.

Teraz w chacie zapanowała cisza. Świerszcze ucichły, lampa zgasła, miesiąc tylko wnętrze srebrem zalał i szedł po niebie ku zorzy porannej. Magda siedziała nieporuszona, ino jej oczy przez okienko w tę jasność szły i coś mówiły, ino jej usta poruszały się czasem słowem, odetchnieniem, gdy się w duszy nie mieściło dumanie, ale ją sen nie brał ni czuła zmęczenia.

Aż srebrne światło poczęło różowieć i złociec i za oknem szmer przeszedł jak drzenie rosy opadającej, i zaświergotały wróble, światem zbudzone. Ale świat się jeszcze nie budził, bo na niebiosach tylko smugi bursztynowe znaczyły wschód. Aż po chwili w okienko chaty uderzyła jak luna purpurowa w oczy Szczepańskiego, że się przecknął i spytał:

— Co się pali?

— To świt, panie. Dzień się czyni. Śpijcie, zaledwie wschód — odpowiedziała cicho.

Ale on w tę jasność oczy utkwiał i patrzył, i słuchał, zdziwiony, że mu tak lekko, że siebie nie czuje, że w sobie ma taką ciszę i że go nic nie boli.

Nie ruszał się, jakby się lękał, że coś spłoszy.

Za oknem świat się budził, w rosie się kąpał, ku słońcu się zrywał. Rozgadały się wróble, sikory, wielkie malwy pootwierały kielichy i na pogodny dzień był ten świt złoty, bo, niedbałe o rosę, do ziół rosnących pod chatą zleciały się pszczoły i słysząc je było w ciszy.

— Takie są, co próchno i robactwo zniszczą, owad mały, szary, jak Bóg je pośle — rzekł półgłosem.

A potem zupełnie się ocknął, wstał, wyprostował się i dodał:

— Żeś mnie doprowadziła do takiego świtu po takiej nocy, błogosławionaś, Magdo. Co chcesz teraz, bym czynił, dobrze mi będzie.

— Bo to nie wiecie, panie, co ja głupia chcę. Ino tego boru, ciszy i Jaśkowego zdrowia, i służenia wam do śmierci.

— Będziesz miała! Jużci, nas chyba śmierć rozłączy!

— Da Bóg i ona nie! — rzekła uroczyście, znak krzyża na piersi kreśląc.

²⁵¹ukrzepić — wzmocnić; dać siłę. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rodziewiczowna-macierz/>

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Anastasiia Sukhanova, Barbara Zadrożny, Bartosz Siemiński, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-8225-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.